www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 26 (912)
26.06-2.07.2017
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

Paweł Kasprzak:
300 osób siadło na jezdni

Zdelegalizować ONR!

Jarosław Dobrzański:
Rosyjska ruletka Trumpa

„Złe psy" i gangsterzy

ZATRZYMAĆ ALZHEIMERA

JEST NADZIEJA DLA CHORYCH

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl 6a7debb50e

Nowa książka PRZEGLĄDU

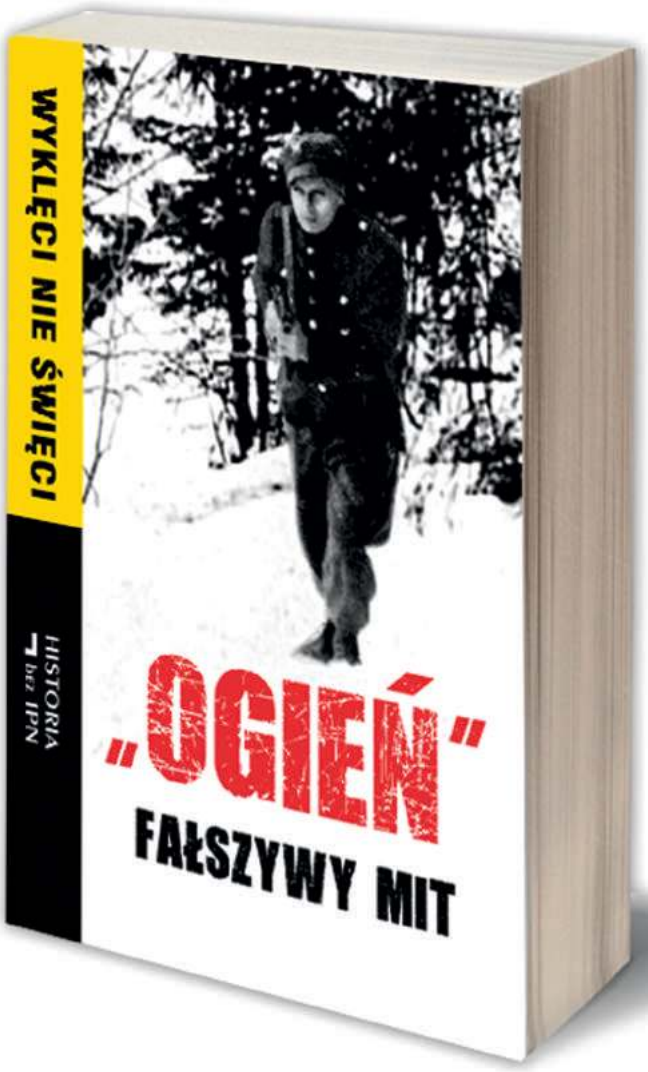

Gloryfikacja wszystkich „wyklętych" nie uczyni patriotami tych, którzy dopuścili się okrutnych zbrodni, gwałtów, napadów, rabunków. Jedną z takich postaci jest Józef Kuraś „Ogień", przez jednych – nie tylko na Podhalu – uznawany za bohatera, a przez drugich za bandytę.
Kim naprawdę był „Ogień"?

WYKLĘCI NIE ŚWIĘCI

HISTORIA bez IPN

KSIĄŻKĘ MOŻNA KUPIĆ:

- wpłacając 46 zł na konto wydawcy PRZEGLĄDU:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając dokładny adres
(z numerem kodu), pod który ma trafić przesyłka polecona
- przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

CZYTELNIKU, kupując nasze książki, wspierasz „PRZEGLĄD"

Więcej informacji:
tel.: (22) 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6a7debb50e

CYTATY

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ,
BYŁY PREMIER
Opozycja jest niewiele warta. Wciąż nie ma kto zlać PiS.
„Polska The Times”

WŁADYSŁAW FRASYNIUK,
LIDER SOLIDARNOŚCI, PRZEWODNICZĄCY UNII WOLNOŚCI
Lech Kaczyński był filosemitą, żywo interesującym się żydowską kulturą.
„Angora”

STANISŁAW TYM,
SATYRYK, REŻYSER, AKTOR
Badania Antoniego Macierewicza wciąż się jeszcze nie zaczęły.
„Polityka”

LEBRON JAMES,
KOSZYKARZ
Nieważne, ile masz pieniędzy. Ilu ludzi cię podziwia. Być czarnym w Ameryce jest ciężko.
„Forum”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Kioskowa wojna polsko-polska

Za rządów dobrej zmiany tak się Polakom poprawiło, że – powtarzając słowa samej władzy – nic tylko chwalić. I klaskać z podziwu. Kto zaś tej lawiny sukcesów nie widzi, gotuje sobie los zaprzańca i zdrajcy. Cel takiej retoryki był oczywisty, ale mnożenie przez PiS epitetów okazało się mało skuteczne. Z pewnością kogoś zastraszono, choć generalnie efekt jest wręcz odwrotny. Coraz więcej ludzi chce mieć papiery kombatanckie i wypowiada PiS osobistą wojnę. W ten sposób reagują na agresywne zachowania i działania najgorliwszych wyznawców władzy. I chcą je zatrzymać. A my na własnej skórze przekonujemy się, jak ta polsko-polska wojna wygląda na dole. Dziś nie wystarczy wydrukować tygodnik i przesłać go do kolportażu. Mało co w łańcuchu od wydawcy do czytelnika jest jeszcze normalne. Nie ma dnia, by wkurzeni czytelnicy nie interweniowali w sprawie braku możliwości kupienia PRZEGLĄDU. Docieramy do ok. 20% punktów sprzedaży prasy, a nawet jeśli PRZEGLĄD trafia do kioskarzy, to wcale nie znaczy, że znajduje się na ladzie. Bo o tym decyduje sprzedawca. I jeśli jest wielbicielem PiS czy Radia Maryja albo uległym wykonawcą woli proboszcza i jego zaufanych, pisma o nieakceptowanej linii programowej będą leżały nierozpakowane i czekały na zwrot. Wystarczy, jeżdżąc po Polsce, popatrzeć na witryny punktów sprzedaży prasy, by od razu wiedzieć, kto siedzi za ladą i jakie poglądy wyznaje. Wolny kraj i wolność poglądów z jednym ale… Ograniczanie handlu z powodu osobistych poglądów religijnych czy politycznych jest niedopuszczalne.

Mam już dosyć tej hucpy i tolerowania otwartej i bezczelnej, bo bezkarnej, wojny kioskarzy z gazetami.

Zaczęliśmy gromadzić informacje na temat takich kiosków i jak zbierzemy dowody, wystąpimy na drogę sądową.

Apeluję do Czytelników, by sygnalizowali takie sytuacje. Równie źle jest w przypadku prenumeraty redakcyjnej. Tygodnik wysyłany przez nas w niedzielę, trafia do adresatów w czwartek, piątek, a nawet po tygodniu. Piszemy, interweniujemy, płacimy coraz więcej za przesyłki i kompletnie nic to nie daje. Tysiące umordowanych i źle opłacanych listonoszy haruje po godzinach, a pisowski zarząd Poczty Polskiej nie potrafi się uporać z elementarnymi obowiązkami wobec klientów. Wychodzi więc na to, że trzeba będzie się samoorganizować i budować alternatywne systemy dystrybucji tygodnika.

GRATULACJE

- **Pani Witek (Elżbiecie)** z najbliższego otoczenia premier Szydło gratulujemy stale dobrych relacji z szefową. A przy okazji 30 tys. zł nagród, które pani Beata czterokrotnie przyznała pani Eli. My dalibyśmy jeszcze więcej, bo współpraca z panią Kempą (Beatą) jest niezwykle szkodliwa dla zdrowia.

- **Pani Sadurskiej (Małgorzacie)** gratulujemy nie tylko pensji, bo jest ona ledwie 40 razy większa od naszej, ale i odwagi. Pani Sadurska już w 2011 r. napisała: „Jestem tam, gdzie mnie potrzebują”. Jakoś nie znamy kierowców, którzy by chcieli płacić większe OC na Sadurską.

- **Panu Adamczykowi (Andrzejowi)** gratulujemy refleksu. Po trzech miesiącach od rozpoczęcia budowy południowej obwodnicy Warszawy pojawił się ze świtą urzędników w Wawrze, gdzie uroczyście otworzył budowę… obwodnicy. Tej, którą na Ursynowie budują od marca.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 6a7debb50e

W NUMERZE

KRAJ
8 **Siła białej róży**
– rozmowa z Pawłem Kasprzakiem
36 **Wierzyć w ludzi**
– rozmowa z Pauliną Piechną-Więckiewicz
44 **Jak złe psy dorabiały do pensji**
Pomagierzy gangsterów „Mokotowa"

ZDROWIE
14 **Państwo ślepe na Alzheimera**
– rozmowa z prof. Marią Barcikowską

ZAGRANICA
20 **Pierwsze batalie Jowisza**
Macron oczarował rodaków
24 **Bo rząd nic nie zrobił**
Kto odpowie za pożar w Londynie
27 **Dania nie karze za bluźnierstwo**
Korespondencja z Kopenhagi
30 **Pogrzeb normalizacji**
Trump zaostrza politykę wobec Kuby

OPINIE
32 **Jarosław Dobrzański**
Rosyjska ruletka Trumpa

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY
39 **Nie bójmy się wyższej płacy minimalnej!**

POLEMIKA
40 **Radosław S. Czarnecki**
Zdelegalizować ONR!

HISTORIA
42 **Wolta Stalina**
Dlaczego ZSRR nie przystąpił do paktu trzech

KULTURA
48 **To co, już pożartować nie można?**
– rozmowa z Sebastianem Karpielem-Bułecką
54 **Qulturalia**

SYLWETKI
50 **Batalista i kobieciarz**
Tomasz Jastrun o Wojciechu Kossaku

REPORTAŻ
56 **Jesteście porwani**
Dziennikarze zakładnikami islamistów

GALERIA
66 **Wojsław Brydak**
Za siódmym jeziorem. Kaszuby

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Kioskowa wojna polsko-polska
13 **Bronisław Łagowski**
Utracona podmiotowość SLD
19 **Jan Widacki**
Suweren
23 **Roman Kurkiewicz**
Nowa Polska nie jest w niebie
41 **Tomasz Jastrun**
Inwazja nieudaczników
47 **Edward Mikołajczyk**
Bez lekcji Wodeckiego
53 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Polska łydka na wakacjach

30
ZAGRANICA

POGRZEB NORMALIZACJI
Trump zaostrza politykę wobec Kuby

36
KRAJ

WIERZYĆ W LUDZI
– rozmowa z Pauliną Piechną-Więckiewicz

48
KULTURA

TO CO, JUŻ POŻARTOWAĆ NIE MOŻNA?
– rozmowa z Sebastianem Karpielem-Bułecką

Projekt: MARTA GÓRSKA
Fot. FOTOLIA

eprasa.pl 6a7debb50e

Byłem macedońskim uchodźcą

W wywiadzie Małgorzaty Kąkiel z Dionisiosem Sturisem (PRZEGLĄD nr 15) przeczytałem: „Na stację wjeżdża pociąg, otwierają się drzwi bydlęcych wagonów, bucha smród brudu, odchodów... Na peron zaczynają wyskakiwać przestraszone, umęczone greckie dzieci. Ta scena najdobitniej przedstawia tragizm uchodźców”.

Jestem jednym z tych dzieci. Razem z dużą grupą dzieci macedońskich 2 kwietnia 1949 r. przyjechałem do Polski z Rumunii. Ulokowano nas w Solicach-Zdroju (obecnie Szczawno-Zdrój). Wcześniej większa grupa dzieci, także z Rumunii, przyjechała 28 października 1948 r. One zamieszkały w Lądku-Zdroju. Przyjechaliśmy do Polski nie w wagonach bydlęcych, ale pociągiem Polskiego Czerwonego Krzyża. Warunki były luksusowe. W czasie podróży opiekowali się nami polscy lekarze i polskie pielęgniarki, wychowawcy i kucharze. Tak odbywały podróż do Polski z Rumunii dzieci macedońskie i greckie.

Nie mam zamiaru przedstawiać historii naszego przybycia do Polski. Czytelnikom chcącym poznać prawdę polecam mnóstwo artykułów, prac magisterskch i doktorskich na ten temat. Ich autorami są Polacy, Macedończycy i Grecy. Polecam m.in. moją pracę doktorską „Dzieci macedońskie w Polsce 1948-1968” (obrona 22 listopada 1985 r. na Uniwersytecie Wrocławskim) oraz dwutomowy zbiór dokumentów, polsko-macedońskie wydanie Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych i Drzaven Arhiv na Republika Makedonija „Macedońscy uchodźcy w Polsce”, wybór, przekład, wstęp i redakcja dr Petre Nakovski, Skopje 2008.

dr Petre Nakovski, były pierwszy nadzwyczajny i pełnomocny ambasador Republiki Macedonii w Polsce

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

GEN. WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI
Samobójstwo niedoszłego prezydenta

WIESŁAW KOT
Aktorzy jednej roli

WSIĄŚĆ DO POJAZDU BYLE JAKIEGO
Jakie szanse ma turystyka kosmiczna

Tanzania nie mogła być niemiecką kolonią

Mam uwagę do ciekawego artykułu „Kolonie Bismarcka” w 25. numerze PRZEGLĄDU. Jeżeli na wystawie w Berlinie na temat m.in. Niemieckiej Afryki Wschodniej pojawia się nazwa Tanzania, jest to błąd, bo wówczas była to Tanganika. Tanzania powstała dopiero w 1964 r. z połączenia Tanganiki i Zanzibaru. Ciekawostką jest cmentarz w Dar Es Salaam z okresu niemieckiego panowania, gdzie na nagrobkach widnieje wiele polskich nazwisk żołnierzy w niemieckich mundurach.

Maksymilian Podstawski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Nieparlamentarnie w parlamencie. Nadija Sawczenko – deputowana do Rady Najwyższej Ukrainy – podczas debaty 22 czerwca. Agencje nie informują, co wywołało taką reakcję.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 6a7debb50e

GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA • GIEŁDA

★ Poeta **Adam Zagajewski** jest pierwszym Polakiem, który otrzymał prestiżową hiszpańską **Literacką Nagrodę Księżniczki Asturii** w dziedzinie literatury.

★ Od czasu wejścia do Unii Europejskiej **polskie inwestycje zagraniczne** wzrosły z 600 mln zł w 2004 r. do 95 mld zł w 2015 r.

★ **Elżbieta Rafalska**, minister pracy, **Mateusz Morawiecki**, wicepremier, minister rozwoju, i **Anna Streżyńska**, minister cyfryzacji, są najlepiej ocenianymi członkami rządu Szydło (sondaż IBRiS dla „Rzeczpospolitej").

★ Filozof **Stefan Wilkanowicz** i psycholog **Bogdan Białek**, redaktor naczelny „Charakterów", zostali uhonorowani **Nagrodą im. Ireny Sendlerowej**, przyznawaną przez fundację Taube Philanthropies za pracę na rzecz umocnienia relacji polsko-żydowskich.

★ **Krakowski Teatr Komedia** został laureatem konkursu **Teraz Polska**. W 25-letniej historii konkursu teatr został nagrodzony po raz pierwszy. Doceniono w ten sposób jego założyciela **Jana Jakuba Należytego** i znakomity zespół docierający do publiczności w całym kraju.

★ **Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Mazowsze" im. Tadeusza Sygietyńskiego** będzie prowadzony jako wspólna instytucja kultury przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego, który zadeklarował 3,2 mln zł, oraz samorząd Mazowsza (16,1 mln zł).

✖ **Prokuratura Rejonowa w Pucku**, która **dwukrotnie umorzyła śledztwo** w sprawie Mirosława M. gwałcącego oraz maltretującego żonę i dzieci, powinna być rozwiązana. Asesor **Małgorzata Koprowska**, dziś adwokat specjalizująca się w prawie rodzinnym, **Bartłomiej Konkiel** – ówczesny zastępca prokuratora rejonowego, i **Piotr Styczewski** – były szef Prokuratury Rejonowej w Pucku, powinni odpowiedzieć za swoje działania.

✖ Po rezygnacji z konkursów w służbie cywilnej **rząd PiS wymienił ponad 1,5 tys. osób** na wyższych stanowiskach w administracji publicznej.

✖ O jedną trzecią wzrosła w 2016 r. liczba **osób tymczasowo aresztowanych.**

✖ **Zakopane, Nowy Targ, Rabka-Zdrój, Limanowa, Stary Sącz i Poronin** należą do gmin z **największą ilością smogu** w ciągu roku. W Zakopanem w styczniu normy były przekroczone przez 20 dni. Strach jechać. Chyba że ktoś lubi drogą kiełbasę, chińskie ciupagi i duszący smog.

✖ **Tylko 43,5% faktur** zostało w 2016 r. zapłaconych w terminie. To o 0,5% więcej niż rok wcześniej. Zaległości wynoszą 19 mld zł. Aż 12% faktur zapłacono ponad 120 dni po terminie. To najgorszy wynik w Europie.

✖ **42 policjantów** zostało skazanych w latach 2008-2016 za wymuszenie zeznań, a w latach 2013-2015 **100 policjantów** wydalono ze służby.

✖ Rośnie liczba **nieletnich popełniających przestępstwa kryminalne.** W 2016 r. było 28 345 takich przestępstw. 11 nieletnich było sprawcami zabójstw.

PRZEBŁYSKI

KEMPA – BMW DOBREJ ZMIANY

Pani Kempa (Beata), człowiek Ziobry u Szydło, a przede wszystkim kadrowa dla ludzi z Sycowa i powiatu oleśnickiego, długo kłamała, że nie była w Komendzie Powiatowej Policji w Oleśnicy tuż po tym, jak policjanci zamordowali człowieka na posterunku we Wrocławiu. Kłamała, że nie zna tych policjantów z Sycowa i okolic, którzy nagle awansowali na kierownicze stanowiska we Wrocławiu i Oleśnicy. Przyznała się do tej wizyty, bo złapano ją na łgarstwie. W kancelarii Szydło wszyscy mają dość jej bałaganiarstwa, skromnej, delikatnie mówiąc, lotności i notorycznych kłamstw. A najbardziej pani Witek. Ale Kempa będzie tam pracować. Bo ktoś tak mierny jest cenny – władzy nie podskoczy.

WRACA WSKRZESICIEL

Ta hucpa nie ma końca. Znowu oszust z Ugandy będzie mamił ciężko chorych ludzi, że ich uzdrowi. Za 60 zł od dorosłych i 40 zł od dziecka ks. John Bashobora będzie uzdrawiał, nawracał, a nawet wskrzeszał. Takie brednie głosi nie tylko afrykański szaman, ale też polski ksiądz Rafał Jarosiewicz, współorganizator występów Bashobory na Stadionie Narodowym. Występów, które Jarosiewicz reklamuje jako „Uwielbienie Jezusa w mocy Ducha Świętego". Kasy do podziału nie zabraknie. Frekwencję będą napędzały brukowce. A zdesperowani ludzie znowu zostaną oszukani.

John Bashobora
Zwykły oszust który nabiera ludzi

UCHO RYDZYKA

Łapy im poucinać, a przynajmniej pozbawić obywatelstwa, a nie cackać się z ludźmi, do których jeszcze nie dotarło, kto dziś rządzi. Jacyś rygoryści nie chcieli puścić spotu reklamowego „Naszego Dziennika", w którym ostrzegano przed straszną zarazą, jaką jest gender. Powołali się na przepisy prawa. Rozśmieszyli tym Krajową Radę Radiofonii i Telewizji, do której PiS skierowało umysły równie twarde ideologicznie, jak to bywało za inkwizycji. Osoba, która zatrzymała spot, zostanie ukarana. A dla rekompensaty ludzie Rydzyka zażądali, by spot był pokazany w głównym wydaniu „Wiadomości" TVP. Za skromnie. Bo Kurski powinien spot puszczać cały miesiąc. I to wraz ze swoim wprowadzeniem. Nauczy się, by żadnego spotu od Rydzyka nie blokować. W TVPiS zaczyna się serial „Ucho Rydzyka".

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, DEMOTYWATORY.PL, ARCHIWUM

eprasa.pl 6a7debb50e

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.sklep.mleczko.pl www.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | W jakich nastrojach kończą rok szkolny uczniowie i nauczyciele?

PROF. KRYSTYNA ŁYBACKA,
była minister edukacji, europosłanka SLD

Nie znam ucznia, który nie cieszyłby się z wakacji. Ale z całą pewnością u wielu z nich ta radość jest zmącona faktem, że nie wrócą do swojej szkoły, a ze zmianą miejsca nauki i wchodzeniem w nowe środowisko zawsze wiąże się niepewność. Nauczyciele w większości nie cieszą się z wakacji, zwłaszcza że prawie nie będą ich mieli. Dla kilku tysięcy pedagogów lato jest początkiem nie odpoczynku, ale bezrobocia i szukania nowej pracy; dla ludzi, którzy zaliczali kolejne szczeble awansu w edukacji i wiązali z nią życie zawodowe, to dramatyczna sytuacja. Kilkanaście tysięcy nauczycieli znajdzie się w nowych szkołach i będzie musiało zupełnie na nowo organizować sobie pracę. Nawet ci, których nie dotknie zwolnienie ani zmniejszenie pensum, odczuwają ogromny niepokój związany z nowymi programami oraz niepewnością co do warunków, jakie będą mogły zapewnić szkołom samorządy w nowej strukturze itp. To będą jedne z najsmutniejszych wakacji w historii polskiej oświaty, która nie zasługuje na chaos, jaki zafundowała jej minister Zalewska.

JUSTYNA DRATH,
polonistka, aktywistka inicjatyw w obronie oświaty

Myśl o nadchodzącym chaosie w edukacji towarzyszy środowisku nauczycielskiemu od lat. Jednak w tym roku nauczyciele odczuwają szczególnie dokuczliwy podskórny lęk. Mnie dotyka on w stosunkowo niewielkim stopniu, ponieważ pracuję w szkole średniej i zmiany nie obejmują mnie bezpośrednio, jednak dla wielu osób znalezienie godzin pracy, nie mówiąc o etacie, będzie graniczyło z cudem, a zewsząd płyną wieści o zbiorowych zwolnieniach koleżanek i kolegów. Krytykowany przez społeczeństwo długi wakacyjny odpoczynek nauczycieli jest absolutnie niezbędny do utrzymania równowagi psychicznej potrzebnej w zawodzie, ale podejrzewam, że w tym roku nie przyniesie efektów. Trzymam kciuki za dzieci, żeby przynajmniej one wypoczęły, chociaż wiele z nich w nowym roku szkolnym także czeka stres i bałagan. Trudno w tej sytuacji myśleć o wakacjach.

BOŻENA KORCZYŃSKA,
czytelniczka PRZEGLĄDU

Współpracuję z kadrą nauczycielską jako organizatorami i opiekunami zajęć pozaszkolnych i wycieczek uczniowskich. Wycieczki zwyczajowo organizuje się na początku lub na końcu roku szkolnego, jednak terminarze na wrzesień są o wiele mniej zapełnione niż w poprzednich latach. Nauczyciele nie są bowiem pewni, czego i jak będą uczyć, w jaki program będą musieli się wpisać. Ci, którzy są przerzucani do innych szkół, nie znają swoich uczniów, co też jest ważne. A najważniejsze: nie wiedzą, czy w ogóle będą pracować lub czy będą chcieli pracować i na jakich zasadach. Skoro poprzednia reforma potrzebowała kilku lat, czy na przygotowanie najnowszej naprawdę wystarczy kilka miesięcy? My już edukację szkolną mamy za sobą, ale owoce tej reformy będziemy musieli wspólnie przełknąć i strawić jako społeczeństwo. Może nie być lekko.

BRUNON POLIS,
uczeń z Łodzi

Niektóre dzieci są zadowolone, że nie pójdą we wrześniu do gimnazjum – chcą zostać w swojej szkole ze względu na kolegów. Ja i kilka innych osób wolelibyśmy już iść do gimnazjum, zamiast uczyć się w tej samej szkole kilka kolejnych lat. Trochę też mnie martwi to, że zmienia się podstawa programowa, bo nie wiadomo, czego będziemy się uczyć. Ale na ogół jesteśmy zadowoleni, ponieważ zaczynają się wakacje.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 6a7debb50e

Rozmawia Robert Walenciak

SIŁA BIAŁEJ RÓŻY

Obywatele RP: Można walczyć z PiS!

PAWEŁ KASPRZAK

– inicjator i lider grupy Obywatele RP, działacz opozycji demokratycznej i Solidarności w czasach PRL, członek Pomarańczowej Alternatywy oraz grupy Wolność i Pokój. Miał nadzieję, że w III RP nie będzie musiał zajmować się polityką, ale nic z tego.

Co panu przyszło do głowy z tymi Obywatelami RP? Spokojny człowiek, spokojna praca i nagle…

– To był banalny przypadek. Dostrzegłem najpierw potok bezprzykładnych łgarstw i nienawiści w kampanii wyborczej, a potem, kiedy już PiS wygrało i powstał rząd, jak kilkadziesiąt tysięcy innych przerażonych ludzi zapisałem się do facebookowej grupy KOD.

I?

– Patrzyłem na ten potok lamentów o tym, co wyprawia nowa władza, i wśród nich przewijały się co jakiś czas pytania: zrobimy coś czy będziemy tylko biadolić? Tworzono rząd, trafił do niego cudownie ułaskawiony Mariusz Kamiński. No, pomyślałem sobie, utrącenie Kamińskiego chyba nie powinno być czymś nierealnym. Do dzisiaj sądzę, że wtedy było to możliwe. Skoro Kamiński wielokrotnie zapowiadał, że pozwie do sądu każdego, kto nazywa go przestępcą, to nic prostszego – należy nazwać go przestępcą i ten proces sprowokować. Samo to jest natychmiastową realizacją postulatów społecznych – drań ma trafić właśnie pod sąd, tego żądaliśmy. Co prawda, oskarżony jestem ja, a nie on, ale na takie poświęcenie mnie akurat stać, a przedmiotem rozprawy będą jego czyny i jego sytuacja prawna. I mimo domniemania niewinności w zasadzie nie powinno być kłopotów, powinienem przed sądem sobie poradzić, cytując akta sprawy, w której był oskarżony i skazany.

Zaczęliśmy od Kamińskiego

O tej akcji nie słyszałem.

– Bo jej nie było – KOD tego nie chciał. Nie życzono tam sobie, żeby jakiś facet, którego nie znają, wymyślał im akcje. Uważano coś takiego za niedopuszczalne łamanie prawa. Sądzono, że to niepotrzebna radykalizacja. I nie chciano wtedy w KOD żadnych konkretnych postulatów, bo formułowano hasła akceptowalne dla jak największej grupy ludzi i obawiano się, że każdy konkret tę grupę zawęzi.

Czyli to Kamiński was stworzył.

– Pośrednio. Nasz los w KOD był krótki. Próbowaliśmy tłumaczyć i apelować, że sprawą Kamińskiego trzeba się zająć. Że da się zamienić ogólne hasło obrony konstytucji na zestaw niekontrowersyjnych politycznie postulatów, których realizacja oznaczałaby po prostu konstytucyjną praworządność. Że Kamińskiego naprawdę da się utrącić, jeśli się przy tym uprzemy. Że nacisk mobilizacji społecznej, tych wielkich marszów, zbiorowych petycji, oraz interpelacji poselskich w połączeniu z radykalnymi wystąpieniami obywatelskiego nieposłuszeństwa, które Kamińskiego kompromitują najbardziej – albo przed sądem, albo w opinii publicznej, kiedy on stchórzy i nas nie pozwie – to wszystko naprawdę może zrobić wyłom w startującej pisowskiej ofensywie. Wskazują na to wszystkie nasze doświadczenia z czasów komuny, kiedy te metody okazywały się skuteczne. Nic! KOD był rzeczywiście sparaliżowany strachem przed prowokatorami, trollami, manipulatorami… Rozmowy trwały dwa miesiące, niczego nie przyniosły, a potem mówiono, że o Kamińskim już nikt nie pamięta.

Wzięliście się więc do innych spraw.

– Tak. Pomyśleliśmy, że jeśli się zelży Andrzeja Dudę, zadziała automatyzm Kodeksu karnego – art. 135 nie wymaga, żeby ktokolwiek nas pozywał za zniewagę prezydenta, to jest przestępstwo ścigane publicznie. Stanęliśmy więc w czwórkę przed Pałacem Prezydenckim z takim dużym transparentem, on rósł, skończyło się na rozmiarze 10 x 4 m. Był na nim napis – cytuję z pamięci – że my, niżej podpisani, obywatele RP, w trosce o godność urzędu prezydenta, mając świadomość art. 135 kk, oświadczamy, że Andrzej Duda jest łgarzem i krzywoprzysięzcą. W pierwszej wersji był jeszcze dopisek, że Mariusz Kamiński powinien trafić pod sąd, a nie do Rady Ministrów. Z tym staliśmy. Zabawnie było patrzeć na ludzi i reakcje, kiedy to czytali, próbując zrozumieć niełatwy przecież sens – w trosce o godność prezydenta lżymy prezydenta.

A łatwo było czekać na interwencję policji?

– Wydawało mi się, że muszą nas stamtąd zgarnąć. Nic takiego nie

eprasa.pl 6a7debb50e

nastąpiło. Za pierwszym razem musiałem sam pokazywać policjantom: tutaj, panowie, jest napisane, że popełniamy przestępstwo, zaraportujcie. I zaczęli raportować, rozmawiali z prokuraturą, parę godzin to trwało, zanim się zdecydowali, że nas pospisują i puszczą – nie rekwirując transparentu. Okazało się, że liczenie na reakcję władz, ludzi albo na to, że zelektryzujemy opinię publiczną, było naiwnością.

Trzy starsze panie pluły mi w twarz

I wtedy złapaliście się za miesięcznice smoleńskie.

– Wiedzieliśmy oczywiście, że bardziej im się opłaca nas zignorować, niż zgarniać i stawiać przed sądem. Skoro dysponentem politycznym tej władzy jest Jarosław, spróbowaliśmy jego wyprowadzić z równowagi i skłonić do gwałtownych reakcji. Miesięcznica to przecież świetna okazja – i w końcu się udało.

Od razu?

– Nie, to bardzo długa historia. Zaczęliśmy w zeszłym roku, w marcu. Stanęliśmy na Krakowskim Przedmieściu, naprzeciw miejsca, gdzie przemawia Kaczyński. I trzeba było determinacji, żeby tam się utrzymać. Policja sięgała po wszystkie możliwe sztuczki, żeby nas wypchnąć. W końcu dopięliśmy swego. *Modus operandi* był zawsze taki – wtedy, w ówczesnym prawie o zgromadzeniach, obowiązywała zasada: kto pierwszy, ten lepszy. Ale żeby nie można było sobie zabukować, jak to ma teraz Kaczyński, na parę lat z góry jakiegoś miejsca, można było zgłosić zgromadzenie najwyżej 30 dni wcześniej. I kto zgłosił się pierwszy, ten miał pierwszeństwo w sytuacji konfliktu dwóch zgromadzeń, których spotkanie zagraża bezpieczeństwu. O północy odbywały się więc zawody – kto pierwszy wciśnie *enter*.

Wciskaliście pierwsi?

– Najczęściej, poza tym zaczęliśmy zgłaszać zgromadzenie, które trwa dobę i zaczyna się dzień wcześniej. W ten sposób byliśmy pierwsi już zawsze, a zgłaszaliśmy dokładnie to miejsce, gdzie Kaczyński ustawiał swoją drabinkę. Po to, żeby na rozprawie administracyjnej, która w takich okolicznościach rutynowo następuje w urzędzie miasta, demonstracyjnie się cofnąć.

Po co?

– Nie można mówić, że się broni konstytucji, gdy narusza się prawa konstytucyjne innych. Oni też mają prawo do demonstracji. Takie było nasze przesłanie – i to był jeden z bardzo istotnych elementów naszego protestu. Uznajemy, że oni mają prawo publicznego kultu religijnego, bo to gwarantuje im konstytucja. I nie nam oceniać, czy jest to szczere, czy nieszczere. Ja jako praktykujący chrześcijanin mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że nic mnie bardziej nie znieważa niż te smoleńskie rytuały. Natomiast jako obywatel, który próbuje stać na gruncie konstytucji, uznaję, że nie mam prawa tego oceniać.

I na rozprawie szlachetnie się wycofywaliście?

– Tak jest. I staliśmy naprzeciwko Kaczyńskiego z transparentem z cytatem jego brata, że wyroki Trybunału Konstytucyjnego są niepodważalne i ostateczne. To wystawialiśmy mu przed nos. Trudno było o bardziej lakoniczny dowód fałszu tego, co on wyprawia i co tam wygaduje. A on oczywiście dostawał dzikiej piany. W tej fazie protestów dochodziło do kryzysów. Oni postanowili nas zmiażdżyć z pomocą służb państwa. Zabudowano więc barierkami miejsce przed Kordegardą, żebyśmy nie mogli tam stanąć. Rzucono na nas policję, żeby oskarżać nas o zakłócanie modlitw. A smoleński tłum podjudzony przez Kaczyńskiego rzucał się na nas z agresją.

Jak pan się wtedy czuł?

– No, stać tam naprzeciw tej nienawiści nie było łatwo, to fakt. Mnie np. opluto. Tak bez przenośni, prosto w twarz. Trzy starsze panie. Jedna po drugiej. To było kompletnie groteskowe – oni się modlili przed swoim ołtarzem, potem odwracali się do nas i atak: wy ch… ubeckie świnie. Dosłownie tak. Miałem obie ręce zajęte sznurkami od transparentów, kiedy mnie opluto, i nawet nie miałem jak obetrzeć twarzy. Moment był bolesny, bo obywatelskie nieposłuszeństwo działa, jeśli ktoś je widzi. Jakby taką scenę pokazały media, to wzmożenie, które teraz mamy, mielibyśmy już wtedy. Bo siła takich protestów polega właśnie na ujawnianiu kontrastów – oni zachowują się jak bydlęta, a my próbujemy zachować się szlachetnie. I na ogół nam to wychodziło.

> Problemem jest dzisiaj, jak w wolnym kraju żyć z wrogami wolności.

> Albo chcemy wodza prowadzącego bezwolny tłum, albo chcemy demokracji.

Przełom nastąpił w kwietniu

Mocno was wtedy sponiewierano.

– Tak i wyglądało na to, że plan jest taki, żeby nas zadeptać. Postawiliśmy Kaczyńskiemu ultimatum – albo nasze prawo do stania naprzeciw niego zostanie przez nich pisemnie zagwarantowane, albo stajemy na krzyżu i nie zejdziemy. Będziesz nas musiał, draniu, wynieść i skompromituje cię to. Wtedy oni ustąpili. Podpisali z nami porozumienie – dołączono mapkę, na której było zaznaczone, gdzie stoimy. Rządząca partia i garstka kilkudziesięciu osób. Dla mnie to był bezcenny dowód, że na tej władzy da się wymuszać realne ustępstwa – i tę wiadomość staraliśmy się przekazać reszcie opozycji. Niestety, blokada na nas w mediach była wtedy szczelna i ten sukces nie przedarł się przez nią, ale rzeczywiście przez kolejne dwa miesiące PiS przestrzegało tego porozumienia z aptekarską precyzją, co wzbudziło moje najwyższe uznanie.

Do czasu.

– Tak, Kaczyński oczywiście nie wytrzymał. W listopadzie znów zaczęli nami poniewierać. Wtedy też zaczęły się te bezczelne oświadczenia prokuratorów smoleńskich, że protesty rodzin sprzeciwiających się ekshumacji ich nie obchodzą, że będą kopać, wyciągać ciała z grobów, bo mają takie prawo i już. To był centralny atak na godność jednostek, na rodziny. Kilkadziesiąt osób z rodzin ofiar przeciwko temu protestowało i nic. Nikt ich nie wspierał.

Więc wy!

– To bardzo ważna część naszego etosu. Obrona praw człowieka, godności ludzkiej. Ataki na godność człowieka prowadzą do dyktatur, do faszyzmu i obozów koncentracyjnych, do komunizmu i gułagów. Nigdy inaczej w historii się nie działo. To zawsze zaczyna się od tego, że

eprasa.pl 6a7debb50e

jakimiś ludźmi można poniewierać, można ich niszczyć, nikt za nimi się nie ujmuje. To był pierwszy powód tego, że staliśmy się jeszcze twardsi. A drugi był taki, że Kaczyński zaprzeczył naszemu prawu, byśmy tam, pod Kordegardą, mogli stać.

Przełomowa była chyba rocznica w kwietniu, bo nagle się okazało, że na Krakowskie Przedmieście przychodzi więcej przeciwników Kaczyńskiego niż zwolenników.

– Tak. W maju np. bardzo trudno było to policzyć, ludzie byli rozpraszani przez policję, nie bardzo wiedzieliśmy, jak się zbierać. Bo doświadczenie pokazywało, że którekolwiek miejsce wskażemy, zostanie zablokowane policyjnym kotłem. Jeśli próbowaliśmy się umawiać *ad hoc*, policja o tym wiedziała i natychmiast udaremniała te próby – inwigilowani jesteśmy bardzo szczelnie.

Wszystko o was wiedzą?

– Nawet gdy usiłujemy się komunikować, pisząc na kartkach. Wtedy w maju próbowaliśmy naiwnie chować się w jakiejś knajpie, żeby potem nagle wyjść. Kiedy się okazało, że to nie ma sensu, bo cała knajpa jest pełna policji w cywilu, a na zewnątrz ustawił się kordon mundurowych, wyszedłem, żeby na ulicy czynić honory domu. Przeszedłem od strony placu Zamkowego pod Kordegardę i z powrotem. I, słowo honoru, miałem łzy w oczach, bo nie nadążałem odpowiadać ludziom na powitania. Było ich mnóstwo. Jedni nieśli kwiaty, drudzy ich nie mieli, jeszcze inni ściskali mi dłoń albo chyłkiem pokazywali uniesiony kciuk. Wyglądało to dziwnie, bo za mną szli policjanci, w pewnym momencie ok. 20, w takim dwuszeregu. A potem, jak ten cały cyrk się zaczął, to tych zgromadzeń było kilka, w różnych miejscach, cholera wie, tam mogło być ok. 1 tys. osób!

300 osób siadło na jezdni

A 10 czerwca?

– Teraz, w czerwcu, ze 300 osób siadło na jezdni, w poprzek Krakowskiego Przedmieścia. Policjanci rozdzielili to na trzy części, mniej więcej równe, tę środkową część wynieśli. I sami mówili, że zatrzymali sto kilkanaście osób, więc zgadza się, było nas 300 ludzi, którzy siedli, wiedząc, że łamią prawo, przygotowani na konsekwencje. 15 razy właśnie to wrzeszczałem przez megafon: zaraz będzie wezwanie policji do rozejścia się i kto nie posłucha, niech ma świadomość, że łamie prawo. Nikt nie wstał. Poza tymi siedzącymi stał jeszcze tłum za barierkami, ludzie przyszli też od strony ul. Karowej, ok. 1-2 tys. osób. A trzeba brać pod uwagę, że to nie był masowy marsz KOD, wesoły, miły, tylko twarda walka. Kiedy się stoi naprzeciw tłumu, który wyje z nienawiści, to człowiek ma potem ochotę wejść pod prysznic. Jak policja idzie interweniować, każdy normalny człowiek po prostu się boi.

> Mamy tak wielką grupę zdeklarowanych wrogów praw człowieka, że są oni w stanie wygrać wybory.

Pan też?

– Miałem sporo okazji, żeby wrócić do dawnej wprawy w takich rzeczach. Mnie to przychodzi bez większego trudu, ale potrafię docenić te 300 osób, które usiadły na chodniku. Ich siłę. Na pamięć znam powody, w tym naprawdę ważne, dla których ludzie decydują się jednak nie brać udziału w takich rzeczach. Trzeba odwagi, by tak usiąść i nie zejść. Kilkanaście z tych osób przyjęło potem mandaty. Policja to zinterpretowała jako oznakę słabości. Ci ludzie są teraz nachodzeni w domach, w sposób, który do złudzenia przypomina mi werbowanie konfidentów w dawnych czasach – policja najwyraźniej sądzi, że właśnie tych ludzi będzie łatwo przestraszyć. Szanowna

Protest Obywateli RP w Łodzi, 26 listopada 2016 r.

eprasa.pl 6a7debb50e

policjo, to nie jest słabość! Znam niektóre przypadki, są choćby rencistki, dla których mandat 500 zł to połowa renty. One przyjechały do Warszawy na demonstrację z drugiego końca Polski. Ale nie dadzą rady przyjeżdżać na procesy. Po prostu ich nie stać. Jaka to determinacja! Wynieśli też Piotrka Pytlakowskiego, nie pierwszy raz zresztą, i Ewę Siedlecką – dla niej to był debiut. Takich dziennikarzy! Ewa Siedlecka doprowadziła do utrącenia kandydata PO na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Oboje są przykładem dziennikarzy o etyce zawodowej najwyższej próby. Za nic w świecie nie pozwalali sobie nigdy na zaangażowanie w spory polityczne. I teraz siadają z nami, uznając, że sprawy zaszły tak daleko. Że trzeba stawić opór, żeby w ogóle niezależne dziennikarstwo mogło istnieć. Tu nie ma mowy o złamaniu bezstronności. Myślę więc, że parę takich momentów przełomowych, i pięknych, i ważnych, nastąpiło.

Frasyniuk się pojawił, to dobrze czy źle?

– Dobrze, oczywiście! To kolejny moment przełomu. Byłem żołnierzem Frasyniuka za tamtej Polski, z Wrocławia przecież pochodzę. Frasyniuka bardzo szanuję, jak mało kogo, prywatnie go uwielbiam, jestem gotów spełniać jego polecenia, nawet gdy nie za bardzo się z nimi zgadzam – bo przy tym wszystkim jest człowiekiem mądrym i tej jego mądrości potrafię zaufać czasem bardziej niż własnej. To niezwykle ważne, że on przyszedł, to jest przełom. Bo do tej pory temu, kto chciał uchodzić za poważnego człowieka, nie wypadało dać się szarpać policjantom. A Władek to zrobił.

Będzie liderem tego oporu?

– I mnie, i Władka niepokoi to, że on teraz jest cały czas lansowany na lidera narodowej rewolucji. Rozmawialiśmy o tym. Oczywiście, żeby była jasność, on nie abdykuje. I oczywiście nadaje się jak nikt inny w Polsce. Ale to naprawdę myślący człowiek i wie, że im bardziej rozpaczliwe są te wołania o lidera: Władku, bez ciebie nie damy rady, tym mniejszy sens w to wchodzić. Sam ma zrobić rewolucję czy jak? Lider może być ważny, natomiast ruch musi się składać ze świadomych i zdeterminowanych ludzi. Albo chcemy wodza prowadzącego bezwolny tłum, albo naprawdę chcemy demokracji.

Blokada zorganizowana przez Obywateli RP i Ogólnopolski Strajk Kobiet podczas miesięcznicy smoleńskiej 10 czerwca. Policja wyciąga Władysława Frasyniuka.

Będzie was więcej 10 lipca?

– Wałęsa się odgraża, że przyjedzie. To byłoby o tyle śmieszne, że on ma ochronę BOR.

Nie zejdziemy z Krakowskiego Przedmieścia

Zaczynaliście w czwórkę. Teraz są was setki, a może i tysiące.

– Zawsze liczyliśmy, że inni się przyłączą. Choć wiemy, że nie będzie nas 30 tys. jak na demonstracji KOD. Ale wciąż wierzymy, że będziemy występować z konkretnymi postulatami, że będziemy je na tej władzy wymuszać. Wtedy, na początku, z Kamińskim, myśleliśmy, że tak będzie. Wąska grupa *desperados*, powodująca silną presję i ogniskująca uwagę opinii, oraz wielka rzesza ludzi z nimi solidarnych, wspierająca ich innymi działaniami, zmierzającymi konsekwentnie do realizacji tego samego postulatu. Myślę, że takim postulatem na dziś jest wolność zgromadzeń. Nie dlatego, że to najważniejsze, bo od tego nie odrosną drzewa, które Szyszko wyciął, ale to byłby istotny wyłom w tej niepowstrzymanej ofensywie PiS.

Da się ją powstrzymać?

– My nie zejdziemy z Krakowskiego Przedmieścia! To już możemy powiedzieć z całą odpowiedzialnością. Zakaz zgromadzeń już nie działa. Jedynym efektem pisowskiej nowelizacji jest kilkaset spraw o wykroczenia i kilkadziesiąt karnych. Błaszczak ostatnio powiedział, że nie dopuści do powtórzenia się scenariusza z 10 czerwca. A ja jestem ciekaw, co dokładnie miał na myśli: zatrzymania prewencyjne czy polewaczki i gaz? Jedno i drugie jest fatalnym wyjściem dla niego, nie dla nas. Błaszczak jest zbyt durny, żeby sobie z tego zdawać sprawę, ale Kaczyński już chyba to wie.

Trzeba naprawdę odwagi, by tak usiąść i nie zejść.

Może te wasze protesty nie są dla nich problemem? Skoro mają 39% poparcia?

– Kiedy się stoi z białą różą naprzeciwko ludzi, którzy dokonują aktów bandytyzmu, siła perswazyjna tego protestu jest niesłychana. I często jest większa właśnie wtedy, gdy mniejszość staje przeciw większości. Tak zawsze działa nieposłuszeństwo cywilne, że zawstydza. Oczywiście Kaczyński się nie zawstydzi i nie zmieni postępowania – to psychologicznie niemożliwe. Ale ludzie, którzy przy nim stoją – to już całkiem inna historia. Tak to

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, PIOTR KAMIONKA/REPORTER/EAST NEWS, MAREK BEREZOWSKI/REPORTER/EAST NEWS

eprasa.pl 6a7debb50e

bywa – przecież nie generałowie miękli w starciu z Gandhim. Opinia publiczna od nich się odwracała.

Ta opinia publiczna, a przynajmniej te 39%, będzie zachęcała do twardości.

– Ale ona też widzi, jak olewana jest brać smoleńska, jaka hipokryzja kryje się za ekshumacjami, jak puste są comiesięczne zapowiedzi o zbliżaniu się do prawdy. Kościół powoli zaczyna reagować. Kard. Nycz stwierdził ostatnio, że to nie Kościół organizuje te miesięcznice – zaraz po oświadczeniu Błaszczaka, że to są obrzędy Kościoła, które my bezczelnie zakłócamy. To bardzo mocne stanowisko księdza kardynała – w dotychczasowej historii bezprecedensowe. Do samych smoleńskich hardkorowców zaczyna docierać prawdziwy obraz hipokryzji PiS. Oni nie tylko zostali odepchnięci od tablic, przed którymi zawsze się modlili i składali kwiaty. Ich nawet do kościoła nie wpuszczono. Po raz pierwszy od siedmiu lat! Nie zrobił tego żaden wojujący antyklerykał, tylko Kaczyński z Macierewiczem i Błaszczakiem! Czciciele Smoleńska do naszej kamery mówili, że teraz widzą, jaka jest prawda. Ci, którzy tam są zawsze i którzy nas już nieźle znają, na nas nie plują.

A ci, którzy was nie znają?

– Po pierwsze, nie jest prawdą, że w kampanii wyborczej PiS nie mówiło, że będzie dokonywało demolki konstytucji. Ono to mówiło. A dziś ta demolka odbywa się ku ogromnej satysfakcji pisowskich wyborców, a w każdym razie ich ogromnej większości. Mamy do czynienia z tak wielką grupą zdeklarowanych wrogów wolności i praw człowieka, że oni są w stanie wygrać wybory. Moim zdaniem to jest większość, a jeżeli nawet mniejszość, to nie taka, którą da się zamieść pod dywan. Bo wrócilibyśmy do tej samej wybuchowej sytuacji, która już raz wysadziła nam państwo. Problemem jest dzisiaj – to jedno z większych polskich wyzwań – jak w wolnym kraju żyć z wrogami wolności. Jak wygrać z PiS, nie pozostawiając wyborców PiS bez reprezentacji politycznej i wpływu na politykę państwa. Jestem przekonany, że musimy teraz wymusić na tej władzy, póki ona rządzi, respekt dla praw mniejszości, dla praw człowieka. To jest fundamentalne. Żeby oni się nauczyli, że istnieją zasady, według których można walczyć o ważne dla nich wartości, nie demolując państwa i wszystkiego wokoło. Obywatele RP niczego innego nie robią, tylko pokazują, że to możliwe. Że da się i wymusić ustępstwa na tej władzy, i własne prawa po prostu sobie wziąć, niezależnie od tego, czy jest się mniejszością, czy większością. I że da się przy tym ani nie rozwalać państwa, ani nie rujnować wartości – szanując prawa przeciwników, respektując werdykt wyborczy.

Robert Walenciak

Kard. Nycz stwierdził, że to nie Kościół organizuje te miesięcznice. Zaraz po oświadczeniu Błaszczaka, że to są obrzędy Kościoła.

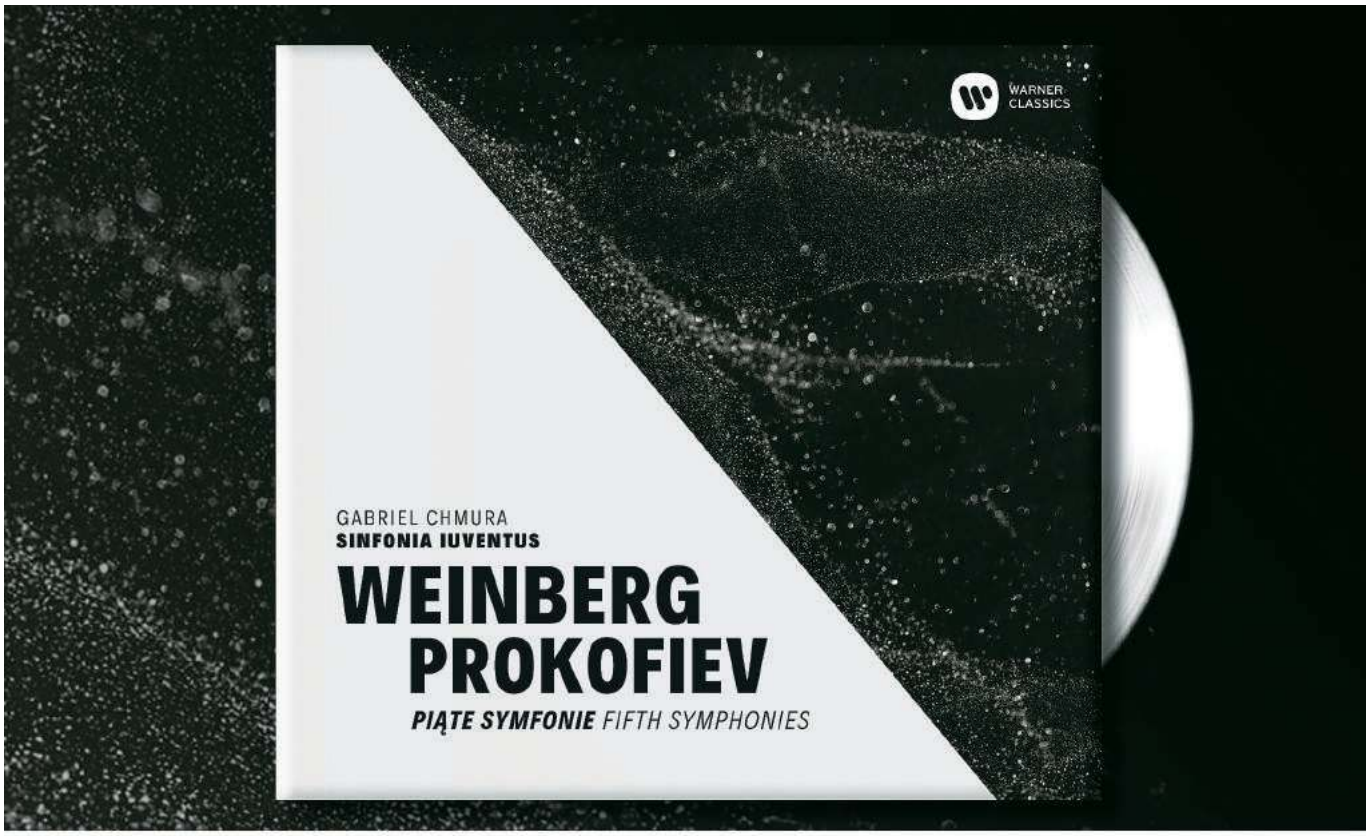

WKRÓTCE W SPRZEDAŻY

PARTNERZY: SINFONIA IUVENTUS, Narodowa Instytucja Kultury prowadzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Ruch Muzyczny

PATRONI MEDIALNI: Przegląd, MWM Muzyka w mieście, Presto, Maestro

eprasa.pl 6a7debb50e

Bez uprzedzeń

Bronisław Łagowski

UTRACONA PODMIOTOWOŚĆ SLD

Zainteresowały mnie wypowiedzi Sławomira Wiatra w poprzednim numerze PRZEGLĄDU i chciałbym niektóre jego spostrzeżenia rozważyć po swojemu. Wydają mi się one zarazem odkrywcze i oczywiste, co – logicznie rzecz biorąc – nie powinno iść w parze. Żyjemy jednak w takim półmroku, że oczywistość trzeba odszukać, sama nie rzuca się w oczy.

Dlaczego wyborcy odeszli od SLD i głosują na inne partie lub wybierają bierność? A dlaczego mieliby pozostawać przy SLD? Głosimy – mówi Sławomir Wiatr – „że transformacja [tj. zmiana ustroju] to my. I to nas pozbawia dystansu do jej efektów. Bo jeżeli miała ona w pewnych obszarach skutki negatywne, to nie można o nich mówić wiarygodnie, jeśli cała narracja SLD dotyczy dumy z transformacji i podkreślania, że to zasługa [między innymi] lewicy. Tymczasem co najmniej jedna trzecia społeczeństwa w tej transformacji nie za dobrze się czuje". I w innym miejscu: „Co mówią najważniejsi ludzie Sojuszu, co celebrują. Łatwo to wyliczyć: 20-lecie konstytucji, referendum akcesyjne, Unia Europejska, rocznica wejścia do NATO. Tymczasem rzecz polega na tym, że im bardziej przypisujemy sobie ten dorobek [w którym byliśmy tylko kolejnym ogniwem i w czym nie ma nic socjaldemokratycznego], tym bardziej sobie szkodzimy". Do tego można jeszcze dodać chwalenie się, że to nie Macierewicz, lecz Szmajdziński zakupił samoloty bojowe F-16 i inne bronie do przewidywanej wojny.

Pisywałem kiedyś o SLD, czasem dość krytycznie, ale było oczywiste, że chciałem pomóc, a nie szkodzić. Przez znane mi osoby z prawicy zostałem z tego powodu uznany za postkomunistę – dlaczego nie, nie byłem komunistą, ale udało mi się załapać przynajmniej na postkomunizm. W SLD moje publikacje echa nie miały. Masę listów otrzymywałem od lewicy niepartyjnej, zawsze z poparciem, gdy życzliwie pisałem o Polsce Ludowej. Nie od aparatczyków, raczej z kręgów inteligenckich i „dyrektorskich". Nie było innego tematu, który budziłby takie pozytywne emocje wśród czytelników, którzy sympatyzowali z lewicą, cokolwiek ta nazwa miałaby znaczyć. Według mojego prywatnego instytutu Gallupa rozejście się grupy kierowniczej SLD z wyborcami było nieuniknione. Głównie z tego powodu, że ta grupa kierownicza, dążąc do zasymilowania się z nową panującą klasą polityczną, chciała mieć innych wyborców, bo uważała, że dotychczasowi, ze swoim PRL-owskim „obciążeniem", kompromitują ją wobec mediów i nowych autorytetów. Solidarności udało się wmówić jej poczucie niższości i winy i niemal całkowicie umysłowo zniewolić. Nikt tam nie śmiał mieć zdania, jeżeli nie zostało ono przedtem objawione przez „Gazetę Wyborczą".

W pewnym momencie, z pewnością za późno, zdałem sobie sprawę, że moje widzenie SLD jest zabarwione chciejstwem, i przestałem się tą partią interesować. Dochodziło do mnie tylko to, o czym trąbiły media. Czasem te nikłe wiadomości były zadziwiające. Pierwsze, co mnie dziwiło, to dobór liderów po Millerze, a ostatnie to upodobnienie się Millera po powrocie do najmniej ciekawych z tych, którzy kierowali partią w międzyczasie. Nawet nie myślę o kandydowaniu pani Ogórek na prezydenta, bo to było wydarzenie z gatunku dziwów natury, których rozumem się nie pojmie i z tego powodu nie można wyciągnąć z nich żadnych użytecznych wniosków. SLD dał sobie wmówić, że jedyny ratunek w otwarciu się na inne nurty czy ugrupowania lewicy i jednoczeniu się z nimi za wszelką cenę. Janusz Palikot założył swoją partię, aby unicestwić SLD i przejąć jego elektorat. Nie było to niewykonalne, ale trzeba było mieć talent polityczny, a Palikot ma zapewne dużo talentów, ale politycznego ani za grosz. Wystąpił jako spekulant w nieznanym sobie biznesie, ale Millerowi i jego partii jednak zaszkodził. Zasada otwarcia się na inne lewice i łączenia sił tak podziałała, że SLD wystąpił w wyborach razem z partią Palikota, której główną namiętnością była chęć pogrzebania SLD.

Włodzimierz Czarzasty spodobał mi się w czasie afery Rywina, ponieważ jako jedyny z SLD nie dał sobie narzucić przez komisję śledczą roli podsądnego. Gdy został wybrany na przewodniczącego, pomyślałem, że to może być dobry wybór. Nie wytrwałem w tym przekonaniu dłużej niż pół dnia, bo usłyszałem jego zapowiedź, że zwolenników będzie szukał w „Krytyce Politycznej" i wśród czytelników „Gazety Wyborczej". Niestety, nie był to lapsus, lecz nieporozumienie wynikające z niewiedzy, czym jest „Krytyka Polityczna" i jaki stosunek do SLD pod kierownictwem Czarzastego mają czytelnicy „Gazety Wyborczej". Jednoczenie się z wrogami swojej partii stało się przyzwyczajeniem Włodzimierza Czarzastego. Nienawiść PiS do postkomunistów jest rutynowa, beznamiętna i niemal zwierzęca. Żywa, namiętna, ludzka wrogość płonie w partii Razem, no i Czarzasty oczywiście uważa, że oni w tym Razem przez pomyłkę go nie cierpią, że dla hecy wołają „cela dla Millera", że wybuch entuzjazmu na wiadomość, że SLD nie wejdzie do Sejmu, o niczym nie świadczy, podobnie jak odmowa podania ręki Czarzastemu przez aktywistkę Razem. Przewodniczący SLD, i zapewne nie tylko on, nie dostrzega, o co temu Razem i „Krytyce Politycznej" chodzi przede wszystkim. Ta pierwsza chce zdobyć, a druga utrzymać i powiększyć znaczący status społeczny i prestiż, w czym jakiekolwiek zbliżenie do upadającego SLD z pewnością nie pomoże. Przeciwnie – zaszkodzi.

Po tylu próbach otwierania się na nic nieznaczące, a wrogie ugrupowania lewicowe w SLD powinni sobie wreszcie uświadomić, że partii są potrzebni nie fałszywi sojusznicy i nie aktywiści rewolucji obyczajowej, o której nie można mówić bez chichotów, lecz solidna frakcja wewnętrzna, która będzie głosić prawdę i stawiać na porządku dziennym tematy, których się boi oficjalne kierownictwo. Dlaczego SLD nie wziął w obronę ofiar reprywatyzacji i nie demaskował tego oszustwa, jakiego PiS i PO dopuściły się wobec rzeszy pierwszej Solidarności i większości społeczeństwa? Dlaczego przemilcza przygotowania do wojny, która przecież nie będzie się toczyć na terytorium USA? Jeśli uważa, że wojny nie będzie i wydatki na zbrojenia są przeznaczone tylko na pokrycie kosztów manewrów i defilad, to niech to powie. Ludzie czekający miesiącami i latami w kolejce do lekarzy specjalistów z zaciekawieniem tego wysłuchają. Trzeba też koniecznie mówić o polityce solidarnościowych rządów wobec najbliższego Wschodu. SLD nie rozpadnie się wskutek istnienia takiej frakcji, bo jak trafnie zauważa Sławomir Wiatr, „chociaż poziom zadowolenia z Sojuszu ludzi tworzących Sojusz jest stosunkowo niski", to „poziom lojalności wobec wspólnej organizacji – bardzo wysoki".

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6a7debb50e

PAŃSTWO ŚLEPE NA

CHORYCH JEST PÓŁ MILIONA, RAZEM Z OPIEKUNAMI CIERPI OKOŁO MILIONA OSÓB. SĄ ZDANI TYLKO NA SIEBIE

Rozmawia Barbara Jagas

Chciałabym porozmawiać o chorobie Alzheimera, zapytać o nowości w terapii.

– A zna pani ostatni raport Najwyższej Izby Kontroli, który mówi, że nie ma opieki specjalistycznej dla chorych, a wsparcie państwa dla pacjentów i ich rodzin jest iluzoryczne? Ani Ministerstwo Zdrowia, ani Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej nie mają rzetelnych informacji o skali zjawiska, więc nie mogą one być wykorzystywane ani do rzetelnego planowania, ani do podejmowania działań. NIK podaje, że w Polsce mamy 0,5 mln osób z otępieniem, z czego 300 tys. to osoby z alzheimerem. Razem z opiekunami ten problem dotyczy 1 mln osób. Te dane przeszły bez echa. Pan minister zdrowia na konferencji, podczas której prezentowano raport NIK, był tylko chwilę.

Jednym z wniosków raportu NIK jest opracowanie standardów wczesnego wykrywania symptomów choroby Alzheimera. Tymczasem wiceminister zdrowia Zbigniew Król twierdzi, że wczesna diagnostyka jest niepotrzebna, bo to i tak nic nie da, „nie poprawi efektu terapeutycznego". Co pani na to?

– Wczesna diagnostyka jest niezbędna, bo dzięki zastosowanym w porę lekom można wydłużyć okres względnej samodzielności chorego do półtora roku. To w starszym wieku dużo dla jego samopoczucia. A przy tym nieoceniony zysk zarówno dla jego rodziny, jak i dla państwa, które nie musi wtedy zapewniać opieki. To znaczy nasze państwo i tak nie zapewnia opieki, ale na świecie utrzymanie przez około dwóch lat samodzielności pacjenta uważa się za grę wartą świeczki. Niemówienie choremu o objawach może spowodować, że w sposób nieodpowiedzialny będzie taksówkarzem, księgową, bankowcem. I będzie robił różne głupstwa brzemienne w skutki dla otoczenia i jego samego. Jeśli nie ma diagnozy, rodzina nie wie, co się dzieje z jej bliskim. Uważa np., że jest złośliwy, agresywny, robi się na starość brudasem. „Mama przestała gotować. Co jej się stało?", pytają bliscy. Nie rozumieją, że chora nie jest w stanie zrobić tego obiadu z powodu choroby. Mam też pacjentki, których mężowie stosowali kary za złe zachowanie żon. „Nie posprzątałaś w mieszkaniu, to nie pójdziesz do kina". A potem, gdy okazywało się, że kobieta jest chora, do końca życia mieli wyrzuty sumienia, cierpieli.

Do 2050 r., jak pisze NIK, liczba chorych na alzheimera wzrośnie czterokrotnie!

– Ale już w 2030 r. pacjentów będzie 1,5 mln i problem ten będzie dotyczył w sumie co najmniej 3 mln osób. Przecież opiekun chorego na alzheimera, a z reguły opiekunka, musi zrezygnować z pracy. Kobieta sandwich, kanapka, nie da rady jednocześnie opiekować się wnukami i rodzicami. Jeśli ktoś się opiekuje chorym na alzheimera, to już na pewno nie będzie mógł jednocześnie zajmować się wnuczkiem. Natomiast jeśli pyta mnie pani o wczesną diagnostykę i postawienie rozpoznania, powiem tyle, że w Polsce czekają nas w przyszłości podobne procesy z powodu niepoinformowania o chorobie jak w USA. Tam osoba chora może za to pozwać lekarza do sądu i zażądać satysfakcji finansowej. Może bowiem powiedzieć: „Panie doktorze, gdybym wiedziała, że mam chorobę Alzheimera, nie zmieniłabym męża i nie zakładałabym drugiego biznesu, bo wiedziałabym, że nie dam rady". W takich procesach wygrywa się ogromne pieniądze. To może nas czekać, dlatego warto nad tym się pochylić. I dodam jeszcze jedno: jako lekarz uważam, że jeśli istnieje choroba, a państwo mówi, że lepiej jej nie zauważać, jest to dowodem kompletnego braku wyobraźni i nieodpowiedzialnej krótkowzroczności.

Zapytam raz jeszcze: jakie są nowości w leczeniu alzheimera? Można mówić o jakimś przełomie?

– Niestety, przez ostatni rok byliśmy świadkami co najmniej dziewięciu spektakularnych nieudanych eksperymentalnych prób leczenia przyczynowego choroby Alzheimera.

Dwa lata temu rozmawiałyśmy o dwóch nowych lekach, które miały być przełomem w terapii.

– Niestety, kiedy w tym roku zaczęto je aplikować pacjentom, okazało się, że są nieskuteczne.

Przypomnijmy, że choroba Alzheimera początkowo, przez pierwsze 20 lat, nie daje objawów. Dopiero po tym okresie pojawiają się pierwsze dolegliwości.

– Tak, chodzi o osoby, które są nosicielami toksycznych mutacji. Wiemy, że toksyczne białka, beta-amyloid i tau, już się odkładają w ich mózgach, chociaż jeszcze nie ma objawów choroby. Mieliśmy nadzieję, że po otrzymaniu leku toksyczne białka zostaną wypłukane, a neurony tym samym oszczędzone przed zniszczeniem.

Bo choroba Alzheimera polega właśnie na tym, że obumierają neurony.

– Tak. Bardzo liczyłam na te dwa leki, dzięki którym miało nie dojść do zniszczenia neuronów. Ale tak się nie stało. W fazie klinicznej leki nie zadziałały.

Nie dały rezultatu u chorych, którzy utracili już 50% neuronów i mieli pierwsze objawy.

– Tak. Ale jest jeszcze jeden tego typu lek, który zadziałał na próbie pacjentów. Toksyczne białko zaczęło się

CHORYCH CORAZ WIĘCEJ

Według szacunków organizacji Alzheimer Europe w Polsce dotkniętych chorobą może być już 500 tys. osób. To prawie 20% więcej niż w 2005 r. Do 2050 r. liczba chorych może wzrosnąć nawet czterokrotnie. W latach 2005-2010 coroczny wzrost liczby chorych utrzymywał się na poziomie ok. 2% Od 2010 r. wynosi już ok. 4% rocznie.

eprasa.pl 6a7debb50e

ALZHEIMERA

PROF. MARIA BARCIKOWSKA

– kierownik Kliniki Neurologii Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA w Warszawie

cofać w ich mózgach. To wprawdzie mała próba, ale jest światełko w tunelu. I mam jeszcze drugą nowość. Otóż w chorobie Parkinsona stosuje się DBS – głęboką stymulację okolic mózgu odpowiadających za aktywność ruchową. Od paru lat robi się tego typu badania u osób z alzheimerem. W 2016 r. opublikował to w swojej pracy kanadyjski uczony prof. Andres Lozano, który pisze, że kiedy stymuluje się za pomocą elektryczności spoidło mózgu, spada tam ilość złogów amyloidowych i objawy choroby Alzheimera zostają złagodzone. Co prawda, badania nad skutecznością DBS ciągle są prowadzone na małych populacjach, nie było jeszcze kilkunastotysięcznej próby, która mogłaby definitywnie tę terapię udowodnić, ale to na pewno jest przełom.

Czy już wszystko wiadomo o tym, jak powstaje choroba Alzheimera? Przeczytałam niedawno, że za pamięć odpowiedzialne jest jądro w komórce, a nie synapsy. Skoro podobno można już odbudować synapsy, to może i pamięć da się przywrócić?

– Wszystko zaczyna się w jądrze komórki. A gdyby sięgnąć głębiej, to w cząsteczce DNA, potem w RNA. Najprawdopodobniej więc zaburzenie prowadzące do alzheimera zaczyna się wraz z patologią DNA, co powoduje obumieranie jądra, potem cytoplazmy, następnie synaps, które są na komórce. Toksyczne białka występują i w samym neuronie, i pomiędzy neuronami. Natomiast od siedmiu-ośmiu lat wiemy o jeszcze jednym białku, TDP-43, które występuje także w jądrze neuronu. Do jego patologii dochodzi w stwardnieniu zanikowym bocznym. Są prowadzone badania nad lekiem, który oddziałuje na to białko. Jeśli się powiodą, chorzy dostaną szansę na terapię.

Mówiła pani, że białka amyloidowe odkładają się nie tylko w mózgu, ale również w układzie krwionośnym.

– Do tej pory uważaliśmy, że źródłem beta-amyloidu, owego toksycznego białka, są neurony. Wiemy, że występuje on też w komórkach glejowych mózgu. Okazuje się jednak, że jest także w naczyniach krwionośnych, czyli we krwi. Jeśli naczynia są zdrowe i nieuszkodzone, z krwi do mózgu nie dostaną się żadne substancje, ponieważ działa tzw. bariera krew-mózg. Ale jeśli nasze naczynia są uszkodzone, np. przez miażdżycę, czyli przestają być szczelne, beta-amyloid przedostaje się z naczynia do mózgu. Dlatego tak ważne jest utrzymanie naszych naczyń krwionośnych w dobrej formie, czyli pilnowanie, aby nie zachorować na nadciśnienie czy cukrzycę, nie doprowadzić do zbyt wysokiego poziomu tłuszczów we krwi, nie mieć zaburzeń rytmu serca czy migotania przedsionków. Są cztery kraje: Szwecja, Niemcy, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, które właśnie dlatego, że dzięki odpowiedniej polityce prozdrowotnej zniwelowały u obywateli te dodatkowe źródła białka prekursorowego dla beta-amyloidu, obniżyły poziom zachorowań na alzheimera. Wiadomo, że w populacji powyżej 65. roku życia co 10. osoba będzie chora, a te kraje obniżyły zachorowalność o 2%.

> Wczesna diagnostyka jest niezbędna.

Czyli można.

– To fantastyczny wynik, bo kilka milionów ludzi nie zachorowało na alzheimera właśnie dzięki temu, że te kraje były w stanie spowodować, aby starsi ludzie zadbali o swoje na-

eprasa.pl 6a7debb50e

czynia krwionośne, co sprawiło, że nie przepuszczają one beta-amyloidu, który trafiłby do mózgu. U nas kłopot polega na tym, że jak pacjent przychodzi po raz pierwszy w wieku 68 lat i go badamy, to okazuje się, że ma wszystkie te choroby. I chociaż zaczynamy je leczyć, od otępienia już go nie uratujemy. Jest za późno, te choroby poczyniły nieodwracalne zmiany. Upowszechniony niezdrowy tryb życia powoduje, że Polacy mają naczynia w fatalnym stanie.

Ważne jest utrzymanie naszych naczyń krwionośnych w dobrej formie.

Niezdrowy, czyli jaki?

– Palenie, picie alkoholu, schabowy na obiad… Wszystko to sprawia, że ludzie, którzy w wieku 40-55 lat nie dbali o siebie, nie będą mogli być leczeni na alzheimera. W tym kierunku powinno się edukować społeczeństwo, tłumaczyć, na czym polega profilaktyka i kiedy należy ją stosować. Tamte cztery państwa to zrobiły i mają efekty. Powtarzam: kilka milionów ludzi uniknęło dzięki temu otępienia.

NIE MA SYSTEMU

Alarmujący raport Najwyższej Izby Kontroli

Według raportu NIK w Polsce brakuje wypracowanego modelu leczenia i opieki nad osobami z chorobą Alzheimera, a w szczególności standardów postępowania diagnostycznego – w tym wczesnej, kompleksowej diagnozy, placówek opieki dziennej i całodobowej, kadr medycznych i opiekuńczych. Niemal cały ciężar opieki nad chorymi przerzucony został na ich rodziny i opiekunów.

Ryzyko zachorowania po ukończeniu 65 lat praktycznie podwaja się z upływem każdych kolejnych pięciu lat. Oznacza to, że na alzheimera zachoruje 3% osób w grupie wiekowej 65-69 lat, 6% osób w grupie 70-74 lata i niemal połowa w grupie wiekowej 85+.

Nie prowadzi się żadnych działań umożliwiających wczesne wykrycie zagrożenia tą chorobą: brakuje badań przesiewowych dla osób w wieku senioralnym, a także mechanizmów dających możliwość postawienia szybkiej diagnozy i podjęcia leczenia już na wczesnym etapie choroby. Lekarze podstawowej opieki zdrowotnej niezwykle rzadko oceniali stan funkcji poznawczych pacjentów w wieku senioralnym. Ustalenia NIK wskazują, że zaledwie 3% Polaków powyżej 60. roku życia miało pamięć badaną przez lekarza rodzinnego z jego własnej inicjatywy. Poza jednostkowymi przypadkami w dokumentacji seniorów nie było zapisów dotyczących stanu funkcji poznawczych lub symptomów wskazujących ryzyko zmian neurodegeneracyjnych i konieczność dalszej specjalistycznej diagnostyki. Informacje takie pozyskiwano tylko wtedy, gdy potrzebę zgłaszali sami pacjenci lub członkowie ich rodzin. Tymczasem dokładna diagnoza ma kluczowe znaczenie we wdrożeniu odpowiedniego sposobu postępowania i leczenia.

Rząd nie przyjął narodowego planu alzheimerowskiego. Aktywnie w tym zakresie działały jedynie organizacje pozarządowe, jednak ze względu na ograniczoną skalę to nie jest wystarczająca odpowiedź na potrzeby chorych.

W innych krajach europejskich opracowano narodowe polityki alzheimerowskie, które kładą nacisk na: wczesną diagnozę, ośrodki specjalistyczne, placówki dziennego pobytu, ofertę dla opiekunów, edukację i profilaktykę, przepisy i standardy, szkolenie kadr, badania naukowe. Wdrożyły je Francja i Wielka Brytania, inne kraje przyjęły część tych rozwiązań.

NIK wnioskuje o podjęcie przez ministra zdrowia, w ścisłej współpracy z ministrem rodziny, pracy i polityki społecznej, takich działań jak:

- zapewnienie dostępu do wiarygodnych danych w celu poznania skali zjawiska oraz problemów chorych i ich opiekunów,
- opracowanie i wdrożenie standardów dotyczących wczesnego wykrywania symptomów choroby Alzheimera oraz standardów postępowania leczniczego i opiekuńczego wobec chorych.

eprasa.pl 6a7debb50e

Niezwykle ważne u osób starszych jest wykonywanie zadań, które wymagają aktywności umysłu.

Jak możemy w Polsce poprawić los chorych?

– Powinniśmy zorganizować ośrodki opieki wielospecjalistycznej – co najmniej trzy w dużych miastach, a w mniejszych przynajmniej jeden – które byłyby centrami krzewienia wiedzy na temat profilaktyki i choroby alzheimera, ale także miejscem, gdzie stawiano by diagnozę. Aby chorzy nie chodzili od specjalisty do specjalisty, co trwa dwa lata i opóźnia diagnozę, a także zmniejsza skuteczność leczenia. W takim ośrodku chory zostałby w ciągu dwóch-trzech dni zdiagnozowany, a potem wróciłby do lekarzy rodzinnych, a oni z kolei nie baliby się przepisywać specjalistycznych leków. I wystawialiby recepty na leki bezpłatne pacjentom po 75. roku życia, czego z kolei nam robić nie wolno.

Czy poradnia zaburzeń pamięci jeszcze działa w pani szpitalu?

– Tak. Mamy jeden taki ośrodek w Warszawie i jest on w mojej placówce, czyli w szpitalu MSWiA.

Mówi pani, że warto wymieniać sobie co roku komórkę na nowszą, aby w ten sposób ćwiczyć mózg.

– Myślę, że warto to robić, aby uczyć się nowych rzeczy. Chociaż nie wiem, czy nie stoją za tym firmy telefoniczne (śmiech). Ale tak, np. moja mama sprawnie posługuje się komórką. I żałuje, że nie ma w domu internetu.

Gratuluję mamie.

– Jeśli chodzi o pacjenta we wstępnej fazie choroby, czyli łagodnego otępienia, posługiwanie się komórką jest dla niego ćwiczeniem umysłu, a także gwarancją bezpieczeństwa – są w telefonach specjalne programy, przeznaczone dla starszych ludzi, którzy, jeśli tylko gorzej się poczują, mogą nacisnąć czerwony guzik i wtedy przyjeżdża lekarz czy pogotowie. Dobrze by było, aby pacjenci będący w początkowej fazie choroby Alzheimera posługiwali się komórkami oraz internetem.

Czy dzięki temu tworzą się nowe komórki nerwowe?

– Nie, ale tworzą się nowe połączenia.

Dzięki ćwiczeniom aerobowym też tak się dzieje?

– Tak, ale w przypadku starszych ludzi polecam marsze, nie są już tak sprawni fizycznie.

Czyli ruch, ćwiczenie umysłu – to wszystko wcale nie jest przereklamowane?

– Wszyscy, szczególnie po czterdziestce, powinniśmy dbać o nasze naczynia krwionośne, a do tego niezbędne są właśnie zdrowa dieta i aktywność fizyczna.

Co jest przyszłością, jeśli chodzi o leczenie alzheimera? Komórki macierzyste?

Dzięki zastosowanym w porę lekom można wydłużyć okres względnej samodzielności chorego do półtora roku.

Według badań opinii, które zostały wykonane na zlecenie NIK, 82% ankietowanych uważa, że z chorobą Alzheimera rodzina zostaje całkiem sama.

PROSZĘ O POMOC, DOSZŁAM DO ŚCIANY

Z forum opiekunów

Kiedy lekarz stwierdził chorobę u mamy, tata odebrał sobie życie. W domu została siostra z trojgiem małych dzieci, a my dochodzimy z bratem, aby pomagać. Wszystko dotąd robiliśmy, jak trzeba: kąpaliśmy mamę, praliśmy jej ubrania, przygotowywaliśmy posiłki. Mama była spokojna i z pokorą poddawała się naszej opiece. Potem zaczęła być zmienna w zachowaniu – albo płaczliwa, albo agresywna, innym razem – wycofana. Najlepiej na jej nastrój wpływała roczna wnusia, która brała babcię za rękę i mówiła: „Babcia, na pacielek idziemy". I potrafiły razem spacerować godzinami po mieszkaniu. Babcia śpiewała jej piosenki i była promienna. Aż tu pewnego dnia położyła się do łóżka i odtąd nie wstaje. Co robić? Do kogo się udać po pomoc?

•

Proszę mi wytłumaczyć, czy choroba Alzheimera ma jakieś etapy. Mój mąż jest bardzo agresywny... Czy to mu kiedyś minie, czy też pozostanie tak do końca? Boję się, jestem sama z tym wszystkim.

•

Mam 16 lat, niewidomego ojca i babcię chorą na alzheimera. Obecnie prawie nikogo nie rozpoznaje i do wszystkich jest wrogo nastawiona. Wyjątkiem jest moja mama, do której babcia zwraca się: Mamo. I tak naprawdę to jedno z nielicznych słów, które wypowiada; oprócz tego przeklina, a tego nigdy nie robiła wcześniej. Poza tym bije mnie i moją starszą siostrę, szczególnie wtedy, gdy chcemy jej pomóc umyć się czy załatwić. Jest nam coraz trudniej, a nie wiemy, ile ten stan agresji jeszcze potrwa. Mam poczucie winy, że nie mogę pomóc finansowo mamie, trochę pomaga siostra, która pracuje i studiuje, ale widzę, że ma dość. Kocham babcię, ale czasami mam ochotę wybiec z domu i zakopać się pod ziemię, przeczekać, aż to wszystko minie.

•

Od sześciu lat opiekuję się mamą, przeszłam wszystkie etapy tej choroby, od lutego mama leży. Teraz zaczęło się najgorsze, coś, z czym nie mogę sobie poradzić – mama przestała łykać. Karmię ją strzykawką i zajmuje mi to prawie cały dzień. Boję się, że nie wytrwam dłużej, co będzie dalej. Nie chcę jej nigdzie oddawać. Ale co mam zrobić. Poradźcie, proszę, pomóżcie!

•

Mam 47 lat i mieszkam z mamą chorą na alzheimera, jestem jej opiekunką. Choroba została zdiagnozowana dwa lata temu – były testy psychiatryczne i rezonans magnetyczny. Mama bierze leki, ale coraz bardziej zapomina, nie wie, co mówiła przed chwilą, powtarza się. Wymyśla

eprasa.pl 6a7debb50e

historie z życia rodziny. Bywa też agresywna, płaczliwa i uparta. Ma problemy z orientacją, więc staram się nie wypuszczać jej samej. Na razie nie chodzę do pracy, ale za moment będę musiała. Nie wiem, co wtedy zrobię. Mama bardzo broni swojej niezależności i próby pomocy z mojej strony kończą się obrażaniem albo awanturą. „Nie rób ze mnie wariatki, nie jestem twoim dzieckiem, nie masz prawa mówić, co mam robić", często powtarza. A gdy się obraża, długo chodzi z posępną miną i nie chce w dodatku jeść, czasem zamyka się w pokoju. Tak jest co drugi dzień. Wiem, że to dopiero początek choroby. Ale co będzie dalej? Już puszczają mi nerwy. Mimo to udaję, że wszystko jest w porządku, staram się być miła. Czuję się jednak zagubiona i bezradna.

•

Chciałabym prosić o pomoc doświadczonych ludzi, bo chyba doszłam do ściany. Moja mama ma alzheimera. Tata, będący w tym samym wieku, jest po dwóch nowotworach. Poza tym jest sprawnym człowiekiem, zapalonym działkowiczem, ale w domu staje się nerwowy. Zauważyłam, że wstydzi się mamy. A ona przestała o siebie dbać, kiedyś nosiła garsonki i szpilki, zawsze umalowana, teraz nosi stare i brudne ciuchy. Zaczęła też chodzić po śmietnikach, zrobiła się chorobliwie oszczędna. Szkoda jej wody na umycie się, czasem nie spuszcza wody w toalecie. A tata elegant, ma ciągle nowe koszule, czyściutki samochód... Obawiamy się z bratem, że tata chce mamę ubezwłasnowolnić. Uważam, że za wcześnie dla mamy na dom opieki, ona jest cały czas bardzo świadoma, dlatego nawet o tym nie myślimy. Ale boimy się, że tata mamę ubezwłasnowolni, a potem ona porzucona – nie będzie miała gdzie mieszkać. U mamy choroba rozwinęła się bardzo szybko, moim zdaniem przez stres związany z nowotworem u taty. Ona wtedy bardzo się nim opiekowała, a on wcale nie chce się nią zajmować. Ostatnio tak się zezłościł, że wykręcił mamie nos, chodziła z sinym. Co robić, pomóżcie, proszę!

•

Mój dziadek Józio choruje na alzheimera od paru lat. Wszystko zaczęło się od zapominania i zmiany zachowania. Dziadek raz był pełen energii, innym razem nieobecny, poza tym nie pamiętał prostych rzeczy. Teraz już leży, tylko czasami z pomocą babci wstaje, mówi pojedyncze słowa, nie pisze, nie czyta. Rozumie za to bardzo dobrze emocje i potrafi je odczytać. Kiedy widzi, że się martwię lub jestem zmęczona, zaczyna płakać. Czasem płacze też, jak zmieniam mu pieluchy albo go kąpię. Jak mu opowiem jakiś żart, to czasem się uśmiechnie. Jednak nieraz zapomina, kim jesteśmy. Nie mogę się pogodzić z tym, że już nie pójdę z nim na spacer ani nie pojedziemy nigdzie rowerami... Kocham go bardzo.

– Jeśli przyczyną choroby jest obumieranie neuronów, najlepiej byłoby wszczepić do mózgu nowe neurony w postaci komórek macierzystych i wszystko wróciłoby do normy. To jednak bardzo trudne. Wiem, że temat komórek macierzystych jest modny i w związku z tym wielu szalbierzy wyciąga od ludzi pieniądze, obiecując tego typu terapię. A takiej nie ma. Komórki macierzyste, których dzisiaj się używa, przeciwdziałają chorobie przez stymulację czynników wzrostu poprzez procesy immunologiczne, których do końca nie rozumiemy. To nie jest tak, że one po prostu odtwarzają warunki anatomiczne, które były przed chorobą. Tego nie umiemy zrobić. Nie potrafimy też wsadzić do mózgu komórek macierzystych, które podejmą funkcję obumarłych neuronów. Przynajmniej w najbliższej przyszłości.

Ludzie, którzy w wieku 40-55 lat nie dbali o siebie, nie będą mogli być leczeni na alzheimera.

A klonowanie?

– Z tym jest mniej więcej tak samo. Możemy tylko np. sklonować komórki nerwowe na zewnątrz. Nawet gdy złamiemy barierę krew-mózg i te komórki wejdą do mózgu, w tej chwili nie ma możliwości odtworzenia ich funkcji w tych obszarach anatomicznych, w których są potrzebne. Nie potrafimy tego zrobić. Być może kiedyś się nauczymy.

Może w jakiś inny sposób da się odtworzyć obumarłe neurony? Proszę o nadzieję.

Prof. Konrad Rejdak z prototypem robota mającego pomagać osobom starszym i chorym na alzheimera.

– Jest jeszcze taki sposób…

Nareszcie dobra wiadomość!

– Kiedyś byliśmy przekonani, że mózg jest doskonały i skończony i tylko może tracić neurony. Teraz wiemy, że mózg również tworzy neurony, ale odbywa się to bardzo powoli. I jakąś alternatywną drogą do zwiększenia liczby neuronów byłaby stymulacja neurogenezy (tworzenia neuronów). To kierunek badań w przyszłości.

Barbara Jagas

STYMULACJA MÓZGU I ANTYCIAŁO DAJĄ NADZIEJĘ

Najbardziej realną nadzieją dla chorych jest głęboka stymulacja mózgu. W 2016 r. prof. Andres Lozano z Kanady stwierdził, że gdy stymuluje się za pomocą prądu spoidło mózgu, spada w nim ilość złogów amyloidowych i objawy choroby Alzheimera zostają złagodzone. Na razie skuteczność tej metody była badana na małych populacjach, nie przeprowadzono jeszcze kilkunastotysięcznej próby, ale specjaliści wiążą z taką terapią duże nadzieje.

Przyszłościowy kierunek badań to także stymulacja neurogenezy (tworzenia neuronów), która powodowałaby zwiększenie liczby neuronów.

Natomiast amerykańska firma Biogen i szwajcarska Neurimmune przeprowadziły próby z antyciałem o nazwie aducanumab. Okazało się, że spowalnia ono mentalną degradację organizmu i może pomóc osobom w bardzo wczesnym stadium choroby Alzheimera. Wyniki tych badań zaprezentowano w magazynie „Nature". Wykazano, że u pacjentów, którzy otrzymywali największe dawki leku i u których nastąpiła największa redukcja toksycznego białka beta-amyloidu oraz tau w mózgu, nie było nawrotu w ciągu sześciu miesięcy. Zastosowano go na próbie 160 pacjentów z pozytywnym rezultatem. Potrzebna jest jednak znacznie większa liczba chorych do przeprowadzenia kolejnych prób, dlatego trwa rekrutacja 2,7 tys. osób w 20 krajach.

Źródło: www.naukaonline.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA GAZETA, JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 6a7debb50e

Z Galicji

Jan Widacki

SUWEREN

Cyganka chodzi po domach. Wyczuwa w nich chorobę. Ale ma na nią sposób. Wszystkiemu winne są pieniądze. Właściwie to takie podejście antykapitalistyczne. Bliskie sercu każdego Polaka, podobnie jak Matka Boska. Trzeba wszystkie pieniądze przynieść, złożyć w chuście lub ręczniku i odczarować. Trzeba też z Cyganką modlić się żarliwie do Matki Boskiej. Matka Boska mówi Cygance, że to jeszcze nie wszystkie pieniądze. Właścicielka mieszkania ze wstydem przyznaje, że rzeczywiście, jeszcze trochę ma gdzieś schowane, głupio jej, że nie wierzyła, że przed Matką Boską nic się nie ukryje, a przecież Cyganka, jak widać, ma kontakt z Matką Boską. Cyganka mówi, że trzeba dorzucić wszystkie kosztowności. Obok pieniędzy w chuście (lub ręczniku) lądują więc pierścionki, łańcuszki, broszki, medaliki. Trzeba jeszcze przynieść szklankę z czystą wodą. Cyganka modli się, mamrocze czary na przemian z modlitwą. Woda w szklance zaczyna się gotować. W wodzie pojawia się kłębek czarnych włosów. Cyganka objaśnia: to kołtun, gorszy od samego szatana. Zaraz go wyprawi precz.

Coś na rzeczy niby jest. Polski kołtun to rzecz straszna. Nawiasem mówiąc, ma nawet łacińską nazwę, *plica polonica*, i od dawna jest uważany za coś okropnego, swoiście polskiego, choć ostatnio raczej symbolicznego. I w dwójnasób strasznego. Właścicielka mieszkania patrzy na Cygankę z nadzieją. Ta każe znów modlić się do Matki Boskiej i patrzyć w oczy obrazu. Któż pobożny takiego wezwania nie usłucha? Ale to daje Cygance czas na przerzucenie zawartości chusty (lub ręcznika) do własnej torby. Zawija teraz tę chustę lub ręcznik, wiąże w supeł i rzuca w kąt. Zaleca, by tam nie zaglądać przez trzy miesiące, dać chorobie szansę na wyniesienie się. Na razie wynosi się Cyganka. Właścicielka mieszkania jest przez chwilę szczęśliwa. Wyprawiła z domu wszystkie choroby, a przecież wiadomo, że zdrowie najważniejsze. Ale ciekawość, ten pierwszy stopień do piekła, nie pozwala czekać aż trzech miesięcy. Niektórzy zaraz po wyjściu Cyganki, inni nieco później, z ciekawości zaglądają. Odkrycie jest jedno: zawiniątko puste. Nie ma Cyganki, nie ma pieniędzy, nie ma biżuterii, nadal nie wiadomo, czy w mieszkaniu jest jeszcze choroba, czy tylko kołtun. Bo polski kołtun na pewno pozostał.

Ofiarą padają nie tylko proste, schorowane, leciwe kobiety na wsi. Także miejskie paniusie, nawet prowadzące dość rozległe interesy. Jedna, bojąc się, by choroby nie przyczaiły się na pieniądzach złożonych w banku, przerywa misterium i jedzie po depozyty. Cyganka cierpliwie czeka. Kilkudziesięciu oszukanych. Nie każdy zgłosił to na policji, więc może ich być kilkuset. Różny wiek, różne zawody, wioseczki i duże miasta. Chciałoby się powiedzieć: reprezentatywna próba suwerena.

Naiwność, głupota, wiara w zabobony i gusła – przemieszane z dewocją. Aż trudno uwierzyć, że rzecz się dzieje w Europie, w XXI w. W katolickim (podobno) kraju, który chce dawać przykład Europie. A jednak. Kołtun polski gorszy od diabła. Zaiste, Cyganka prawdę mówi! Racjonalizm oświeceniowy, jak widać, nie zakorzenił się nad Wisłą. Niektórzy są z tego nawet dumni. *Plica polonica* górą!

Choć państwo polskie istnieje tylko teoretycznie (jak trafnie zauważył swego czasu minister Sienkiewicz; ta wypowiedź przytaczana jest z lubością, wprawdzie zdarzało mu się mówić rzeczy mądrzejsze, ale tych rządzący dziś nie cytują), oszukany suweren pędzi do policji lub prokuratury, by zgłosić swoją szkodę (faktycznie głupotę). Suweren ma już do państwa – od dwóch lat przecież istnieje realnie, nie tylko teoretycznie! – zaufanie. Ratujcie! Łapcie oszustkę! Państwo dwoi się i troi. Oszustkę złapano. Kołtun polski wciąż jest na wolności i ma się dobrze. Ba, coraz lepiej. Oszukani domagają się kary dla oszustki już, natychmiast. Gdy słyszą, że muszą poczekać na wyrok sądu, denerwują się. Niektórzy zapowiedzieli, że napiszą do ministra Ziobry, by przyśpieszył postępowanie, a najlepiej, by wyręczył sąd. Suweren jakby niczego się nauczył w ostatnich tygodniach. Przecież od wyręczania sądu jest nie minister Ziobro, tylko pan prezydent. Telewizji reżimowej nie oglądają? Abonamentu nie płacą czy co?

Żal mi tych ludzi, którzy przez naiwność lub, mówiąc wprost, głupotę potracili wszystkie oszczędności, dorobek całego nieraz pracowitego życia. Żal mi ich po ludzku. Szczerze!

Jednak sprawa ta pokazuje przy okazji smutny obraz naszego społeczeństwa. Niby katolickiego, ale wierzącego w gusła i zabobony. Mieszającego z nimi dość starannie religię. Powinno to być sygnałem dla szkoły: niech chowa dzieci w duchu oświecenia, w duchu poszanowania godności ludzkiej i wolności, w kulcie nauki. To także sygnał dla Kościoła. Wasza katecheza, jak widać, zawodzi. Czy jest pomysł na inną? Nie widzę. A kto miałby ją prowadzić? Czy Kościół polski widzi, że „lud boży" ustawicznie myli religię z zabobonami, wiarą w gusła, unieważniając przy okazji nie tylko nauczanie papieża Polaka, ale także papieża Franciszka? Jakże różny jest dziś Kościół polski od tego powszechnego. Nie będąc powszechnym, jest po prostu niekatolickim. *Ex definitione*! To nie opinia. To wynik analizy logicznej!

Na razie mamy to, co mamy. Nie dziwmy się zatem, że 40% Polaków popiera PiS, wierzy w zamach smoleński, bombę termobaryczną na pokładzie tupolewa i we wszystkie teorie spiskowe, które w sposób prosty (co z tego, że na ogół bardzo głupi) opisują i objaśniają rzeczywistość.

Nic nie wskazuje, by w ciągu kilku lat dało się to zmienić. Smutne, ale prawdziwe.

Poprzednie felietony na www.przeglad-tygodnik.pl

eprasa.pro a7debb50e

Wojciech Osiński

PIERWSZE BATALIE

Emmanuel Macron oczarował rodaków, ale czy spełni ich oczekiwania?

Po kolejnym zwycięstwie Emmanuela Macrona europejskie media znów prześcigają się w superlatywach. 18 czerwca jego ruch La République En Marche! (LREM) i sprzymierzona z nim partia MoDem (Ruch Demokratyczny) zwyciężyły w drugiej turze wyborów, zdobywając 350 miejsc w 577-osobowym parlamencie. To daje im wygodną, absolutną większość. „Prezydent jest cudownym dzieckiem! Naród odesłał prawie wszystkich posłów do domu!", cieszył się Patrick Klugman na łamach lewicowego dziennika „La Libération".

Na pierwszy rzut oka wynik głosowania do Zgromadzenia Narodowego wydaje się kolejną falą politycznego tsunami, wywołanego ostatnimi wyborami prezydenckimi. Jednak pochlebstwa, które francuskie gazety zamieściły na pierwszych stronach, są nieco na wyrost. Eksperci zakładali, że LREM zdobędzie ponad 400 miejsc i wyeliminuje opozycję. Tak się nie stało. Ponadto rekordowo niska była frekwencja wyborcza. Przeszło połowa Francuzów nie poszła do urn. W komentarzach – również w Niemczech – pobrzmiewają więc także nuty rozczarowania. „We Francji rozpoczynają się nowe czasy. Młody przywódca ma powody do radości. Macron skonsolidował swoją władzę i może spokojnie modernizować kraj, ale teraz musi pokazać, co potrafi", pisze nadreński dziennik „Rheinische Post". Natomiast berliński „Tagesspiegel" zauważa, że niska frekwencja wyborcza powinna być ostrzeżeniem dla Macrona.

„Czy nowy francuski parlament rzeczywiście odzwierciedla wolę narodu, skoro połowa wyborców nie wzięła udziału w głosowaniach?", pyta dziennik „Stuttgarter Zeitung". Korespondent badeńskiej gazety, Axel Veiel, ostrzega przed powrotem Francji do „absolutyzmu" i ma nadzieję, że Macron w błogim poczuciu triumfalizmu nie zapomni o dialogu z osłabioną opozycją.

MACRON ZMIENIA ŚWIAT

Tylko z pozoru sytuacja Macrona jest wygodna. W rządzie i klubie parlamentarnym oprócz socjalistów znalazło się wielu centrystów i konserwatystów, co w przyszłości może być źródłem wewnętrznych konfliktów. Macron wygrał, ale teraz musi nie tylko zdyscyplinować ekipę, lecz także przekształcić swój ruch w partię. We francuskim Senacie, stanowiącym drugą izbę parlamentu, większość nadal mają republikanie. Francuzi nie dali więc Macronowi zupełnie wolnej ręki, jednak twierdzenia, że niska frekwencja to ostrzeżenie przed jego absolutystycznymi zapędami, są przesadą. Takie przekonanie starają się wytworzyć niektóre media, jak choćby „Le Figaro". W oba czerwcowe weekendy (wybory do Zgromadzenia Narodowego odbywają się w dwóch turach) była piękna pogoda i każdy chciał wyjechać za miasto. Co więcej, po wyborach prezydenckich, poprzedzonych pełną skandali kampanią, wyborcy mieli dość polityki. Sondaże przewidywały zresztą wyraźne zwycięstwo ruchu Macrona, co zniechęciło większość wyborców do wzięcia udziału w kolejnych głosowaniach.

Na razie euforia związana z nowym ruchem nie słabnie. Francuzi cenią Macrona za odwagę. Za to, że na majowym spotkaniu z Władimirem Putinem w Wersalu potrafił przywitać go jak bliskiego przyjaciela, a potem mocno podkreślić różnice (np. w sprawie Syrii). A po wyjściu USA z porozumienia klimatycznego zareagował na Twitterze pikantną ripostą: *Make our planet great again!* (Uczyń naszą planetę znowu wielką). Zaproponował też amerykańskim ekologom, że w razie potrzeby mogą przenieść swoje instytuty do Francji, aby swobodnie poświęcić się badaniom. Trudno o celniejszą reakcję. Odtąd nie tylko francuskie tytuły, jak „Le Point", twierdzą, że Macron zastąpił Angelę Merkel w roli przywódcy wolnego świata. Komentarze gospodarza Pałacu Elizejskiego w kwestii

eprasa.pl 6a7debb50e

Parada wojskowa na Polach Elizejskich po zaprzysiężeniu prezydenta Macrona miała wzmocnić dumę narodową.

JOWISZA

zmiany klimatu publikują liczne amerykańskie portale, a redakcja „The New York Times" zachęca do prenumeraty swojej gazety reklamą z wizerunkiem prezydenta Francji oraz hasłem: „Czytajcie NYT i dowiedzcie się, jak Macron zmienia świat".

DYMISJE W NOWYM RZĄDZIE

Francuzi zakochali się w Macronie, bo zapowiedział zmiany. W atmosferę przełomu ochoczo włączyło się wielu polityków z innych ugrupowań. Liderowi LREM zdają się kibicować nawet ci, którzy nie odważyli się zmienić partyjnych barw. „Ja nie jestem w Ruchu, ale chciałbym, żeby zadziałał", oznajmił republikanin Thierry Solère na łamach „Le Figaro". Francuzi są spragnieni szybkich reform. Gdy w 2012 r. Hollande został wybrany na prezydenta, wszyscy mieli nadzieję, że przewietrzy nie tylko Pałac Elizejski, ale i cały zatęchły system. Były szef socjalistów wolał jednak najpierw pojechać na wczasy. Można śmiało przypuszczać, że Macron w wakacyjną pułapkę nie wpadnie, jego miodowe miesiące są bowiem naszpikowane terminami. Swoim pierwszym pomysłem nowy prezydent szykuje grunt pod wszystkie dalsze projekty. Za sprawą ustawy o jawności życia publicznego (*moralisation de la vie politique*) Francuzi mają odzyskać zaufanie do demokracji i polityków.

Jednak to, co się dzieje w powyborczym Paryżu, coraz mniej się kojarzy z zaufaniem. Zaledwie kilka tygodni po powołaniu rządu Macron stracił trzech ministrów. Do dymisji podali się minister obrony Sylvie Goulard, szef resortu sprawiedliwości François Bayrou oraz minister ds. europejskich Marielle de Sarnez. Wszyscy troje są związani z sojuszniczą partią MoDem, borykającą się w tych dniach z zarzutami fikcyjnego zatrudniania, wskutek których poległ niedawno na polu wyborczej bitwy François Fillon. Niewykluczone, że posypią się dalsze dymisje. Minister ds. spójności terytorialnej Richard Ferrand trzyma się jeszcze nowego stanowiska, ale jak długo? Bretończyk Ferrand uchodzi za bliskiego przyjaciela Macrona i był pierwszym socjalistą, który przystąpił do En Marche!

HONOR I BLASK

Mniej kłopotów Macron będzie miał z przeforsowaniem ustawy antyterrorystycznej, którą planuje dopiąć w ciągu pierwszych stu dni prezydentury. Papierkiem lakmusowym jego gromko zapowiedzianej przebudowy będzie jednak dopiero reforma rynku pracy, wymagająca znacznie większego wysiłku niż dobry PR.

Na tym polu Macron akurat dobrze sobie radzi. Zachowuje się dziś podobnie jak w latach 2014-2016 jako minister gospodarki i podczas kampanii prezydenckiej, tyle że z nieco większą pewnością siebie. Macron nie chce być głową państwa, która jest wystawiona na tabloidowe zainteresowanie ogółu (jak Hollande) lub kojarzona z „nadpobudliwym pajacykiem" („Le Parisien" o Sarkozym). „39-letni prezydent oczarował rodaków, ale kiedy przywróci im dumę?", pyta tabloid „Le Parisien". Lider LREM pragnie przywrócić swojemu urzędowi honor i blask. Stąd wypełniające łamy gazet wywiady, w których Macron podkreśla, że chce być nie zwykłym prezydentem, lecz „mężem stanu jak Jowisz". Stąd pompatyczna parada wojskowa na Polach Elizejskich po zaprzysiężeniu. Stąd błyskawiczna wyprawa do Mali, aby odwiedzić francuskich żołnierzy, oczywiście zawsze z wybranymi dziennikarzami, kreślącymi nieodmiennie sympatyczny obraz prezydenta. Na razie w kwestiach wizerunkowych wszystko idzie jak po maśle.

Francuski rząd nie jest przebojowy, ale Macron dotrzymał obietnicy, złożywszy gabinet z polityków lewicy i prawicy, młodych i starszych. Nawet jeśli – tak jak teraz – niektórzy ministrowie popadają w niełaskę, to odchodzą bardzo szybko, zanim prawnicy zaczną wyznaczać im terminy w kalendarzach. Rząd Édouarda Philippe'a nie wywołał prasowych fajerwerków, ale trudno nazwać Macrona hipokrytą. A czy się sprawdzi, to dopiero się okaże. Na razie ruch LREM jest po prostu modny i przyciąga jak magnes wszelkiej maści niepogodzonych ze światem idealistów. Macron wykonał tak znakomitą pracę właśnie dzięki wprzężeniu w starania o zbudowanie centrum ludzi z wszystkich ugrupowań. Postulatami odrzucenia barier klasowych i zapewnienia każdemu pełni przyrodzonych praw prezydent zdobył ogromny kredyt zaufania, które nadszarpnąć mogą albo nieudane reformy, albo pewna skłonność do arogancji.

Przypomnijmy, że w mitologii obok Jowisza występują także inni bogowie. „Panie prezydencie, kim jesteś – Jowiszem czy Merkurym?", pyta „La Tribune". Nie brakuje bowiem oponentów, którzy tylko czekają na okazję, aby obnażyć Macrona jako butnego parweniusza lub podłożyć mu minę.

ROZCZAROWANY POLSKĄ

A co oznacza nowa „rewolucja francuska" dla Unii Europejskiej i dla Polski? Jak wiadomo, Macron zmierza w kierunku przemeblowania nie tylko Francji, ale także całej Unii i jej rynku. Według jego założeń Unia powinna w przyszłości wystawić jednego wspólnego ministra gospodarki i finansów, który miałby reprezentować wszystkie państwa członkowskie. W tym celu mogłyby zostać połączo-

eprasa.pl 6a7debb50e

ne funkcje komisarza ds. walutowych i gospodarczych oraz szefa Eurogrupy, co nie wymagałoby zmian w traktatach UE. W strefie euro ma z kolei powstać jednolity budżet inwestycyjny, co zostałoby jednak zrealizowane kosztem wspólnego (i np. dla Polski dość szczodrego) budżetu po 2020 r. Z tymi zamierzeniami Macron musi jeszcze poczekać do jesiennych wyborów w Niemczech.

Zresztą z polskiego punktu widzenia nie ma się co łudzić. Macron nie wysyła zbyt życzliwych sygnałów pod adresem Warszawy. Już na finiszu kampanii nowy prezydent Francji podkreślił, że nie będzie tolerował „nierespektowania praw i wartości UE" przez władze Polski, wyrwała mu się też dygresja o sankcjach. W wywiadzie udzielonym w zeszłym tygodniu ośmiu europejskim gazetom Emmanuel Macron mówił: „Kiedy dziś słyszę niektórych wschodnioeuropejskich polityków, to myślę, że dopuszczają się oni podwójnej zdrady. Decydują się na porzucenie zasad, na odwrócenie się plecami do Europy, na cyniczne podejście do UE, która miałaby służyć do rozdawania kredytów, ale nie znaczyłaby nic w sensie wartości. Tymczasem Europa nie jest supermarketem. (…) Kraje Europy, które nie przestrzegają jej reguł, muszą ponieść wszystkie tego konsekwencje polityczne".

Nawet jeśli te zapowiedzi na razie nic nie znaczą (Merkel nie chce przed wyborami stawiać sprawy Polski na ostrzu noża), dobór słów wiele mówi o rozczarowaniu Macrona Polską. Natomiast w sprawie Rosji, Ukrainy i NATO prezydent Francji będzie raczej kontynuatorem linii swojego poprzednika, której twardość budziła u Francuzów sympatię.

Macron chce rodakom udowodnić, że odpowiedzią na palące problemy francuskich pracowników jest Unia, a nie zamykanie granic. Chce pokazać, że Francja w Unii to skuteczne narzędzie do zajęcia się ujemnymi stronami globalizacji. Jego żarliwa krytyka celuje m.in. w niemiecką nadwyżkę handlową, ale przy okazji także w dumpingowe koszty pracy w Polsce. Macron wywodzi się z elit straszących przed dekadą „polskim hydraulikiem", zabierającym pracę francuskim fachowcom. Prezydent należy – i tu akurat działa w pełnej zgodzie z Berlinem – do zwolenników regulacji dyskryminujących zagraniczną konkurencję. Nie kto inny jak on – były minister gospodarki w rządzie Vallsa – stoi za ustawą z 2015 r., utrudniającą życie polskim przewoźnikom drogowym. Kierowcom tirów Macron kojarzy się głównie z licznymi regulacjami prawnymi. Przepisy o płacy minimalnej i rozmaite biurokratyczne kruczki, generujące dodatkowe koszty, stanowią oręż Berlina i Paryża przeciwko polskim firmom transportowym, które po 13 latach członkostwa w Unii wyrosły na poważnego konkurenta m.in. dla Francji, korzystającej z 35-godzinnego tygodnia pracy. Macron obiecał tzw. reformę delegowania. Polakowi delegowanemu do Francji należy się francuska płaca minimalna, aczkolwiek składki społeczne, emerytalne i zdrowotne są opłacane w Polsce, co obniża koszty francuskiego zleceniodawcy. Ta ustawa w Macronowskiej „nowej Francji" raczej nie zostanie złagodzona. Tuż przed wyborami prezydenckimi szef LREM nie zawahał się oskarżyć Polski o rozgrywanie różnic kosztów pracy w UE, a w roli ministra w latach 2014-2016 opowiadał się za określeniem minimum praw socjalnych w Unii.

Francuzom spodobała się szybka reakcja Macrona na wyjście USA z porozumienia klimatycznego i wypowiedź Donalda Trumpa o globalnym ociepleniu.

TANIEC NA LINIE

Na razie rodacy Kartezjusza są przesiąknięci duchem rewolucji, z jego nadrzędnym założeniem, że najpierw musi się wyklarować sytuacja w samej Francji. W kraju rozrywanym ulicznymi rozruchami pozytywne emocje szybko może jednak schłodzić niecierpliwość wyborców. Od 2008 r. na niepotrzebnym wyczekiwaniu stracił każdy kolejny rząd. Niejeden minister musiał wycofać się ze swoich planów pod presją manifestacji. Emmanuel Macron nie może sobie pozwolić na podobną sytuację. Jego wizerunek nie doznał jeszcze uszczerbku, ale na dłuższą metę będzie zależał od przebiegu modernizacji kraju i nakręcenia koniunktury. Warunkiem tego będzie trwałe powstrzymanie rodaków od wchodzenia na barykady, np. wtedy, gdy zabierze się im zabezpieczenia społeczne.

Następne miesiące będą więc niełatwym tańcem na linie, Macron musi bowiem balansować między wizją opiekuńczego państwa tłumiącą konkurencyjność a radykalizmem rynkowym, na który po lewej stronie nie będzie śladu przyzwolenia. Tutaj zarówno socjaliści, jak i marksiści Jeana-Luca Mélenchona (La France insoumise) będą nieustępliwi. Lecz także Front Narodowy sprzeciwia się zbyt radykalnym liberalnym reformom.

W walce o godziwe warunki na rynku pracy na pierwszym planie pojawią się natomiast bezkompromisowi związkowcy. Macron twierdzi, że jego reformy zaowocują większą liczbą miejsc pracy, ale dla związków zawodowych to jedynie kolejna sztuczka elit, chcących szybciej i łatwiej zwolnić francuskiego pracownika. To będzie pierwsza trudna batalia Macrona, przy czym już lada chwila okaże się, czy prezydent ma narzędzia mogące przerwać niemożność zreformowania kraju. Na pewno sprzyjają mu zarówno optymistyczne prognozy dla francuskiej gospodarki, jak i wiara społeczeństwa w lepszą przyszłość.

Wojciech Osiński

FOT. AP/EAST NEWS, TWITTER

eprasa.pl 6a7debb50e

Inne możliwe

Roman Kurkiewicz

NOWA POLSKA NIE JEST W NIEBIE

Bohaterami publicystyki ostatnich tygodni są tzw. symetryści, czyli ci z komentujących wydarzenia polityczne, którzy nawet kiedy krytykują PiS, nie zapominają o przewinach poprzedników, czyli głównie Platformy Obywatelskiej. Symetryzm polega też na zauważaniu pozytywnych ruchów PiS, co może osłabiać wrażenie czystej, sterylnej, idealnej diabelskości formacji Jarosława Kaczyńskiego. Zarzut symetryzmu, czyli fałszywej i pozornej równowagi w działaniach PiS i PO, ma uświadomić symetrystom/kom, że pozornie krytykując PiS, *de facto* wspierają je, gdyż: wyciągają podobne (choć istnieje różnica skali) przewiny poprzedników, przez co zdejmują odium wyjątkowej odrazy, jaką winno budzić PiS zawsze i wszędzie, i z każdego powodu. Nie wolno np. pochwalić programu 500+, który – jak wynika już z szacunków badaczy – w istotny sposób osłabił wymiar skrajnego ubóstwa tysięcy rodzin. Przemoc policji jest nagle niesłychana i nieznana (wbrew faktom opisanym choćby w raportach Rzecznika Praw Obywatelskich). Słusznie polemiści zauważają, że lepiej byłoby uprawianie polityki opozycji wobec PiS oprzeć na obronie wartości życia politycznego, państwowego, kształtu i charakteru instytucji publicznych, a nie „na kierunku partyjnym": PiS zawsze złe, Platforma zawsze dobra. Rzadko w historii rządy robią same głupstwa, a wszystkie ich ruchy są całkowicie pozbawione sensu i mają wyłącznie destrukcyjny charakter – jest to raczej rodzaj płynnego balansu między głupotą, dobrymi chęciami, żądzą rewanżu i odrobienia lat chudych, mniej lub bardziej (przeważnie mniej) spójnym pomysłem na zmianę, celnymi posunięciami, które poprzednikom nie zaświtały w głowie – albo nie wystarczyło im odwagi lub wyobraźni, by je przeprowadzić.

Demolka, jaką Polsce zaaplikowało PiS, jest dla nas wielką szansą na nowe otwarcie.

W Polsce odbywa się rodzaj rządowo-parlamentarnej rewolucji zmieniającej państwo w jego konstytucyjnym wymiarze. Choć do formalnej większości konstytucyjnej rządzącym daleko, uważają swoje partyjne jedynowładztwo (w rzeczy samej to pierwszy taki przypadek po roku 1989, więc jest coś na rzeczy) za wystarczającą legitymację do zmian fundamentalnych – takich jak naruszenie struktur trójpodziału władz (operacja podporządkowania sobie sądownictwa jest w toku i na najlepszej dla rządzących drodze), wywrócenie do góry nogami pomysłu na nasze relacje z Europą i budowanie nowych, egzotycznych sojuszy czy w końcu okraszona rasistowską, nierzadko antyunijną retoryką manifestacyjna obstrukcja antyuchodźcza. Poza tym niemal każdy resort prowadzi swoją intifadę, a wszystkie one owocują dziesiątkami nowych otwartych frontów: likwidacja gimnazjów, pomysły na opłaty za leczenie, demolka w Puszczy Białowieskiej, budowa amatorsko-bojówkarskiej podarmii, szastanie publicznymi pieniędzmi na lewo i prawo, w końcu jawna polityka kadrowa o charakterze czysto nomenklaturowym. I o tym wszystkim Polcy i Polaki wiedzą, są poinformowani, choć z gigantycznym dodatkiem propagandy w wykonaniu tzw. mediów narodowych, czyli spartyjnionych przez PiS mediów publicznych (którymi wszak nie były niemal nigdy w ciągu prawie 30 ostatnich lat; degrengolada postępowała stopniowo: teoretycznie publiczne, były najpierw bardziej państwowe, potem rządowe, teraz partyjne, a dyktatorskie już chyba nie są nawet konieczne). I PiS osiąga relatywnie maksymalne, rosnące poparcie w sondażach. To znaczy, że obywatele i obywatelki nie przykładają aż takiej wagi do poczynań partii Jarosława Kaczyńskiego, w całościowej ocenie plusy przeważają nad minusami, a tęsknota za minionym czasem łagodnie szemrzącej ciepłej wody bynajmniej nie jest jakąś potęgą.

Rzecz jasna, nie absolutyzuję wyników sondaży, zauważam jednak potężny rozziew między oceną i językiem oceny PiS przez regularną i mniej regularną opozycję a efektem, jaki to przynosi. Może zatem warto zadać sobie pytanie, czy nie należałoby przenieść ciężaru politycznego sporu z dominującego pola krytyki władzy (warsztatowo zgódźmy się nawet, że jest to krytyka totalna, choć nie jest) na pole nowej oferty politycznej, która nie jest przywróceniem dawnej normalności, bo na taką normalność nie ma już nie tyle miejsca, ile żadnej szansy i zgody. Polsce Kaczyńskiego (żeby nie pisać Macierewicza, Ziobry, Pawłowicz, Kuchcińskiego, Przyłębskiej) należy przeciwstawić Polskę nie nazwisk, lecz pomysłów politycznych, nowej, otwartej wizji demokracji, która nie zapomina o milionach swoich obywateli, demokracji, która gotowa jest bronić nie tylko formalnych ram procedur demokratycznych (nikt nie będzie ginął za Trybunał Konstytucyjny, choć sposób rozprawienia się z nim uważam za zbrodnię polityczną). PiS zmusza nas do opowiedzenia sobie Polski na nowo, Polski zasad i wartości, których chcemy żywych i rzeczywistych, a nie literalnych i półmartwych. Bronić z determinacją można państwa, które wznoszone jest dla nas wszystkich, a nie dla politycznych rozprowadzaczy. Tak więc demolka, jaką Polsce zaaplikowało PiS (i seria celnych posunięć politycznych), jest dla nas wielką szansą na nowe otwarcie. Także w polityce. Historia się nie skończyła ani nie zatoczyła koła, historia wyrwała nam drzwi na oścież i mamy szansę dokonać wyboru: dokąd, z kim, jak i po co wyruszyć w nową drogę.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6a7debb5de

BO RZĄD NIC NIE ZROBIŁ

Tragiczny pożar Grenfell Tower nie był wypadkiem. Był efektem zaniedbań systemowych

Tomasz Borejza

W 2009 r. w londyńskim Camberwell wybuchł pożar. W jednym z mieszkań na dziewiątym piętrze 14-piętrowego bloku o nazwie Lakanal House zapalił się telewizor. Ogień szybko rozprzestrzenił się w starym budynku. Zginęło sześć osób, 20 było rannych. Dochodzenie wykazało, że w wieżowcu przez wiele lat zaniedbywano przeprowadzania koniecznych remontów oraz stosowania się do przepisów i zaleceń przeciwpożarowych. Ponieważ był to budynek komunalny, odpowiedzialność spadła na radę dzielnicy Southwark. Dzielnica znajduje się wprawdzie w sąsiedztwie centrum miasta i finansowego City, ale jest jednym z najgorszych skupisk londyńskich slamsów. Samorząd bronił się, wskazując, że kolejne cięcia budżetowe powodują, że od lat brakuje pieniędzy na konieczne remonty.

Wymóg używania ognioodpornych materiałów przy remontach elewacji zniosła w 1986 r. Margaret Thatcher.

Pożarem zajęła się międzypartyjna komisja parlamentarna. Przygotowała zalecenia i domagała się, by jak najszybciej wdrożyć je w podobnych budynkach. W marcu 2014 r. posłowie wysłali do ministra społeczności lokalnych (w Wielkiej Brytanii ten resort zajmuje się samorządami) Stephena Williamsa list, w którym pisali: „Skoro dysponujesz już wiarygodnymi dowodami uzasadniającymi aktualizację zaleceń przeciwpożarowych, która pozwoli uratować ludziom życie, nie musisz czekać kolejne trzy lata ponad te dwa, które już minęły od zakończenia dochodzenia, by zacząć działać. (…) Jeżeli szacuje się, że w Wielkiej Brytanii są jeszcze 4 tys. starych bloków mieszkalnych, które nie mają automatycznego systemu przeciwpożarowych tryskaczy, to czy naprawdę możemy sobie pozwolić, by kolejna tragedia wydarzyła się, zanim naprawimy tę słabość?”. Minister list zignorował i nie zdecydował się na działanie.

PRZEWIDZIELI TRAGEDIĘ

Wśród wspomnianych 4 tys. budynków był Grenfell Tower. Blok mieszkalny zbudowany w latach 70., który na pierwszy rzut oka niewiele różni się od naszych budynków z wielkiej płyty. Różnicę widać dopiero, kiedy przyjrzymy się szczegółom – w PRL na ogół budowano porządniej niż w Wielkiej Brytanii i w zgodzie z bardziej restrykcyjnymi przepisami dotyczącymi bezpieczeństwa. Londyński 20-piętrowy wieżowiec miał np. tylko jedną klatkę schodową. Był też zaniedbany.

Kilka lat temu grupa mieszkających w nim ludzi zaczęła prowadzić blog. Zwracali uwagę na zagrożenia związane ze złym stanem budynku. W tym na zagrożenia pożarowe. W 2013 r. opublikowali listę zastrzeżeń, którą sporządził inspektor BHP pracujący dla zarządcy budynku – Kensington and Chelsea TMO, jednego z największych administratorów nieruchomości w Wielkiej Brytanii. Wskazano, że sprzęt przeciwpożarowy znajdujący się w budynku nie był sprawdzany od czterech lat, a większość gaśnic nie tylko jest przeterminowana, ale ma nawet naklejki informujące o niesprawności. Samą listę przekazano nie tylko samorządowi, ale też ministrowi budownictwa. Ten jednak nie odpowiedział.

W styczniu 2016 r. opublikowano wpis donoszący, że w razie pożaru ludzie zostaną uwięzieni w budynku, ponieważ jedyna klatka schodowa jest regularnie zastawiana m.in. starymi meblami. Znów nie było reakcji. W listopadzie napisano tak: „Tylko katastrofa pokaże niewydolność i niekompetencję KCTMO. (…) Przewidujemy, że nie minie dużo czasu, zanim słowa napisane na tym blogu wrócą do kadry zarządzającej KCTMO. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by mieć pewność, że władze dowiedzą się, jak długo i w jak zatrważający sposób właściciel naszego budynku ignorował odpowiedzialność za zdrowie [*sic!*] i bezpieczeństwo mieszkańców oraz najemców. Nie będą wtedy mogli powiedzieć, że nie zostali ostrzeżeni!”.

WYSTARCZYŁO SZEŚĆ MINUT

14 czerwca tuż przed pierwszą w nocy w jednym z mieszkań na czwartym piętrze Grenfell Tower zapaliła się lodówka. Lokatorzy wezwali straż pożarną, która przyjechała po sześciu minutach i szybko poradziła sobie z ogniem wewnątrz mieszkania. Jednak kilka minut wystarczyło, by ogień zaczął się rozprzestrzeniać po elewacji. Strażacy byli bezsilni. Część mieszkańców, zgodnie z wiszącymi na klatkach schodowych instrukcjami, zamiast uciekać z budynku, została u siebie. Inni zachowali się rozsądniej i nie tylko sami zaczęli uciekać, ale też budzili sąsiadów i kazali im się ewakuować. Jako jedni z pierwszych zareagowali muzułmanie, którzy z racji ramadanu jedli posiłek dopiero po zachodzie słońca. Dzięki temu natychmiast zauważyli pożar, ratując życie sobie i innym lokatorom.

Przez kolejne godziny 250 strażaków z 45 zastępów straży pożarnej starało się ugasić ogień oraz ewakuować z budynku uwięzionych w nim ludzi. Utrudniały to palące się na korytarzach śmieci i gęsty dym, który powodował, że powyżej czwartego piętra widoczność była zerowa. Jednocześnie lokatorzy próbowali ratować się sami. Byli tacy, którzy spuszczali się z okien na naprędce związanych prześcieradłach.

eprasa.pl 6a7debb50e

Protestujący w Londynie domagają się wymierzenia sprawiedliwości winnym zaniedbań, które doprowadziły do tak tragicznych skutków pożaru w budynku Grenfell Tower.

Znaleźli się też rodzice, którzy uratowali dzieci, wyrzucając je przez okna. Media donosiły o zrzuconym przez matkę z 10. piętra niemowlęciu, które zostało złapane i wyszło z opresji bez większych obrażeń. A także o pięcioletnim chłopcu wypchniętym z piątego piętra, u którego skończyło się podobno na kilku złamaniach i potłuczeniach.

Cała akcja gaszenia pożaru trwała ponad dobę. Jeszcze 12 godzin od jego wybuchu trwała ewakuacja, a telewizyjne kamery zarejestrowały, jak udało się uratować starszego, niedowidzącego mężczyznę, który mieszkał na 11. piętrze. W sumie ratownicy pomogli 65 osobom. Ofiar pożaru było co najmniej 79. Co najmniej, gdyż podejrzewa się, że w wieżowcu mieszkali niezarejestrowani imigranci lub lokatorzy, o których władze nie wiedziały i o których nikt dotąd się nie upomniał. Był to najtragiczniejszy pożar w Wielkiej Brytanii od początku XX w., czyli odkąd takie wypadki się rejestruje.

ZARZĄDCA ZAOSZCZĘDZIŁ

Pożar rozprzestrzenił się tak szybko, gdyż zapaliła się założona w czasie przeprowadzonego niedawno remontu oblicówka. Jej wypełnienie zostało prawdopodobnie wykonane z palnego materiału. Zarządca budynku postanowił zaoszczędzić i jeszcze przed rozpoczęciem remontu zrezygnował z usług pierwotnego wykonawcy, gdy znalazł się inny, gotowy zrealizować prace o 30% taniej. Na oszczędności miało pozwolić m.in. to – spekulują fachowcy – że niepalne wypełnienie zastąpiono materiałem tańszym o dwa funty za metr kwadratowy. Szczegóły powinno ujawnić dochodzenie, które zapowiedziała premier Theresa May.

Powinno, ale niekoniecznie tak się stanie. Dwa zapowiedziane dochodzenia pominą kluczowy aspekt sprawy. W jednym Rada Gminy Kensington i Chelsea, która sama jest obarczana winą za zaniedbania, zajmie się wyjaśnianiem przyczyn pożaru. W drugim rząd ma sprawdzać zaniedbania tej rady. Można więc przypuszczać, że dochodzenia stwierdzą winę zarządcy oraz samorządu jednej z najbogatszych dzielnic Londynu, który postanowił zaoszczędzić na bezpieczeństwie lokatorów swoich budynków. Wiele osób sugeruje, że były to zaniedbania celowe, chodziło bowiem o to, by doprowadzić wieżowiec do takiego stanu, w którym można będzie wyeksmitować lokatorów komunalnych i sprzedać działkę deweloperowi. Wartość nieruchomości w tym miejscu liczy się w dziesiątkach i setkach milionów funtów.

Strażacy szybko ugasili pożar w mieszkaniu. Jednak ogień zaczął się rozprzestrzeniać po elewacji.

Nie wydaje się natomiast, by dochodzenia zajęły się winą rządu, choć zaniedbania, które doprowadziły do tragedii, mają charakter systemowy. Sophie Khan, prawniczka, która reprezentowała ofiary pożaru Lakanal House, mówiła na antenie BBC, że jest ciekawa, co takiego wie Theresa May, że boi się publicznego dochodzenia, nad którym nie będzie miała kontroli i w którym nie będzie mogła zamieść niewygodnych faktów pod dywan. A tych może być sporo. Wiadomo na pewno, że tory-

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 6a7debb50e

sowscy ministrowie ignorowali zalecenia ekspertów, a nawet komisji parlamentarnej, i blokowali zmiany w prawie budowlanym. Pokazano już korespondencję skierowaną do czterech ministrów gabinetów Camerona i May, którzy uznali, że zmiany przepisów nie są konieczne, lub mówili, że nie są pilne. Sam wymóg wykorzystywania ognioodpornych materiałów przy remontach elewacji zniosła jeszcze w 1986 r. Margaret Thatcher.

Z wielu innych ograniczeń zrezygnowano później, kierując się troską o interes deweloperów i tłumacząc wszystko walką z biurokracją, która świetnie wpisuje się w torysowską ideologię. To spowodowało, że sprawa stała się – jak napisała redaktorka działu mieszkaniowego „The Guardian" Dawn Forest – „jednoznacznie polityczna". Dostrzegli to także laburzyści, w tym Jeremy Corbyn, którzy nie tylko natychmiast weszli w rolę adwokatów ofiar pożaru (zażądano m.in. znalezienia dla nich lokali zastępczych i wykorzystania w tym celu mieszkań w Kensington, które należą do bogaczy i stoją puste), ale też zaczęli domagać się zmiany systemu, by uchronić uboższych Brytyjczyków przed kolejnymi tragediami i pozwolić im godnie mieszkać.

Mieszkań w fatalnym stanie są na Wyspach tysiące, a lokatorów zdanych na łaskę i niełaskę ich zarządców liczy się w milionach.

Takie postawienie sprawy spotkało się z uznaniem. Corbyn jest w tej roli autentyczny, bo od lat walczy o lepsze budownictwo komunalne. Do tego Grenfell Tower nie jest wyjątkiem, tylko regułą. Mieszkań w fatalnym stanie są na Wyspach tysiące, a lokatorów zdanych na łaskę i niełaskę ich zarządców liczy się w milionach. Remonty przeprowadza się bez nadzoru, a doprowadzanie budynków do stanu, w którym nie nadają się do zamieszkania, by zarobić na sprzedaży działek – to już praktyka. Ludzie wiedzą, że londyńska tragedia nie była wypadkiem. Była efektem zaniedbań systemowych, których dałoby się uniknąć, gdyby tylko państwo chciało o to zadbać. Ale nie chciało, wspierając interesy wielkiego biznesu oraz najbogatszej części społeczeństwa.

Wiedzą też, że wielu z nich mogło lub może znaleźć się w podobnej sytuacji. Dlatego kiedy Theresa May wychodziła pod eskortą policji z wymuszonego przez media spotkania z pogorzelcami, podczas którego zadeklarowała wysupłanie kilku funtów na pomoc dla nich, tłum przywitał ją gniewem i krzyczał: „morderczyni", „tchórz", „wstyd", by przytoczyć tylko najlżejsze epitety. Niedługo po tym zapowiedziano, że osoby, które w pożarze straciły mieszkania, otrzymają nowe w luksusowym apartamentowcu w Kensington, gdzie ceny dochodzą do 8 mln funtów. Gruntownych zmian w prawie jednak nie obiecano.

Tomasz Borejza

Porzucony, stary pies - potrzebuje Twojej pomocy.

Jeszcze nie zaczął się lipiec, a już rośnie liczba porzucanych zwierząt. Wakacje to czas gdy schroniska i organizacje pro-zwierzęce notują największą ilość przyjęć. Błąkające się po ulicach, wiązane do drzew i słupów przydrożnych, niechciane, bez dachu nad głową. Nero też błąkał się po ulicy. Bez celu, bez chipa, bez obroży. Chudy, zaniedbany i stroniący od ludzi. Ot, zwykły stary kundel, którego ktoś się pozbył. Wcześniej zapewne pilnował czyjegoś domu, podwórka. Życie podwórkowych burków nie jest usłane różami. Nie dla nich miękkie posłanie czy własny kocyk, nie dla nich smaczki i dobra karma. Nie dla nich czułe głaskanie i długie spacery z właścicielami. Bo zwykłe wiejskie burki powinny się cieszyć, że mogą pilnować obejścia, w zamian za miskę odpadków z pańskiego stołu. Mogą, aż się nie zestarzeją. Bo gdy zaczynają źle wyglądać, chorować, łatwiej się takiego pozbyć, niż leczyć. Zwłaszcza gdy zbliżają się wakacje, a z psem nie ma co zrobić.

Nero zaopiekowała się dolnośląska Fundacja Centaurus. Sfinansowała odrobaczenie, szczepienia, kastrację i zabieg robiący porządek z jego zębami, które były w tragicznym stanie. Tak tragicznym, że nie mógł pogryźć jedzenia. Ale stan Nero wcale się nie poprawia. Pies wygląda z dnia na dzień gorzej. Nero pilnie potrzebuje pełnej diagnostyki i leczenia, a to kosztuje. Działacze fundacji zwracają się z gorącą prośbą o wsparcie dla staruszka.

Jeśli możesz pomóc leczyć Nero dokonaj wpłaty na konto Fundacji Centaurus PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350 (adres: ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław). Z dopiskiem dla staruszka Nero.

Więcej informacji o piesku uzyskasz na stronie: www.psiaplaneta.pl lub pod numerami 518-569-487, 518-569-488. Czytelnicy mogą też pomóc wysyłając SMS o treści NERO na numer 74567. Koszt 4,92 z VAT.

Fundacja Centaurus działa dla zwierząt od 2006 roku. Centaurus to blisko 1000 ocalonych koni, 50 osiołków, paręset psów, wiele kotów, liczne zwierzęta gospodarskie. One wszystkie żyją dzięki takim osobom jak Ty. Organizacja nie ma żadnych dotacji. Bez Twojego wsparcia ratowanie nie byłoby możliwe.

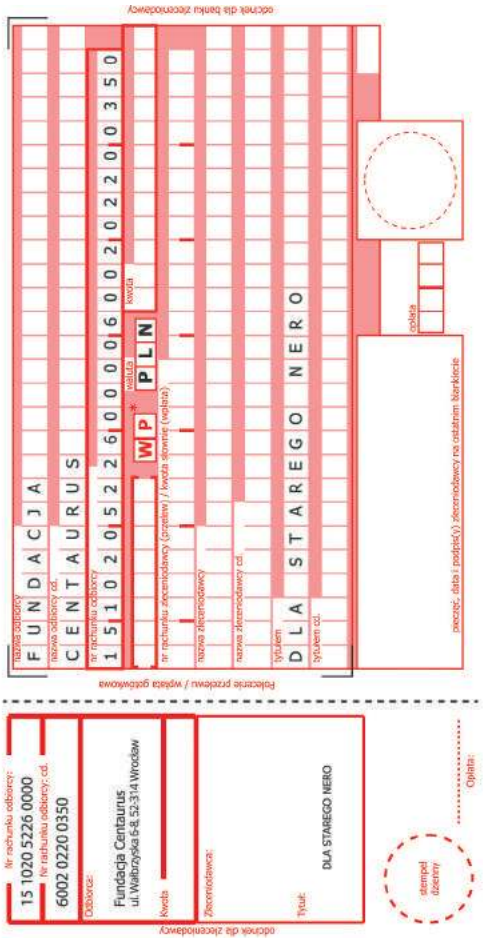

eprasa.pl 6a7debb50e

Włodzimierz Galant
Korespondencja z Kopenhagi

DANIA NIE KARZE ZA BLUŹNIERSTWO

Chociaż konstytucja uznaje Kościół ewangelicko-luterański za narodowy, duński parlament złagodził prawo

Od wielu miesięcy trwała w Danii dyskusja o zasadności zniesienia przepisów umożliwiających karanie za bluźnierstwo. Wydawało się, że temat lada moment umrze śmiercią naturalną, bo sprawy wiary i religii nikogo tam specjalnie nie interesują. Oczywiste było, że dotychczasowe, archaiczne – jak je określano – przepisy mogłyby zostać zastosowane jedynie w przypadku, gdyby obraza uczuć lub obiektu kultu dotyczyła coraz liczniejszej grupy tutejszych muzułmanów. A wymierzenie rodowitemu poddanemu Małgorzaty II kary za takie przewinienie bardzo bolałoby Duńską Partię Ludową (Dansk Folkeparti, DF), sytuującą się najbardziej na prawo na tutejszej scenie politycznej.

PARAGRAF SŁUŻĄCY PRZEŚLADOWANIU

Aż tu nagle 19 maja dziennik „Politiken" opublikował manifest międzynarodowej grupy intelektualistów, uczonych i dziennikarzy wzywających Danię do zniesienia zapisów o bluźnierstwie. Tekst zatytułowano „Znieście paragraf o bluźnierstwie", a podtytuł brzmiał: „Zakaz bluźnierstwa stoi w sprzeczności z duńską tradycją wolnej, nieskrępowanej debaty i sytuuje Danię w grupie państw nieliberalnych". Ilustracją był rysunek Philipa Ytournela przedstawiający publiczną toaletę, gdzie zdesperowany użytkownik przybytku pyta innych: „Czy ktoś ma trochę papieru?". Widać przy tym, że w żadnej kabinie papieru nie ma, więc być może każdy posłuży się tym, co ma pod ręką…

W tekście przypomina się czytelnikom o sprawie z końca lutego br., kiedy to media poinformowały o rozpoczęciu śledztwa zmierzającego do ustalenia, czy Duńczyk, który w 2015 r. spalił w swoim ogrodzie Koran i zamieścił w internecie film dokumentujący ten czyn, może/powinien być skazany za obrazę uczuć religijnych. Faktycznie była to sprawa dość niezwykła, bo po raz pierwszy od roku 1971 duńskie sądy postanowiły wszcząć postępowanie z paragrafu o bluźnierstwie. Autorzy manifestu zwracali uwagę, że sama przymiarka do skazania w tej sprawie jest dowodem na cofanie się duńskiego wymiaru sprawiedliwości niemal o półwiecze. Przepisu pozwalającego skazywać za bluźnierstwo nie da się pogodzić z wolnością słowa czy prawem do swobodnej wypowiedzi. Jest on jednocześnie sprzeczny z zapisami mówiącymi o tym, że wszyscy są wobec prawa równi.

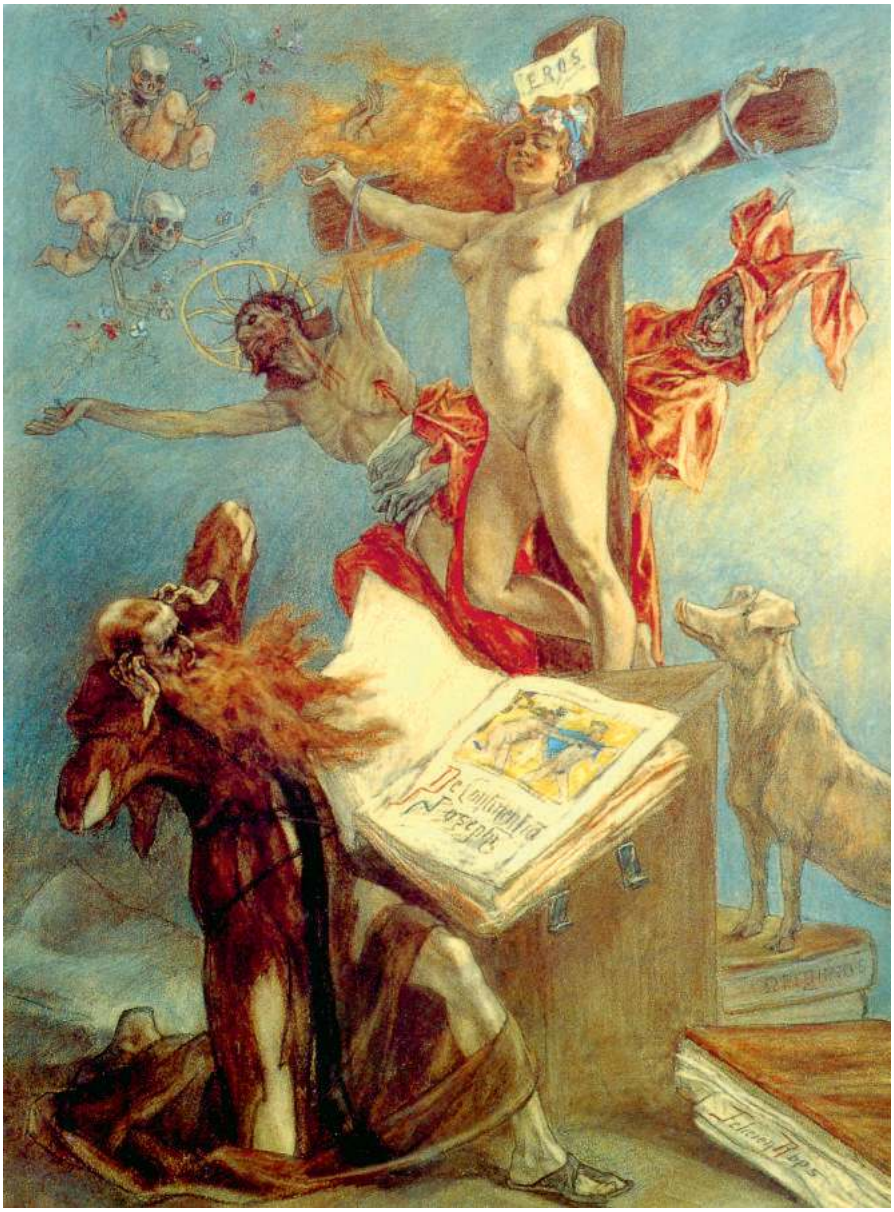

Obraz „Kuszenie św. Antoniego" wykorzystano jako ilustrację w „Kristeligt Dagblad", jedynym w Danii dzienniku o charakterze religijnym.

eprasa.pl 6a7debb50e

Manifest przywoływał również słowa Thorbjørna Jaglanda, sekretarza generalnego Rady Europy i przewodniczącego Komitetu Noblowskiego, który w kwietniu stwierdził, że bluźnierstwo nie powinno pociągać za sobą kary, gdyż wolność sumienia stanowi część prawa do swobody wypowiedzi. Przypominał też, że od roku 2014 Holandia, Norwegia, Islandia i Malta zniosły możliwość karania za bluźnierstwo. Od roku 1970 nie ma kary za bluźnierstwo w sąsiadującej z Danią Szwecji. Porównanie ze Szwecją i Norwegią zawsze jest dla tutejszej opinii publicznej bardzo ważnym argumentem. Dodatkowo zwracano uwagę, że utrzymywanie przez Danię przepisów pozwalających na karanie za bluźnierstwo ma reperkusje międzynarodowe, a także osłabia wysiłki innych krajów na rzecz zniesienia kar za tego rodzaju naruszanie prawa. Konsekwencje ponoszą zarówno wierzący, jak i niewierzący na całym świecie. W krajach takich jak Pakistan, Mauretania, Iran, Indonezja i Rosja przepisy dotyczące bluźnierstwa są wykorzystywane w walce z mniejszościami narodowymi oraz dysydentami politycznymi i religijnymi. Utrzymywanie przez kraje zachodnie – w tym Danię – przepisów o karaniu bluźnierstwa legitymizuje działania tych krajów.

Na zakończenie manifestu autorzy napisali: „Prawo dotyczące bluźnierstwa legitymizuje często przemoc i terror. W Pakistanie, Nigerii i Bangladeszu wolnomyśliciele, mniejszości religijne oraz ateiści są bezpardonowo atakowani i często mordowani przez ekstremistów. W świecie, w którym wolność wypowiedzi jest w odwrocie, a ekstremizm dziarsko prze do przodu, kraje demokratyczne muszą iść na czele walki o prawa człowieka i pokazywać, że niewykluczające innych, pluralistyczne i tolerancyjne społeczeństwa należy budować na prawie do wolności myślenia i wypowiadania swoich myśli, jak też prawie do wiary w to, w co chce się wierzyć. Zniesienie karalności za bluźnierstwo jest dowodem, że solidaryzujemy się z ofiarami stosowania tego prawa, a nie z tymi, którzy za pomocą tego rodzaju przepisów prześladują innych".

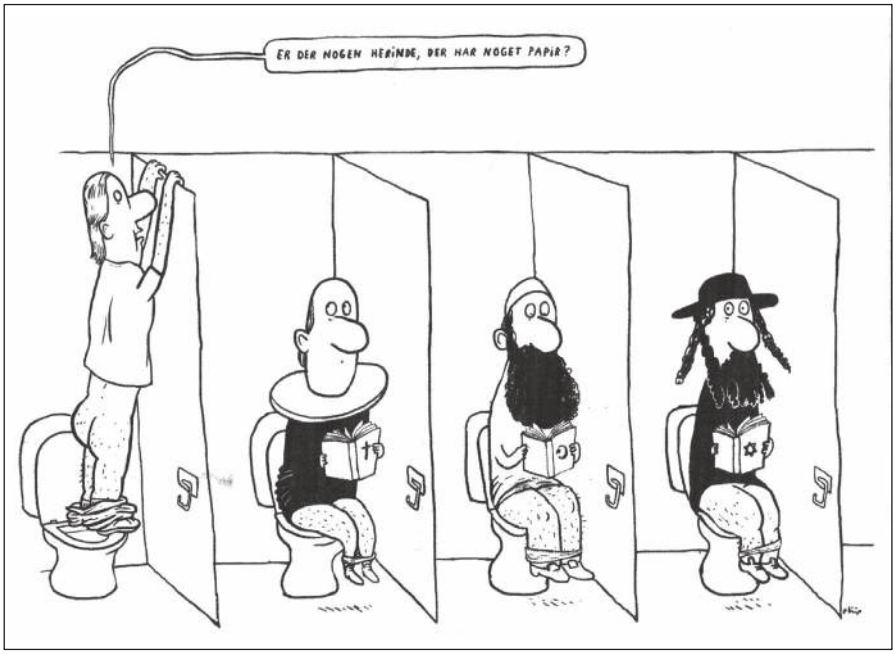

Rysunek Philipa Ytournela z dziennika „Politiken".

W innych mediach także pojawiły się argumenty za usunięciem z duńskiego prawodawstwa zapisów dotyczących karania za bluźnierstwo. W trzeciej dekadzie maja w artykule „Bluźnierstwo w pięciu największych religiach świata" „Kristeligt Dagblad", jedyny na Wyspach Duńskich dziennik o charakterze religijnym, przypomniał swój tekst z marca 2010 r., zilustrowany reprodukcją dość śmiałego obrazu „Kuszenie św. Antoniego". Co ciekawe, dziennik ten, informując o zniesieniu przez Folketing (duński parlament) kary za bluźnierstwo, na nikogo nie pomstował, a tym bardziej nie wspomniał o „siejących spustoszenie demonach postępu", ale zwracał uwagę m.in. na fakt, że o ile bluźnierstwo jest zakazane w chrześcijaństwie, judaizmie i islamie, o tyle hinduizm i buddyzm nie mają z tym żadnego problemu. Informował też tutejszych chrześcijan, że słowo *blasphemia* oznaczało po grecku po prostu bagatelizowanie.

KOŚCIÓŁ ZAPISANY W KONSTYTUCJI

Media, które dyskutowały o sensowności utrzymywania kary za bluźnierstwo, to oczywiście nie decydenci. Wydawało się więc, że temat ten po raz kolejny umrze śmiercią naturalną, gdyż przeciwko wypowiadała się i główna partia koalicji rządowej, liberalna Venstre, i największa partia opozycyjna – socjaldemokraci, którzy w 1973 r. samotnie podjęli walkę o zniesienie przepisów umożliwiających karanie za bluźnierstwo i przegrali ją. Aż tu nagle w końcu maja media poinformowały o radykalnej zmianie stanowiska Venstre, co automatycznie oznaczało, że parlament uchwali odpowiednie przepisy. Nastąpiło to 2 czerwca, mimo sprzeciwu socjaldemokratów obawiających się następstw nieograniczonej żadnymi sankcjami wolności wypowiedzi, a w istocie prowokacji przeciwko wyznawcom islamu, stanowiącym już ok. 10% mieszkańców Wysp Duńskich. Natomiast Bruno Jerup, rzecznik partii Lista Jedności (Enhedslisten), która była inicjatorem zniesienia karalności za bluźnierstwo, nie ukrywał zadowolenia, stwierdzając, że „w świetle dotychczasowego prawa, kosztem wolności wypowiedzi innych, religie zajmowały w sposób nieuzasadniony uprzywilejowaną pozycję". „Uważamy, że wiara i religia to taki sam zbiór myśli i poglądów jak wszystkie inne, np. poglądy socjalistyczne czy humanistyczne, i tak samo jak każde inne mogą być poddawane krytyce niezgadzających się z nimi osób", dodał. Przypomniał przy okazji, że jego partia zawsze opowiadała się za pełnym rozdziałem państwa i Kościoła. Jednak na to przyjdzie poddanym Małgorzaty II jeszcze trochę poczekać, gdyż duńska konstytucja mówi, że „Kościół ewangelicko-luterański jest duńskim Kościołem narodowym i jest popierany przez państwo". A tutejsza ustawa zasadnicza zawiera takie zapisy unie-

eprasa.pl 6a7debb50e

możliwiające jej psucie, że nawet gdyby jedna partia zdobyła 100% mandatów w Folketingu, i tak nie da rady obalić czy zmienić konstytucji. Tak przynajmniej się wydaje Duńczykom, którzy nie mieli dotąd do czynienia z nieoglądającymi się na prawo fanatykami.

Jak więc widać, „demony postępu" rozszalały się w Danii nie na żarty. O czym może świadczyć też fakt, że po raz ostatni wyrok z paragrafu o bluźnierstwie zapadł tu w roku 1938, kiedy skazano grupę nazistów za rozprowadzanie antysemickich ulotek. Z kolei w roku 1971 próbowano dobrać się do skóry piosenkarce i prowadzącym program w telewizji publicznej – za to, że na żywo wykonana została ballada apelująca, by urzędnicy pana B. nie włazili ludziom w ich sprawy. Ostatecznie uznano, że nie miała miejsca obraza żadnych uczuć ani jakiegokolwiek obiektu kultu. Wkrótce potem przetoczyła się przez Danię fala protestu przeciwko bluźnierczemu filmowi pokazującemu, jak Kościół – katolicki głównie, bo jednym z bohaterów był papież sybaryta i pedofil – zniszczył naukę Chrystusa. Ale tym razem sądy w ogóle nie zajęły się sprawą i kiedy ostatecznie film z wielkim opóźnieniem wszedł na ekrany na początku lat 90., przeszedł już prawie bez echa. Dostrzeżono w nim głównie wspaniałą rockandrollową muzykę, a reżyser Jens Jørgen Thorsen, znany tutejszy happener i prowokator, zmarł kilka lat później niemal zupełnie zapomniany. Poznałem go, oglądałem też wspomniany film („The Return", tytuł duński „Jesus vender tilbage"). Była to tak znakomita drwina z tego, co w ciągu 2 tys. lat zrobiono z przesłaniem Jezusa, że jeszcze (albo zwłaszcza) w Polsce A.D. 2017 film ten w ogóle nie nadaje się do pokazania. Nie tyle ze względu na sposób pokazania zepsucia papieża i zdegenerowania biskupów czy kardynałów, ile z powodu ogólnoludzkiego przesłania i stawianych pytań.

Kilkanaście lat temu jeden z katolickich księży złożył doniesienie na sieć domów towarowych sprzedającą klapki z wizerunkiem Jezusa i Maryi, co mocno raziło uczucia duchownego. Argumentował, że gdyby na klapkach był Mahomet, sądy od razu zabrałyby się do dzieła. Na co odpowiedziano mu, że tym właśnie powinni się różnić mądrzy od pozostałych, że nie wszczynają awantury o w istocie nic nieznaczące drobiazgi. No i że nie było obowiązku kupowania klapek.

Sąd nie zajął się doniesieniem kapłana na sieć domów towarowych sprzedającą klapki z wizerunkiem Jezusa i Maryi.

Sądy konsekwentnie odmawiały także wszczęcia postępowania o obrazę uczuć religijnych w sprawie znacznie poważniejszej, tzw. karykatur Mahometa. Przypomnijmy, że 17 września 2005 r. dziennik „Jyllands Posten" opublikował kilkanaście rysunków, które bynajmniej nie były karykaturami Mahometa, ale drwiły z tych, którzy powołując się na niego, uprawiają politykę i terror. Przez kilkanaście tygodni panowała wokół tych rysunków niemal całkowita cisza, ale gdy do boju ruszyli fanatycy, bardzo szybko zaczęły się regularne zamieszki i walki uliczne. Do końca lutego 2006 r. w ich następstwie zginęło co najmniej 136 osób, a Dania na wiele lat straciła dostęp do rynków niektórych krajów arabskich. Do dziś w ukryciu przebywa jeden z autorów nieszczęsnych rysunków, który kilka lat temu ledwie uszedł z życiem z rąk fanatyka.

STOICKI SPOKÓJ BISKUPÓW

Co na to wszystko duński Kościół? W ostatnich dziesięcioleciach konsekwentnie potępiał i potępia wszelkie przejawy fanatyzmu. Ale przede wszystkim zachowuje stoicki spokój, o czym świadczy choćby fakt, że tutejsi hierarchowie nie pchają się do mediów ze swoimi ocenami tak ważnego przecież dla tej instytucji wydarzenia. Nikt też nie powołuje się na ich opinie w Folketingu. Głosu nie zabrała także głowa tutejszego Kościoła, królowa Małgorzata II. A gdy w końcu dziennikarze „Kristeligt Dagblad" dotarli do bp. Steena Skovsgaarda z wysp Lolland-Falster, ten przyparty do muru stwierdził, że „społeczeństwo z pewnością nie rozpadnie się od tego, że zniesiona zostaje kara za bluźnierstwo".

„Jestem przekonany, że zniesienie kary za bluźnierstwo nie robi jakiejś wielkiej różnicy. I nie uważam za swoje zadanie walki ani o zachowanie tego prawa, ani o jego zniesienie", uzupełnił. Na koniec zauważył trzeźwo: „Nie wydaje mi się, że zniesienie kary za bluźnierstwo coś zmieni w naszym codziennym życiu. Nie było z tym problemów dotychczas i nie wyobrażam sobie, że tylko dlatego, że będzie to teraz niekaralne, nagle zapłoną stosy z Koranem lub Bibliami".

DUŃSKI KOŚCIÓŁ KONSEKWENTNIE POTĘPIAŁ I POTĘPIA WSZELKIE OBJAWY FANATYZMU.

Kilkanaście lat temu jeden z katolickich księży złożył doniesienie na sieć domów towarowych sprzedającą klapki z wizerunkiem Jezusa i Maryi,

Wygląda na to, że biskup ma rację. Po dwóch tygodniach wolności krytykowania religii, ich przejawów oraz kapłanów i wyznawców nie zanotowano ani jednego przypadku tzw. obrazy uczuć religijnych ani wystąpień przeciwko obiektom kultu. Chociaż gdy przy jakiejś okazji Duńczycy sobie pofolgują, niewykluczone, że dojdzie do głupich odzywek lub profanacji miejsc kultu. Na szczęście tutejsze prawodawstwo nie przewiduje kary za głupotę, chociaż oczywiście każdy urażony będzie mógł wszcząć proces z powództwa cywilnego. Tylko że wtedy obowiązuje zasada „przegrany płaci". Co z pewnością wpłynie trzeźwiąco na obrażalskich.

Włodzimierz Galant

FOT. POLITIKEN, DOMENA PUBLICZNA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6a7debb50e

Hawana była ważnym punktem na trasie wypraw turystycznych.

POGRZEB NORMALIZACJI

Lech Miodek

Donald Trump zaostrza politykę wobec Kuby. Czy USA dobrze na tym wyjdą?

Chyba nikt nie wątpił, że zwycięstwo Donalda Trumpa będzie oznaczało zmiany w polityce Stanów Zjednoczonych wobec Kuby. Zastanawiano się jedynie nad ich zakresem. Dziś wielu komentatorów politycznych mówi o pogrzebie normalizacji, potwierdzonej w 2015 r. uściskiem dłoni Baracka Obamy i Raula Castro w Panamie i „pobłogosławionej" przez papieża Franciszka. Republikańska administracja Trumpa zajęła wobec Hawany twarde stanowisko. Niewątpliwą rolę w tej strategii odgrywają osobiste ambicje prezydenta, konsekwentnie walczącego z liberalną schedą po Baracku Obamie.

OBIETNICE Z MIAMI

16 maja prezydent USA przybył do Miami, stolicy diaspory kubańskiej, aby przed weteranami 2506. brygady, którzy w 1961 r. atakowali Zatokę Świń, potwierdzić, że będzie realizował złożoną im w czasie kampanii wyborczej obietnicę zrezygnowania z polityki normalizacji stosunków z Kubą. Siedzących w pierwszych rzędach teatru weteranów zapewnił: „Nie będziemy wspierać monopolu wojska uciskającego naród. (…) Wiemy, co tam się dzieje, i tego nie zapomnimy. Kuba musi otworzyć system na inne partie, pozwolić na wolne wybory, uwolnić więźniów politycznych i nie udzielać schronienia przestępcom amerykańskim". Było to bardzo agresywne wystąpienie, mające zadowolić zdecydowanych wrogów Raula Castro. Donald Trump mówił o wspieraniu przez Kubę reżimu północnokoreańskiego, międzynarodowego terroryzmu i rządu Wenezueli. Nową politykę Trumpa wobec Kuby ma usprawiedliwiać to, że „w Hawanie ciągle rządzą ci, którzy wymordowali tysiące swoich rodaków".

Z wypowiedzi Trumpa można by wnioskować, że Obama pogorszył życie Kubańczyków. Jednak ankiety przeprowadzone wśród społeczności kubańskiej na Florydzie dowodzą czegoś innego. Działania wobec Kuby podjęte przez Obamę zyskały aprobatę ponad 60% obywateli Stanów Zjednoczonych i wspólnoty kubańsko-amerykańskiej. Według ankiety Bendixen & Amandi (firmy z branży badań opinii zajmującej się społecznościami latynoskimi i mniejszościowymi), przeprowadzonej bez zgody władz kubańskich, 90% obywateli Kuby było tego samego zdania.

SPRZECZNE ZAKAZY

Wydaje się, że mimo ostrych zapowiedzi Trumpa zasięg zmian w polityce wobec Kuby będzie ograniczony. Całościowe anulowanie porozumienia Obamy z Castro nie wchodzi w grę. Mogłoby zaowocować nieporozumieniami z sojusznikami, a także powodować nowe konflikty ze strategicznymi rywalami USA – Rosją i Chinami, nie mówiąc o kłopotach w stosunkach z Ameryką Łacińską. Dzisiaj już żaden kraj na świecie nie popiera antykubańskiej blokady. Jest uważana za nielegalną, niemoralną i przynoszącą odwrotne skutki.

Deklaracja prezydenta nie oznacza więc całkowitego unieważnienia uzgodnień poprzednika. To, co istotne dla Kubańczyków, np. podróże rodzinne i przelewy, zostanie utrzymane. Nic się nie zmieni w kwestii embarga ani w relacjach dyplomatycznych po otwarciu ambasad. Najbardziej znaczące zmiany mają dotknąć transakcje handlowe z konglomeratem firm wojskowych i służb specjalnych. Grupa Zarządzająca Przedsiębiorstwami (GAE) kontroluje 60% gospodarki kubańskiej – to niezliczone powiązania kapitałowe, obiekty turystyczne, restauracje, hotele, przedsiębiorstwa eksportowe i importowe, supermarkety, sieci odzieżowe, instytucje bankowe itd. Nałożenie restrykcji na handel z GAE to cios nie tylko w kubański sektor publiczny, ale także w małe firmy prywatne współpracujące z konglomeratem.

Sektorem gospodarki, który może odczuć efekty polityki Trumpa, będzie turystyka. Całkowita eliminacja podróży samolotami i statkami wycieczkowymi

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 6a7debb50e

na wyspę oznaczałaby straty dla transportu lotniczego i morskiego rzędu 3,5 mld dol. Chociaż za czasów Obamy turystyka była oficjalnie zakazana, stworzono 12 kategorii podróży, obejmujących m.in. wizyty rodzinne czy projekty humanitarne i kulturalne. Praktycznie każdy Amerykanin mógł więc pojechać na Kubę. Tylko w pierwszych pięciu miesiącach tego roku wyspę odwiedziło 285 tys. obywateli amerykańskich, a więc tylu, ilu w całym roku 2016. Teraz każda podróż ma być kontrolowana administracyjnie.

Dotychczas Amerykanie podróżujący indywidualnie mogli korzystać z prywatnych miejsc noclegowych i prywatnie się stołować na całej wyspie. Mogli odwiedzać niezależnych artystów i przedsiębiorców prywatnych. Odtąd mają podróżować w grupach wysyłanych przez operatorów lub organizacje zaakceptowane przez Departament Skarbu. Oznacza to, że będą się zatrzymywać w hotelach zarządzanych przez wojskowych i korzystać z obsługiwanych przez nich instytucji. Jak to się ma do zakazu utrzymywania kontaktów biznesowych z GAE, wie chyba tylko prezydent Trump.

STRZAŁ W KOLANO

Zmiany w podejściu Trumpa do problematyki kubańskiej wynikały z jego potrzeb wyborczych. Początkowo był on nawet zwolennikiem odmrożenia stosunków, ale konieczność mobilizacji sił w walce z Hillary Clinton skłoniła go do szukania wsparcia u senatora Marca Rubia i wrogów reżimu braci Castro. Odtąd Trump kierował się wskazówkami senatora Rubia, Kubańczyka z pochodzenia i jednego z kandydatów republikańskich w ostatnich wyborach prezydenckich, oraz kongresmena Maria Díaza-Balarta, w którego żyłach płynie krew Fidela Castro. 16 maja Trump powiedział to, co od ponad półwiecza obiecywali emigrantom kubańskim różni prezydenci Stanów Zjednoczonych: wolną Kubę, wsparcie dla społeczeństwa obywatelskiego i obalenie systemu naruszającego prawa człowieka.

Żadna emigracja nie jest jednak monolitem w kwestii poglądów. Znalezienie najlepszej formuły transformacji na wyspie to problem, który dziś dzieli kubańską diasporę w Miami bardziej niż kiedykolwiek. Według danych ankietowych opublikowanych w 2016 r. przez Florida International University, w hrabstwie Miami Dade 63% Kubańczyków było przeciwnych embargo, a 57% opowiadało się za rozszerzeniem relacji handlowych z Kubą.

Obama nie był naiwny i zakładał, że jego polityka odprężenia jest jedynie grą. W czasie wystąpienia w Hawanie powiedział otwarcie, że ostateczne zmiany w relacjach z Kubą zależeć będą od zmian systemowych na wyspie. Trump natomiast głosi pompatycznie, że jego celem jest zadanie ostatecznego ciosu „zdeprawowanej ideologii".

Wiadomo, że o zmianach międzypokoleniowych na Kubie będą decydowały siły zbrojne. W przyszłym roku, po raz pierwszy od 1976 r., prezydentem może tam zostać cywil. Myli się ten polityk, który nie docenia siły nacjonalizmu kubańskiego, umacnianego przez ostatnie półwiecze. Wydaje się, że Trump strzelił sobie w kolano. Rząd kubański nie omieszka wykorzystać jego decyzji jako kolejnego dowodu na mieszanie się USA w wewnętrzne sprawy Kuby, a to może służyć skupieniu społeczeństwa wokół wojska jako gwaranta jego bezpieczeństwa. ■

W bieżącym numerze także:

Frédéric le Marcis
Choroby Północy migrują do Afryki

Sergio González Rodríguez
Wokół przemoc ekstremalna, a ja w środku

Sandro Mezzadra
Granice, migracje i współczesny kapitalizm

Paweł Mościcki
Sytuacja obrazów

Jan Wasiewicz
Pierwsza chłopska rebelia

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (12 numerów): 82 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Kredyt Bank IV Oddział w Warszawie
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl 6a7debb50e

ROSYJSKA RULETKA TRUMPA

Chęć poprawy stosunków z Rosją nie jest dowodem zdrady Trumpa

Jarosław Dobrzański

W okresie powojennym w amerykańskim systemie politycznym doszło do znacznego zbliżenia ideologii i strategii głównych partii konkurujących o władzę. Oznaką tego było pojawienie się w żargonie dziennikarskim terminu *metooism*, od słów *me too* (ja też), jakimi kandydaci zwykle odpowiadali na propozycje programowe swoich oponentów. Zamiast różnic podkreślali tożsamość celów, które formułowano w języku populistycznym, grając na konformizmach grupowego myślenia. Krótkotrwałym wyłomem w tej praktyce była historia kandydatury Ronalda Reagana z jego pierwszej kadencji. Mimo to w USA nadal postępowała profesjonalizacja polityki, a wraz z nią uniezależnianie się klasy politycznej od elektoratu, który teoretycznie nadal miała reprezentować.

W wyniku tych procesów polityka na szczeblu centralnym systematycznie traciła charakter obywatelski, wspólnotowy i republikański, a nabierała cech spektaklu rozgrywającego się na oczach oddalonego od niej społeczeństwa. Spektaklu reżyserowanego przez specjalistów od wizerunku zgodnie z im tylko znanymi regułami. Pomiędzy ludem – suwerenem a jego reprezentantami wyrósł olbrzymi, potężny i nieprzejrzysty aparat nacisku zorganizowanych grup interesu, obstawiony doradcami, konsultantami, ekspertami, PR-owcami, fundacjami, think tankami i lobbystami. Ich wpływ na kształt rozwiązań politycznych był nieporównanie większy niż mitycznego suwerena, do którego rytualnie i pompatycznie odwoływano się tylko przy okazjach ceremonialnych oraz w trakcie wyborczych spektakli, w jakie przekształcono obywatelski udział w demokracji.

Prezydent Trump jest zemstą zwykłego obywatela na establishmencie politycznym.

Obywatelska odpowiedzialność została zastąpiona nieustającymi sondażami, które nie tyle odzwierciedlały, ile kreowały opinię publiczną potrzebną do legitymizacji kierunku politycznego obranego przez oderwane od społeczeństwa elity. Demokracja oddalała się od modelu deliberacyjnego i partycypacyjnego w stronę samowystarczalnego Schumpeterowskiego mechanizmu wyłaniania elit. Jednocześnie wraz z upodabnianiem się głównych partii establishmentu dochodziło do coraz większej radykalizacji ideologicznej formacji kontestujących *mainstream*.

Do głosu zaczęły dochodzić opinie dawno wypchnięte – niekiedy słusznie – poza margines politycznej poprawności. Odradzały się rasizm, ksenofobia, nietolerancja, obskurantyzm religijny, które często łączyły się z apologią darwinistycznego kapitalizmu. Przykładami najlepiej ilustrującymi tę tendencję są szybka kariera paleokonserwatywnej Partii Herbacianej czy paramilitarny ruch skrajnie prawicowych „patriotycznych milicji".

Skutkiem ubocznym tych procesów jest także przypadek Donalda Trumpa, prezydenta znienawidzonego przez połowę mieszkańców Ameryki, którego do władzy wyniosło oburzenie drugiej połowy, niechcącej już godzić się na *status quo* i dominację samozwańczych elit, które tak doskonale opanowały sztukę manipulowania mechanizmami demokracji, że wyborcy stali się im zbędni. Trump jest zemstą zwykłego obywatela na establishmencie politycznym i karą dla niego. Niestety, okaże się też karą dla społeczeństwa, które wkrótce się przekona, że nie jest on tym wyśnionym wybawcą.

PAŃSTWO W PAŃSTWIE

W polityce wewnętrznej, zwłaszcza gospodarczej, Trump nie ma nic interesującego do zaoferowania społeczeństwu, którego kolejnym pokoleniom będzie się żyło gorzej niż ich rodzicom. W USA stale pogłębiają się nierówności ekonomiczne, *american dream* dla większości staje się czczym marzeniem lub snem o przeszłości. Zgromadzenie wokół siebie wielu przedstawicieli finansjery z Wall Street, podobnie jak dyżurne propozycje libertariańskie, na czele z deregulacją i ulgami podatkowymi dla najbogatszych, z pewnością nie są tym, czego oczekiwali zniechęceni neoliberalnymi praktykami członkowie antyestablishmentowego ruchu oburzonych. Sam pomysł, że ktoś taki jak Trump może być ich liderem, jest kuriozalny. Na pocieszenie dla prekariatu, który zastąpił mityczną klasę średnią, Trump ma kilka populistycznych, ksenofobicznych sloganów, które na krótką metę dadzą próżną satysfakcję sfrustrowanym, ale nie przyniosą żadnych realnych korzyści. Propozycje ręcznego sterowania gospodarką i handlem zagranicznym poprzez kary również nie wróżą niczego dobrego.

Trump miał w programie jedną ciekawą propozycję, która dotyczyła spraw międzynarodowych – poprawienie relacji z Rosją. W odróżnieniu od większości jego propozycji dotyczących kwestii wewnętrznych ta nie była bezsensowna i przyciągała uwagę poza USA. Paradoks tej prezydentury tkwi w tym, że właśnie tu establishment nie pozwolił na działanie samodzielnie.

Być może nigdy w dziejach tego państwa władza prezydenta nie była tak mocno kwestionowana i delegitymizowana. Prawdopodobieństwo, że Trump zostanie usunięty z urzędu, jest bardzo wysokie. Ledwie ogłoszono jego zwycięstwo wyborcze, zaczęto szukać sposobów na niedopuszczenie do objęcia przezeń urzędu. Po zaprzysiężeniu wydano mu otwartą wojnę. Kto ją wydał? Krótka odpowiedź brzmi: *the deep state*, ukryte (głębokie) państwo w państwie. Czy taki twór istnieje? Neokonserwatysta Bill Kristol, jeden z nieprzejednanych medialnych wrogów Trumpa, nie pozostawia co do tego wątpliwości i otwarcie ogłasza na Twitterze swoje nieposłuszeństwo:

eprasa.pl 6a7debb50e

O wadze, jaką prezydent Trump przywiązuje do stosunków z Rosją, świadczy fakt, że rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow został zaproszony na spotkanie do gabinetu owalnego w Białym Domu.

„Oczywiście, że wyraźnie preferuję normalną politykę, demokratyczną i konstytucyjną. Ale jeśli muszę wybierać, wolę ukryte państwo niż państwo Trumpa". Po przeciwnej stronie politycznego spektrum wtórują mu lewicowi dziennikarze, kibicujący konspiracji w walce z legalnym prezydentem. Co ma począć z takimi wyznaniami obywatel rzeczywiście głęboko przywiązany do wartości demokratycznych?

Określenie *deep state* brzmi złowieszczo, ale wcale nie musi oznaczać jakiejś złowrogiej konspiracji ani produktu paranoicznej wyobraźni twórców teorii spiskowych. Jest to po prostu rozproszona władza biurokracji kontestującej niepożądanego prezydenta, która stawia opór poprzez nielojalność, blokowanie i sabotowanie działań, ujawnianie tajemnic, kompromitowanie jego współpracowników i stronników oraz tworzenie faktów medialnych. O tym, że w amerykańskim systemie nieproporcjonalne wpływy mają potężne grupy nacisku, mówił już prezydent Eisenhower i to on, a nie marksistowscy krytycy amerykańskiego imperializmu, wprowadził do obiegu pojęcie kompleksu militarno-przemysłowego. Sam odczuł jego istnienie, możliwości i wpływy. *Deep state* to coś znacznie mniej poważnego, ale zarazem mniej odpowiedzialnego i bardziej szkodliwego. Ryzyko z nim związane pojawia się, gdy kontrolę nad buntem biurokracji próbują przejmować rywalizujące ze sobą liczne agencje wywiadu, które uwolniwszy się od kurateli legalnej cywilnej władzy, zaczynają prowadzić politykę na własną rękę. Takie ryzyko zdaje się zagrażać obecnie polityce USA.

Polepszenie stosunków z Rosją było najwartościowszą propozycją Donalda Trumpa.

Jeśliby nawet uznać za słuszne zarzuty, jakie można postawić Trumpowi, nie zmienia to faktu, że jest on emanacją tego, co Kristol nazwał normalną polityką. Natomiast ukrytego państwa w żaden sposób nie da się usankcjonować. Jakiekolwiek uznanie *deep state* oznacza zgodę na bunt. Osaczony prezydent w odruchu obronnym buduje wewnątrz administracji państwowej równoległą, jemu podporządkowaną strukturę zarządzania. Niezależnie zatem od tego, czyim triumfem skończy się ta rozgrywka, przegrywa amerykański system polityczny i jego wersja demokracji. Obalenie, przy użyciu wszelkich pozorów praworządności, legalnie wybranego, urzędującego prezydenta będzie oznaczać, że godzimy się na demokrację tylko wtedy, gdy wynik rywalizacji jest po naszej myśli, tzn. po myśli establishmentu, czyli samowybierających się elit. Pozostawienie zaś Trumpa na urzędzie spowoduje postępującą prywatyzację państwa i zastępowanie jego agend siecią alternatywnych powiązań skupionych w rękach jednej osoby, która państwo i jego struktury traktuje jak prywatną firmę rodzinną, w dodatku oblężoną. To jest dylemat, przed którym stoją obecnie amerykańska klasa polityczna i oglądające ten spektakl społeczeństwo.

eprasa.pl 6a7debb50e

W ROZCHWIANYM ŚWIECIE

Tymczasem świat ma przed sobą inny problem. W jaki sposób przywrócić rozmontowane mechanizmy względnej globalnej stabilności, przewidywalności i racjonalnej kontroli wobec całej serii różnorodnych niekorzystnych zjawisk, które wymknęły się spod nadzoru międzynarodowej wspólnoty politycznej i które na różnych poziomach i w różnych obszarach życia zaczynają zagrażać światowemu bezpieczeństwu. Z całą pewnością odpowiedzią na te zagrożenia nie może być dalsza polaryzacja polityczna, zwiększanie napięć i wzbudzanie nieufności między najpotężniejszymi graczami międzynarodowej sceny. Istotny jest wciąż nierozwiązany problem odbudowania relacji między Rosją a USA, rozregulowanych w wyniku implozji ZSRR, a następnie zdemolowanych przez serię konfliktów w świecie, w tym przez konflikt na Ukrainie, a także przez podjętą przez Stany próbę skonstruowania świata jednobiegunowego. Wydaje się, że w tej kwestii kandydat na prezydenta USA Trump miał dla świata interesującą propozycję. Czy prezydent Trump będzie mógł wprowadzić ją w życie, pozostaje kwestią otwartą.

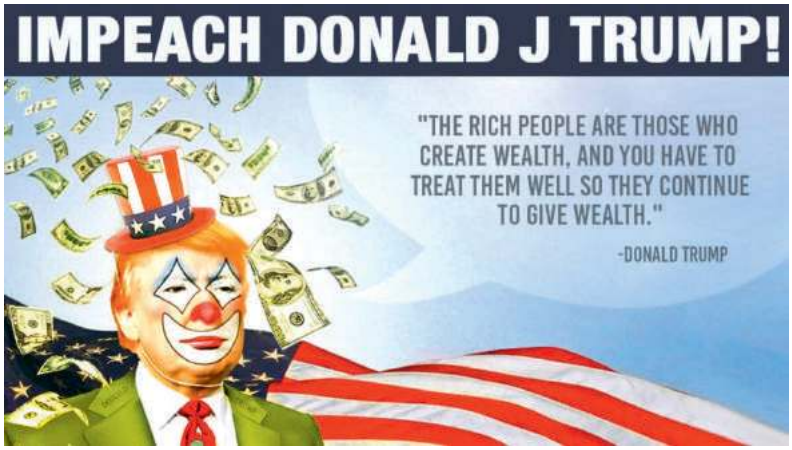

Donaldowi Trumpowi grozi impeachment.

Nie wiem, czemu przypisać deklarowaną przez Trumpa jeszcze w trakcie kampanii wyborczej chęć polepszenia stosunków z Rosją, ale jestem pewny, że spośród wszystkich jego propozycji dla Ameryki i dla świata właśnie ta była najwartościowsza. Dawała szansę na stworzenie czegoś cennego i pożądanego w niebezpiecznie rozchwianym dziś świecie, któremu jak nigdy od czasu zakończenia II wojny światowej potrzeba stabilności. Z całą pewnością nie jest to stosowny powód do podważania władzy Trumpa ani tym bardziej żaden dowód jego zdrady, którą w jakimś obłędzie imputują mu najzajadlejsi przeciwnicy. Jak widać, Polska nie ma monopolu na polityczne oszołomstwo i szpiegomanię.

Być może zdroworozsądkowe w tej kwestii podejście Trumpa jest skutkiem ubocznym – w tym przypadku korzystnym – jego braku orientacji w poczynaniach zawodowej dyplomacji USA, która przecież nie grzeszyła ostatnio wyrafinowaniem. Zachowania kolejnych przedstawicielek Stanów w ONZ – w tym niestety obecnej, mianowanej przez Trumpa hinduskiej księgowej, Nimraty Randhawy Haley – wprawiały świat w osłupienie agresją, arogancją, brakiem obycia i umiaru. Dobry traf zatem sprawił, że zaistniała szansa poprawienia atmosfery w relacjach supermocarstw i odbudowania wzajemnego zaufania jako podstawy współpracy międzynarodowej.

Szybko się okazało, że ta jedyna kwestia, w której Trump nie dał powodów do zwątpienia w trzeźwość jego umysłu, stała się dla niego głównym źródłem problemów, ogniskującym całą wrogość do jego rządów.

Próbując ratować się z opresji, zastraszony widmem impeachmentu Trump wykonał parę ruchów, które wywołały poklask rusofobów i dały mu szansę na złapanie oddechu przed kolejnym atakiem wrogiego establishmentu. Spektakularne bombardowanie Afganistanu i Syrii, wysłanie armady do Korei Północnej, grożenie użyciem siły, zastraszanie Chin, powrót do zimnowojennej retoryki i izolacji Kuby, pozbycie się paru niewygodnych, bo uznanych przez establishment za prorosyjskich, współpracowników oraz zatwierdzenie kilku ostentacyjnie rusofobicznych nominacji i wymuszona zgoda na zwiększanie nacisku na Rosję przez rozszerzenie sankcji, by uciszyć krytyków i oddalić od siebie podejrzenia, to cena, jaką Trump musiał zapłacić ukrytemu państwu za dalsze trwanie na urzędzie. A i tak nie przerwało to ataków. W tym wszystkim brak jest logiki i wizji politycznej.

Wywołane w ten sposób nieobliczalne zachowania polityczne i niecywilizowane metody działania na arenie międzynarodowej nie tylko nie budują szacunku dla USA, ale jeszcze pogłębiają pokłady nieufności między państwami. Każde takie zachowanie może się stać iskrą zapalającą lont agresji wojennej, której skutków nikt nie będzie w stanie ani przewidzieć, ani powstrzymać. Trzeba być świadomym, że doświadczenie wojny Amerykanów jest zupełnie inne niż większości państw europejskich. Żadna z wojen, w których uczestniczyły USA, nie rozgrywała się na terytorium tego kraju. Wyjątkiem był atak Japonii na Pearl Harbor, notabene uznawany tam za początek II wojny światowej i do dziś celebrowany jako dzień upamiętnienia amerykańskich ofiar, ale przecież położone na środkowym Pacyfiku Hawaje to nie to samo co spójne terytorium państwa, a sam atak rozegrał się zaledwie w jeden dzień.

Polska w amerykańskiej rozgrywce politycznej postawiła na gracza, który zapewne przegra.

Te kilka godzin 7 grudnia 1941 r. to całe doświadczenie wojny na własnym obszarze, które USA wyniosły z okresu oznaczającego dla sporej części Europy i dla Rosji największą zagładę w dziejach. Jak porównać parogodzinny atak na bazę floty w porcie marynarki wojennej z wieloletnią okupacją Polski, z 900 dniami blokady Leningradu, z trwającą prawie pół roku bitwą o Stalingrad, z celowym i systematycznym niszczeniem Warszawy, z gettami i łapankami, z masowymi egzekucjami ludności cywilnej czy wreszcie z fabrykami śmierci w obozach zagłady? Można mieć wątpliwości, czy słabo znający historię politycy amerykańscy, beztrosko dywagujący o siłowo wprowadzanym porządku świata – nowym Pax Americana – na pewno wiedzą, o czym mówią.

GRA NA JEDNYM FORTEPIANIE

Polska klasa polityczna, przy akompaniamencie oddelegowanych do każdego z jej obozów „swoich" żurnalistów,

eprasa.pl 6a7debb50e

podzieliła się w sprawie Trumpa na dwie grupy według ustalonych kryteriów wewnętrznych. Tzw. prawica dostrzegła w nim bat na unijny „eurokołchoz" i zbawcę świata, który odrzucił „lewacki" establishment, język poprawności politycznej i ideologię multi-kulti. Obawiała się jego ciągot prorosyjskich, ale ucieszyła się, gdy „amerykańska demokracja" skorygowała niestosowne zaloty Donalda do Wołodii. Po serii prestiżowych porażek na arenie międzynarodowej ekipa rządząca dostrzegła w przyjętym przez Trumpa zaproszeniu do Warszawy nadzieję na tak potrzebny jej sukces. Opozycja ujrzała w Trumpie ucieleśnienie obciachu, mizoginizmu, tępoty, anachronicznej konserwy oraz bratnią duszę Putina, Le Pen i Kaczyńskiego, ale podobnie jak „prawica" domaga się zwiększenia obecności wojskowej USA, naiwnie widząc w tym szansę na poprawę bezpieczeństwa Polski. Żadna zatem z dwóch głównych opcji nie widzi rzeczy takimi, jakie są, ani tego, co ważne.

Gdy tylko wojska rosyjskie opuściły nasze terytorium, Polska chętnie i szybko weszła w rolę państwa klienckiego USA, wygodnie zapominając, że ceną za uznanie wasala przez hegemona jest zawsze częściowe ograniczenie suwerenności. Rządzące PiS podkreśla swoje ideowe pokrewieństwo z Trumpem oraz podobieństwo swojej sytuacji politycznej do sytuacji jego ekipy, która – wedle narracji PiS – jest kontestowana przez waszyngtoński establishment w podobny sposób, jak w Warszawie blokowana przez dotychczasowe elity jest dobra zmiana. Pisowcy idą o krok dalej od swoich poprzedników i wykorzystują tę rzekomą bliskość, by serwilistyczną postawą wobec USA wzmocnić swoje stanowisko w konflikcie z Brukselą. Jest to działanie, które nie może przysporzyć Polsce splendoru w Europie. Nie przyniesie też żadnych korzyści. Z kręgów PiS dochodzą nawet głosy, że w obliczu Brexitu Polska mogłaby przejąć rolę głównego europejskiego partnera USA, zastępując Zjednoczone Królestwo. Są to skrajnie nierealistyczne rachuby.

Istnieje także wysokie ryzyko, że tak jednoznaczne opowiedzenie się po jednej stronie w amerykańskiej zimnej wojnie domowej może się skończyć dla naszego kraju rozczarowaniem. Tym bardziej że Polska postawiła na gracza, który prawdopodobnie przegra. A co ważniejsze, nie dostrzegła wartości w tym, co stanowiło bodaj jedyną zaletę jego oferty. O ileż bezpieczniej byłoby – wzorem innych państw – grać na kilku fortepianach. Ale to wymagałoby posiadania prawdziwej dyplomacji.

Rozgrywając kartę rosyjską w wewnętrznych sporach politycznych, Amerykanie zrobili z uregulowania relacji z Rosją – jednym z trzech najważniejszych globalnych graczy – przedmiot bezprzykładnej i cynicznej walki politycznej. Odebrali tym reszcie świata nadzieję na bliskość zadowalającego rozstrzygnięcia globalnych konfliktów, które nie znikną bez współpracy supermocarstw. Grając w rosyjską ruletkę – która nim stała się samobójczym zakładem, była jedynie zabawą iluzjonistów – Trump, przy pewnym sprycie, może uratować samego siebie, ale za cenę rezygnacji z celów, z jakimi szedł do polityki międzynarodowej. W tej sytuacji jego wygrana byłaby porażką nas wszystkich. Jeśli się uprze przy swoim, przegra. A wraz z tym oddali się okazja podniesienia poziomu relacji międzynarodowych na wyższy poziom bezpieczeństwa. Żadna opcja nie jest zadowalająca – rosyjska ruletka nie ma strategii wygrywającej.

Jarosław Dobrzański

FOT. AFP/EAST NEWS, YOUTUBE

Polub nas na Facebooku!

LAJKUJ
UDOSTĘPNIAJ
KOMENTUJ!

Weź udział w akcji i zainspiruj swoich znajomych.

To proste! Wystarczy, że na swoim profilu na Facebooku opublikujesz zdjęcie, na którym czytasz PRZEGLĄD, i oznaczysz je **#czytamprzegląd**

Pamiętaj, że w zabawie mogą brać udział wyłącznie osoby, które polubiły nasz profil.

Najciekawsze zdjęcia wydrukujemy i opublikujemy na naszym Facebooku. Mamy też upominki książkowe.

Miło nam będzie Was zobaczyć

eprasa.pl 6a7debb50e

Rozmawia Kacper Leśniewicz

WIERZYĆ W LUDZI

Wielkie inwestycje infrastrukturalne są ważne, ale musimy wiedzieć, komu i czemu służą

PAULINA PIECHNA-WIĘCKIEWICZ

– radna Warszawy i członkini stowarzyszenia Inicjatywa Polska

Jak wygląda praca lewicowej radnej Warszawy?

– W Komisji Ładu Przestrzennego walczę z wieżowcami, a w Komisji Edukacji i Rodziny interesuję się problemami szkół. Bliskie są mi także problemy mieszkaniowe. Wielu mieszkańców przychodzi do mnie w tych sprawach, to ciągle jeden z nierozwiązanych problemów w naszym mieście. Niedawno wraz z Inicjatywą Polska Warszawa złożyliśmy szczegółowe uwagi do strategii rozwoju Warszawy do roku 2030. Dotyczą one wprowadzenia gabinetów dentystycznych w każdej szkole i zwiększenia nakładów na profilaktykę zdrowotną, potrzeb seniorów, ochrony miejskiej zieleni, prowadzenia nowoczesnej, przyjaznej polityki transportowej.

W jakich obszarach najtrudniej się przebić z lewicowymi projektami?

– Na poziomie samorządu warszawskiego trudne sprawy to m.in. ograniczenie ruchu samochodowego w mieście czy walka o miejską zieleń, którą niszczą betonowe przestrzenie. Byłam jedyną radną miasta, której nie podobał się plan Śródmieścia Południowego, gdzie wśród kilku wieżowców miał stanąć m.in. Roma Tower (zwany Nycz Tower, ponieważ jest to inwestycja prywatno-kościelna). Oponowałam również przeciw wprowadzaniu do szkół firm cateringowych, ten ruch ze strony miasta spowodował podwyżkę cen posiłków i zwolnienia personelu stołówek. Komuś się wydawało, że w ramach warszawskiego budżetu można oszczędzać na jedzeniu dla dzieci. Na poziomie ogólnokrajowym cały czas budzi opór próba refleksji dotyczącej podatków i tego, że muszą być progresywne. Wciąż duża część społeczeństwa nie widzi zależności między podatkami a jakością życia. Liberałom udało się wmówić wielu Polakom, że niski i najlepiej liniowy podatek rozwiąże wszystkie gospodarcze problemy kraju. To jest próbka niebezpiecznego populizmu.

Zamiast wielkich inwestycji infrastrukturalnych, ton betonu i podatku liniowego – dzieci, seniorzy i podatek progresywny. Brzmi jak herezja.

– Zależy nam na innym myśleniu o polityce. Nie godzimy się na uprzywilejowaną pozycję wielkiego kapitału, chcemy upodmiotowić obywateli. Dlatego w naszych uwagach do strategii rozwoju Warszawy poruszyliśmy kwestie związane z zabezpieczeniem przez samorząd każdego etapu życia mieszkanek i mieszkańców – od żłobka, przez etap szkoły, wspólnotową edukację, aż do godnego funkcjonowania seniorów i osób samotnych, nieograniczającego się do domu spokojnej starości. Wielkie inwestycje infrastrukturalne są ważne, ale musimy wiedzieć, komu i czemu służą.

Dzisiaj często nielicznym.

– Dlatego naszym zadaniem jest dopilnowanie, aby służyły one mieszkańcom. Miasta muszą się rozwijać, ale w zrównoważony sposób. Różnice w dochodach, pochodzeniu, miejscu zamieszkania, wieku i płci nie powinny wpływać na jakość życia obywateli. Samorząd musi być transparentny, z uwagą wsłuchiwać się w głos mieszkańców, a obywatele muszą wiedzieć, że każda sprawa, z którą przyjdą do urzędu, zostanie potraktowana poważnie. Niestety, nie zawsze tak jest. Najgorszym przykładem takiego funkcjonowania była i jest kwestia reprywatyzacji. Organizacje lokatorskie, mieszkańcy reprywatyzowanych kamienic od lat zgłaszali swoje problemy, ale zazwyczaj zostawali z nimi sami.

Wszystkie te organizacje wykonały olbrzymią pracę. Ale na manifestacjach w obronie praw lokatorów, blokadach eksmisji albo uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej Jolanty Brzeskiej frekwencja pozostawia wiele do życzenia. Dlaczego?

– Kiedy środowiska lokatorskie, w większości lewicowe, organizują manifestacje w sprawie reprywatyzacji pod ratuszem, bierze w nich

eprasa.pl 6a7debb50e

udział najwyżej 80 osób. Taka liczba nie umniejsza wagi sprawy, ale gdzieś jest problem. Przecież w Warszawie są tysiące osób pokrzywdzonych przez reprywatyzację. Duża część ludzi utożsamiających się z lewicą zatraciła gen autentycznego sprzeciwu i buntu – kiedy trzeba wyjść na godzinę pomaszerować i zaprotestować, zostają jednak w domach. Społeczeństwo obywatelskie w Polsce zorganizowane jest wokół wartości konserwatywnych. To wszystko ma wpływ na zaangażowanie ludzi.

Emocji wyborców nie rozgrzewały także prywatyzacja stołówek, podwyżki cen biletów komunikacji miejskiej, nielegalne praktyki deweloperów. Co z tym zrobicie?

– Nie mamy jednego zaklęcia, które od razu przyniesie efekty. Jesteśmy przygotowani na długi marsz. Gdy likwidowano stołówki w warszawskich szkołach, sugerowano ich pracownicom, by założyły firmy z koleżankami. Nie było żadnej refleksji na temat społecznych konsekwencji takich zmian. W tej historii jak w soczewce skupiły się wszystkie wady braku myślenia o obywatelach i instytucjach. Dzieci w szkole otrzymały gorsze i droższe posiłki, a osoby prowadzące stołówki wypadły z grupy pracowników i stały się przedsiębiorczyniami. Zgodnie z neoliberalną narracją bycie przedsiębiorcą miało im zapewnić wyższy status społeczny.

Polska to nie tylko Warszawa, czym się zajmuje Inicjatywa Polska w innych miastach?

– W wielu miejscach w Polsce skupiamy się m.in. na takich działaniach jak „Dzieciaki bez biletów", czyli bezpłatnych przejazdach dla uczniów szkół podstawowych. W stolicy mamy sukces. Bardzo aktywnie działamy lokalnie. Od walki o in vitro w Gdyni, przez propozycję upamiętnienia łódzkich włókniarek, do działalności charytatywnej. W Zielonej Górze w ramach akcji „Pociąg do tolerancji" domagaliśmy się od władz miasta deklaracji przyjęcia dotkniętych koszmarem wojny dzieci z Aleppo. W Poznaniu nasz wiceprezydent Tomasz Lewandowski wywalczył dopłaty do mieszkań socjalnych na wolnym rynku, ponieważ komunalnych mieszkań jest za mało.

A co z mniejszymi miastami i wsią? Co proponujecie tym grupom?

– Budowę struktur zaczęliśmy głównie w dużych miastach, ale organizujemy się także na poziomie mniejszych i średnich miasteczek. Będziemy organizować spotkania na terenach wiejskich. Wyobrażam sobie rozmowę np. na temat KRUS i edukacji. Musimy zastanowić się nad masowymi wyjazdami mężczyzn i kobiet w wieku produkcyjnym. Rozpocząć poważną debatę na temat starszych, często schorowanych osób, które wymagają opieki. Państwo i samorządy nie radzą sobie z tym problemem. Małe miejscowości są wykluczone komunikacyjnie, likwidowane są tzw. nierentowne połączenia, utrudnia to dojazd do szkoły, uczelni, pracy czy lekarza. Nie wyobrażam sobie szerokiego programu Inicjatywy Polska bez polskiej wsi.

A co z Kościołem? Spróbujecie obalić stereotyp konserwatywnej polskiej wsi?

– Kiedy zbieraliśmy podpisy pod projektem „Ratujmy Kobiety", który – delikatnie mówiąc – nie był faworyzowany przez Kościół, przyszło wiele listów z podpisami właśnie z terenów wiejskich. Gdy prowadziłam kampanię w okręgu siedlecko-ostrołęckim i na moich billboardach domalowywano czadory, miałam olbrzymie wsparcie od osób z małych miejscowości, które pisały, że mają dosyć konserwatyzmu. Polska jest różnorodna, powinniśmy szanować siebie nawzajem, ale jako lewica dbać również o przestrzeganie demokratycznych standardów, a takim jest niewątpliwie rozdział Kościoła od państwa.

Dla takiego modelu polityki dotychczas nie było u nas miejsca. Dlaczego wam miałoby się udać przekonanie do niego Polaków?

– Wierzymy w ludzi, w ich możliwości, otwartość na świat, wielki potencjał. Wiemy, że rozmowy, nierzadko trudne dyskusje i podejmowanie działań u podstaw to coś, czego Polacy oczekują. Wielu ludzi chce polityki, która wykracza poza arenę walk gladiatorów – takiej, która jest prowadzona z wizją i konkretnymi propozycjami. Polacy potrzebują wiarygodnych liderów i liderek, którzy wraz z nimi stworzą prawdziwą wspólnotę opartą na wartościach.

Jedną z dominujących idei, wokół których powstała Inicjatywa Polska, jest uspołecznienie. Co to takiego?

– Zależy nam na modelu, który nie ogranicza się do partyjnych funkcji i przekazywania poleceń z góry na dół. Obiecaliśmy sobie, że najważniejsza dla nas będzie kwestia oddolnego działania, które będzie angażować również ludzi niebędących członkami stowarzyszenia. Na nasze spotkania często przychodzą osoby niezrzeszone w partiach, ale też członkowie innych partii politycznych. Ludzie nie chcą już się angażować w działalność partii hierarchicznych. W taki sposób będziemy też budować program.

Stworzycie go razem z sympatykami?

– Z myślą o tym powstał projekt Laboratoriów Programowych. Do budowy programu chcemy wykorzystać zaangażowanie oddolne. Jako człowiek z ulicy możesz przyjść do nas, zostawić

eprasa.pl 6a7debb50e

4 sierpnia 2016 r. m.in. członkowie Inicjatywy Polska zanieśli do Sejmu ponad 215 tys. podpisów zebranych pod obywatelskim projektem liberalizacji prawa dotyczącego aborcji.

pomysł i wyjść. My z tego skorzystamy, potraktujemy poważnie, możesz z nami zostać. Możesz też po prostu przyjść, bo uważasz, że jest temat, którym ktoś koniecznie musi się zająć. Nie będziemy pracować tylko z ekspertami. Chcemy wspólnie wypracowywać założenia. Powstaną raporty, które trafią do jednej bazy, i następnie będziemy pracować nad wnioskami.

Od czego zaczniecie?

– W Warszawie zaczynamy od kwestii związanych z Unią Europejską. We wrześniu i październiku odbędą się również IPLaby dotyczące służby zdrowia, rynku pracy. W czerwcu łódzkie struktury IP organizują dyskusję na temat programu 500+. Zależy nam na merytorycznej rozmowie o mocnych i słabych stronach tego programu.

Jako Inicjatywa Polska jesteście jednak kojarzeni głównie z prawami kobiet i kwestiami kulturowymi. Nie obawiasz się, że ogranicza to wasze możliwości politycznego działania?

– Często partie polityczne zakładają, że wyborców nie interesuje jakiś obszar praw człowieka, ale jeśli wyborcy widzą, że ktoś jest wiarygodny, są w stanie zaakceptować wiele postulatów. Trzeba ciągle rozmawiać, przekonywać, wierzyć w ludzi. Dyskutując o podatku progresywnym, możemy dyskutować o progach podatkowych, ale nie zastanawiamy się nad tym, czy podatek progresywny czy liniowy, bo dla lewicy to jest oczywiste.

Czyli wierzysz w politykę prowadzoną i na froncie społecznym, i na kulturowym?

– Mam dość niekończących się dyskusji na lewicy o tym, czy warto zajmować się jednym i drugim. Bo przecież choćby bycie gejem to nie kwestia kulturowa, to element tożsamości, równoprawnej dla heteronormy – niestety, nie w polskim ustawodawstwie i przestrzeni publicznej. Trochę dziwią mnie opinie części lewicy na temat praw człowieka. Zgodnie z tym myśleniem nie są one dzisiaj tak ważne, możemy załatwić je później. O prawach człowieka może dyskutować prawica, ale dla lewicy powinny one być immanentną częścią każdego programu. Nie na zasadzie postulatu gospodarczego nr 10, tylko jako część naszego systemu wartości, którego się nie podważa.

Jako Inicjatywa Polska wzięliście udział w manifestacjach KOD, chociaż brakowało w nich krytycznej refleksji o przyczynach obecnej sytuacji politycznej. Dzisiaj energię KOD politycznie przejmuje PO. Nie żałujecie swojego zaangażowania?

– Absolutnie nie żałujemy. Każde wystąpienie w manifestacjach opozycji było przez nas szczegółowo rozważane. Ważne dla nas było, że w tych marszach brały udział także osoby o poglądach lewicowych. Nie mogliśmy się od nich odwrócić. Na początku KOD był autentycznym ruchem społecznym. Mówi się, że jak cię widzą, tak cię piszą. Jak cię nie widzą, to cię nie piszą. Nie masz szansy pokazać, że istnieje alternatywa, jeśli na złość procesom społecznym, którymi emocjonują się miliony obywateli, odmrozisz sobie uszy. Oprócz Inicjatywy Polska byli przecież na marszach np. również Zieloni.

Podczas jednej z manifestacji KOD wygwizdano ich z powodu postulatów społecznych. To był dobry moment, żeby zaznaczyć swoją odrębność. Pokazać, że w marszu bierze udział lewica, która ma pomysł na Polskę i stara się zrozumieć kryzys zaufania do demokracji. Wtedy wasz udział miałby większy sens.

– Sami nie dalibyśmy rady zorganizować takiego protestu przeciwko PiS. Pewne rzeczy musimy załatwiać wspólnie, w ramach opozycji. Oczywiście powinniśmy dyskutować o tym, dlaczego Trybunału Konstytucyjnego nie chcą bronić wszyscy. Nie wszyscy bowiem zgadzają się z linią orzeczniczą, którą Trybunał przyjmował np. w sprawach społecznych czy w sprawach światopoglądowych. Lewicy nie sprzyja dzisiaj przekonanie, że w PO powstanie lewe skrzydło. To jest jakieś nieporozumienie. Po wyborach wiele osób przychodziło do mnie i mówiło, że mają poglądy lewicowe, ale nie głosowali na nas, bo nie dawali nam żadnych szans. Okazuje się, że głosowanie w zgodzie z własnym systemem wartości jest związane z wysokim ryzykiem. To przerażające.

Za półtora roku są wybory samorządowe. Przed wami pierwszy poważny egzamin polityczny.

– Wybory samorządowe są specyficzne. Będziemy startować w blokach koalicyjnych. Wierzę, że taka strategia przyniesie nam sukces. Chciałabym, żeby w wyborach parlamentarnych również były wspólne listy szerokiej progresywnej koalicji. Wyobrażam sobie, że możemy rozmawiać na ten temat np. z Zielonymi, partią Razem czy ruchami miejskimi.

Część mediów liberalnych promuje Roberta Biedronia jako przyszłego prezydenta oraz Barbarę Nowacką, która miałaby założyć wspólnie z nim nową partię.

– Uważam, że Robert Biedroń jest gotowy na podjęcie różnych ważnych wyzwań, m.in. ubieganie się o fotel prezydenta. Na pewno działacze i działaczki IP bardzo cenią Roberta Biedronia, a z Barbarą Nowacką darzą się dużym szacunkiem.

Będzie nowa partia?

– Nic nie wiem o nowej partii. Ale jeżeli miałabym wymieniać polityków zdolnych do opowiedzenia nowej historii, to Barbara Nowacka i Robert Biedroń byliby jednymi z nielicznych.

Kacper Leśniewicz

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, INICJATYWA POLSKA

eprasa.pl 6a7debb50e

Nie bójmy się wyższej płacy minimalnej!

Rząd proponuje, aby wynagrodzenie minimalne w przyszłym roku wzrosło o 4%. Tak niskiego wzrostu nie było od 2010 r.

Jan Guz

Rząd zaproponował, aby płaca minimalna w przyszłym roku wynosiła 2080 zł, czyli zaledwie 80 zł więcej niż w roku bieżącym. Po zeszłorocznym podniesieniu minimalnego wynagrodzenia o 150 zł myśleliśmy, że nowa władza bardziej niż poprzednia dba o wzrost płac. Niestety, wiele wskazuje na to, że PiS kontynuuje podejście poprzedników z koalicji PO-PSL.

Rada Ministrów proponuje, aby minimalne wynagrodzenie w przyszłym roku wzrosło o 4%. Tak niskiego wzrostu nie było od 2010 r., gdy ekipa Donalda Tuska podniosła najniższe płace o 3,2%! Rok później było to już 5,2%, w 2012 r. aż 8,2%, w kolejnych latach 6,7%, 5,0%, 4,2%, 5,7% i wreszcie w roku bieżącym 8,1%. Innymi słowy, nawet liberalny rząd PO-PSL oferował nam więcej niż „solidarna" ekipa Beaty Szydło! Trudno zrozumieć takie podejście władz, zwłaszcza biorąc pod uwagę dobrą kondycję polskiej gospodarki. Stopa bezrobocia spadła poniżej 8%, wzrost gospodarczy przekracza 4%, zwiększają się zyski przedsiębiorstw, wydajność pracy, produkcja i konsumpcja. Ta sytuacja pozwala na znaczące podniesienie płacy minimalnej.

Pracodawcy chcą, aby płaca minimalna wzrosła o zaledwie 50 zł, czyli proponują jeszcze mniej niż rząd. Podobnie jak w ubiegłych latach przytaczają argument, że wzrost płacy minimalnej doprowadzi do wzrostu bezrobocia. Tymczasem nie ma to żadnego uzasadnienia empirycznego. Po podniesieniu płacy minimalnej w bieżącym roku o 150 zł w ciągu zaledwie czterech miesięcy stopa bezrobocia spadła z 8,6% do 7,7%. Bezrobocie zmniejszało się także w latach 2012-2016 przy wzroście wynagrodzenia minimalnego o ponad 5% rocznie. Wprowadzenie stawki godzinowej też nie spowodowało wzrostu bezrobocia. Również dane międzynarodowe potwierdzają, że nie ma korelacji między płacą minimalną a bezrobociem. Najwyższa płaca minimalna jest w krajach najbardziej rozwiniętych, które zarazem mają najwyższe wskaźniki zatrudnienia. Wysoką płacę minimalną w stosunku do średniej mają Holandia czy Luksemburg, gdzie stopa bezrobocia jest niska. Nasi zachodni sąsiedzi, Niemcy, w tym roku podnieśli płacę minimalną do 8,84 euro, czyli prawie 40 zł, a stopa bezrobocia jest u nich najniższa w Unii. Z drugiej strony niska płaca minimalna utrzymuje się w Hiszpanii, gdzie bezrobocie należy do najwyższych. Trudno nam więc zrozumieć argument, że Polski nie stać na wyższe wynagrodzenie minimalne, a bez zmiany podejścia władz do polityki płacowej nie dogonimy krajów zachodnich nawet w ciągu 100 lat!

Wynagrodzenia w Polsce są wciąż niskie i zajmujemy jedno z ostatnich miejsc w UE pod względem udziału płac w PKB. W ostatnich latach władze nie wdrażały rozwiązań mających na celu wzrost pensji pracowników. Płace w budżetówce od lat stoją w miejscu, układy zbiorowe praktycznie nie istnieją, przez wiele lat setki tysięcy pracowników zarabiały poniżej ustawowo określonej płacy minimalnej. W tym kontekście niewątpliwym sukcesem było wdrożenie minimalnej płacy godzinowej, co OPZZ proponowało już ponad cztery lata temu. Niestety, na przyszły rok rząd proponuje również bardzo niski wzrost minimalnej godzinówki – zaledwie o 50 gr.

Wynagrodzenia wielu polskich pracowników wciąż nie pozwalają na zaspokojenie nawet podstawowych potrzeb. Płaca minimalna w naszym kraju nadal należy do najniższych w UE – 2000 zł brutto to niecałe 1500 zł netto. Na dodatek polscy pracownicy są w Unii jednymi z najdłużej pracujących, a według danych Państwowej Inspekcji Pracy wiele firm nie płaci za nadgodziny.

19 czerwca Rada Dialogu Społecznego spotkała się z prezydentem Andrzejem Dudą. Nz. pierwszy z prawej – Jan Guz, przewodniczący OPZZ.

W tym kontekście jeszcze ważniejszy staje się postulat OPZZ, aby płaca minimalna w przyszłym roku została ustanowiona co najmniej na poziomie 50% średniego wynagrodzenia. Takie są też rekomendacje związków zawodowych w innych krajach Unii oraz zalecenia Międzynarodowej Organizacji Pracy. Uwzględniając przewidywany wzrost średniej płacy na przyszły rok, 50% to ok. 2220 zł brutto. I właśnie tyle proponujemy.

W rozmowach w Radzie Dialogu Społecznego będziemy przekonywać stronę rządową i pracodawców, aby wyszli naprzeciw naszym oczekiwaniom. Liczymy też na wsparcie innych organizacji związkowych. Naszym zdaniem związki zawodowe powinny walczyć głównie o godną pracę, a nie o bliskie relacje z władzą.

Znaczne podniesienie płacy minimalnej byłoby korzystne dla pracowników, firm i całego społeczeństwa. Kiedy rośnie płaca minimalna, poprawia się sytuacja na rynku pracy, rośnie konsumpcja, rozkręca się koniunktura. Wkrótce się dowiemy, czy rząd wesprze naprawdę dobrą zmianę.

Autor jest przewodniczącym Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6a7debb50e

ZDELEGALIZOWAĆ ONR!

Prawo zakazujące szerzenia różnych form nienawiści, antysemityzmu i rasizmu powinno być bezwarunkowo egzekwowane

Radosław S. Czarnecki

Bądźmy niewolnikami prawa, abyśmy mogli być wolni.

Cyceron

Przemysław Prekiel w tekście „Nie delegalizować ONR!" (PRZEGLĄD nr 24) przedstawia kilka, zdawałoby się, fundamentalnych argumentów przeciwko delegalizacji ONR. Podzielam *gros* owych uzasadnień. Lewicowość w swojej istocie jest za dialogiem, pluralizmem, wolnością itd. O jednym Przemysław Prekiel jednak nie wspomina, a stanowi to moim zdaniem zasadniczą przesłankę żądania delegalizacji ONR, podobnie jak innych tego typu organizacji szerzących nienawiść, kultywujących przemoc, także fizyczną, wobec wszystkiego, co inne, hołdujących ideologii bliskiej neofaszyzmowi.

W Polsce zarówno znajomość prawa, jak i jego poszanowanie są nikłe. Znacznej części naszego społeczeństwa obce są również reguły demokracji, wolności obywatelskich i cywilizowanych swobód. Dlatego za istnieniem w Kodeksie karnym paragrafów dotyczących szerzenia różnych form nienawiści, antysemityzmu, rasizmu, nietolerancji, a przede wszystkim agresji, powinno iść bezwarunkowe egzekwowanie tych przepisów przez wymiar sprawiedliwości.

Absolutnie nie mogę się zgodzić ze stwierdzeniem, że „PiS jest zaporą dla radykalnej prawicy". Przeciwnie. Odkąd partia Jarosława Kaczyńskiego sprawuje rządy, nasiliły się postawy rasistowskie, nacjonalistyczno-szowinistyczne, ksenofobiczne, nastąpił lawinowy wzrost liczby ataków powodowanych nienawiścią do INNEGO. PiS chce sytuować siebie jako typową zachodnioeuropejską chadecję (takie polskie CSU). Może o tym świadczyć obecność takich polityków jak Jarosław Gowin, Mateusz Morawiecki, Piotr Gliński czy Anna Streżyńska. Uważam jednak, że właśnie rozpętanie przez tę partię określonych emocji, rozhuśtanie namiętności sprzyja erupcjom nienawiści, agresji, ksenofobii, szowinizmu itd. Środowiska bliskie PiS i głosujące na tę partię są niejako zapleczem, wsparciem – mentalnym, politycznym, kulturowym – takich struktur jak ONR.

Nie mogę też się zgodzić z tezą, że delegalizacja ONR niczego nie da. Ten sposób myślenia prowadzi do zaniechań, których skutkami są dziś zdemolowany system prawno-konstytucyjny, podeptane podstawowe zasady funkcjonowania państwa, zdruzgotane wszelkie zasady państwa prawa.

OPINIE

Nie delegalizować ONR!

Postulat delegalizacji Obozu Narodowo-Radykalnego wraca jak bumerang. Czy jednak można zdelegalizować nacjonalizm?

Przemysław Prekiel

Wiele danych wskazuje, że w czerwcu 1992 r., gdy upadał rząd Jana Olszewskiego, niektórzy reprezentanci resortów siłowych – Antoni Macierewicz i Piotr Naimski – celowo postawili w stan gotowości bojowej Nadwiślańskie Jednostki Wojskowe. Nosiło to znamiona przygotowań do zamachu stanu. Mówi o tym ówczesny szef Urzędu Ochrony Państwa Andrzej Milczanowski. Przyznaje, że miał informacje o takich przygotowaniach, ale po upadku rządu Olszewskiego nie wdrożono żadnych środków prawnych, by osądzić i ukarać te antydemokratyczne poczynania. Milczanowski tłumaczy to stanem wyższej konieczności: mogłoby to zaważyć na międzynarodowej opinii o Polsce, starającej się o członkostwo w NATO i UE. Tymczasem niewyciągnięcie konsekwencji wobec sprawców było poważnym błędem, rzucającym cień na całe ćwierćwiecze III RP.

Trzy lata później tenże Andrzej Milczanowski oskarżył publicznie, w Sejmie, urzędującego premiera RP o szpiegostwo na rzecz Rosji. Ta niezwykle poważna sprawa, także nosząca znamiona pełzającego zamachu stanu, również została zamieciona pod dywan. A przecież powinna się zakończyć w sądzie. I albo Józef Oleksy był winny – wtedy powinien zostać skazany – albo minister Milczanowski działał na zlecenie i była to nędzna prowokacja mająca na celu zanegowanie niekorzystnego dla Lecha Wałęsy wyniku wyborów prezydenckich. Wówczas to Milczanowski powinien dostać wyrok stosowny do wagi przestępstwa. Notabene Polska nadal starała się wtedy o wejście do NATO i UE, ale w rozpętaniu afery to nie przeszkadzało.

I trzecia podobna sprawa. Po zwycięstwie w 2007 r. Platforma Obywatelska nie zrobiła nic, aby rozliczyć, przynajmniej w Trybunale Stanu, rządy PiS i jego przystawek w latach 2005-2007. A było co rozliczać: śmierć Barbary Blidy, prowokacja wobec urzędującego wicepremiera Andrzeja Leppera, areszty wydobywcze, wykorzystywanie służb specjalnych do bieżącej polityki itd. W rozmowie z pewnym prominentnym politykiem zbliżonym do czołówki PO usłyszałem, że Donald Tusk nie chciał zemsty. Co za woluntaryzm, co za mizerne pojęcie państwa prawa, co za wsobność myślenia (za Stanisławem Lemem)! Takie lekceważenie prawa mogło kiedyś się zdarzyć w jakimś zacofanym plemieniu, ale nie w XXI w., w cywilizowanym kraju w środku Europy. Można przypuszczać, że takie myślenie było determinowane wspólnotą etosowo-styropianowych wspomnień.

Odkąd partia Jarosława Kaczyńskiego sprawuje rządy, ogromnie nasiliły się postawy rasistowskie i szowinistyczne.

O nieszczęsnym obiedzie drawskim i sprawie Jarucka *versus* Cimoszewicz nie będę przez litość wspominał.

Na zakończenie raz jeszcze należy stwierdzić: prawo przede wszystkim, zwłaszcza w takim kraju jak Polska, gdyż wszelkie zaniechania w tym względzie prowadzą do karykatury państwa prawa i cywilizowanego porządku prawnego. Tak więc ONR należy zdelegalizować wedle obowiązującego prawa, dla jego poszanowania i edukacji prawnej obywateli. ■

eprasa.pl 6a7debb50e

Oko w oko

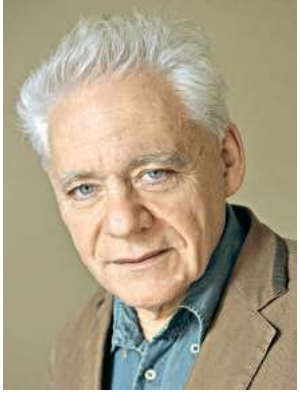

Tomasz Jastrun

INWAZJA NIEUDACZNIKÓW

Ileż to groteskowych powiedzeń PiS wprowadziło już do potocznego języka, a jakie wkrótce się narodzą? Oto tylko niektóre: „agent Tomek", „dobra zmiana", „My jesteśmy tu, gdzie wtedy, oni tam, gdzie stało ZOMO", „gorszy sort", „Misiewicze", „San Escobar" i cudna nowość – „córka leśniczego". Takie osobliwości rodzą się i żyją tylko wtedy, gdy społeczeństwo broni się kpiną przed presją władzy.

•

To, czego doświadczamy ze strony rządzących, to walka z różnorodnością na rzecz jednorodności, ze spontanicznością na rzecz kontroli – co typowe dla każdego nacjonalizmu. Nie było w historii świata dyktatury wolnej od tego mechanizmu.

•

Zawsze to samo oszołomienie, gdy zaglądam do mediów publicznych. Najbardziej szokują programy społeczno-publicystyczne. W hotelu w Inowrocławiu wpadam na TVP info. Ależ szczucie na Europę, styl pierwszych dni stanu wojennego. I to pouczanie: Europo, weź się w garść, walcz z obcymi, inaczej zginiesz. Rzygać się chce, więc w popłochu skaczę na inny kanał. A przy okazji co za upadek rzemiosła w mediach rządowych. Lepszy sort wypycha ze stanowisk fachowców, każdy może być tam już każdym. Trwa inwazja nieudaczników, wołają: teraz my, teraz nasza kolej, wy już się nachapaliście. Trochę podobnie działo się za Platformy, ale skala była nieporównywalna i w tym „politycznym narzucie" było jednak więcej zdolnych ludzi. Za PRL również więcej fachowców stało po stronie władzy niż teraz, nie było wtedy alternatywy. A cenzura działała podobnie jak obecnie. Niepotrzebne były listy zakazanych tematów i nazwisk, to wisiało w powietrzu. Redaktor, który przed 1989 r. zaprosiłby do programu Michnika, straciłby pracę. Teraz też.

•

Niechęć do Arabów i islamu zaczyna w Polsce przybierać coraz częściej formę obsesji. A obsesja nie słucha racjonalnych argumentów. Pisałem już nie bez lęku, że czuję rezerwę wobec Arabów i islamu jako formacji umysłowej i kultury, ale moją niechęć, zapewne opartą na niewiedzy, wtłaczam w zwykłą ludzką przyzwoitość i w racjonalne myślenie. Ciekawe, że teraz w Polsce niechęć do orientalnych przybyszów przenosi się automatycznie na Ukraińców. To uogólniony lęk przed innymi, nawet jeśli to nasi bliscy krewni. W Polsce zaczyna brakować rąk do pracy, jak na Zachodzie, więc kogo mamy sprowadzać, może Szwajcarów? Też bym wolał Szwajcarów, ale oni nie wiedzieć czemu nie chcą do nas imigrować. Wtedy moi oponenci mówią: jeżeli zapewnimy naszym obywatelom zarobki jak na Zachodzie, to Polacy nie będą emigrować. I starczy rąk do pracy. Nawet wtedy nie starczy – straszą demografowie. Potrzebujemy ludzi z zewnątrz. Ale obsesje nie tolerują racjonalnego myślenia. A Kościół nasz zaczyna wracać do swoich źródeł i raczy mówić ustami biskupów o miłosierdziu dla bliźnich, też dla uchodźców, nie tylko katolików. Wszyscy jesteśmy w szoku, że taki szlachetny. Do tego już doszło, że nas to zdumiewa.

•

Z redakcji „Zwierciadła" biorę dzienniki nadesłane na konkurs „Dzień po dniu". Wymyśliłem go dawno i od lat jestem przewodniczącym jury. Prac mniej niż zwykle, ale setka się uzbierała. Tendencja spadkowa trwa od kilku lat, ludzie nie mają czasu, energii ani ochoty, zewsząd słyszę, że dotyczy to też wszelkiej działalności społecznej. Zawsze gdy czytam te dzienniki, porusza, jak gęsto w nich od nieszczęść. Zwykle dramaty są rozproszone, gdyż z natury swojej jesteśmy osobni. Kiedy czytam sto dzienników naraz, wszystko tam się kumuluje jak w szpitalu. Na tym tle widzę, jak mi dobrze, nawet kiedy mi źle. Bardzo mało w tych dziennikach, o wiele mniej niż kiedyś, politycznych emocji. Jakby ludzie mieli już dosyć tej sfery. Ale autorki, zdarza się czasami autor, mają w stu procentach liberalne poglądy. A samo „Zwierciadło", chociaż wystrzega się polityki, z natury jest antypisowskie. Dotyczy to wszystkich tzw. pism kobiecych. Tam jednak nie lansuje się modelu kobiety w kuchni, rozmodlonej maszynki do rodzenia dzieci. Widzę więc pilną potrzebę stworzenia pisma bliźniaczego do „Twojego Stylu" i „Zwierciadła", dla kobiet zacnych, które bez in vitro i grzesznych środków antykoncepcyjnych rozmnażają się na chwałę ojczyzny, a czas spędzają w kuchni.

W Polsce zaczyna brakować rąk do pracy, jak na Zachodzie, więc kogo mamy sprowadzać, Szwajcarów?

•

Spotkanie autorskie w Inowrocławiu, duża, dobra publiczność. Nazajutrz do Gniezna, stamtąd pociąg do Warszawy. Wsiadam pewny swego i zanurzam się w dziennikach Sándora Máraia – ukazał się właśnie drugi tom, świetny, ale ten pierwszy, wojenny, bardziej polecam – by po godzinie zorientować się, że jadę do Berlina. Niewiele brakowało i bym tam dojechał. Moje podejrzenie wzbudził fakt, że pociąg niemal opustoszał. Co za upokorzenie. Już zupełnie straciłem zaufanie do siebie. Jak więc mogę żądać zaufania od czytelników?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6a7debb5de

Eugeniusz Guz

WOLTA STALINA

Dlaczego Moskwa chciała przystąpić do paktu Berlin-Rzym-Tokio i dlaczego do tego nie doszło

Najbardziej zaskakująca, do końca nie całkiem jasna w stosunkach między Trzecią Rzeszą a ZSRR w latach 1940-1941, jest gotowość Józefa Stalina przystąpienia do paktu trzech. Archiwa radzieckie zapewne niewiele tu wyjaśnią, bo sporządzanie notatek, dokumentowanie wydarzeń nie było zwyczajem Stalina. Historia tego paktu cofa nas do roku 1936 – 25 listopada Niemcy hitlerowskie zawarły z Japonią w Berlinie tzw. pakt antykominternowski, przewidujący wspólną walkę przeciwko Międzynarodówce Komunistycznej (Kominternowi). W 1937 r. przyłączyły się do tego paktu Włochy, a w 1939 r. Węgry i Hiszpania. Później także państwa satelickie Niemiec. Media upodobały sobie określenie „pakt stalowy" dla kolejnego układu, zawartego między Niemcami a Włochami 22 maja 1939 r. Wszystkie te pakty skierowane były mniej lub bardziej otwarcie także przeciwko ZSRR.

Kiedy Joachim von Ribbentrop przybył w sierpniu 1939 r. do Moskwy, by podpisać pakt o nieagresji z ZSRR, obie strony znalazły się w kłopotliwej sytuacji, ponieważ pakty pozostawały w mocy. Usiłowano stępić ich antyradzieckie ostrze żartobliwymi uwagami. Ribbentrop w pogawędce ze Stalinem zauważył, że ten z pewnością był mniej przerażony paktem antykominternowskim niż londyńskie City i drobni angielscy kupcy, a wśród Niemców krąży dowcip, że do paktu antykominternowskiego przystąpi nawet sam Stalin.

Dowcip mógł wkrótce stać się rzeczywistością. 27 września 1940 r. w Berlinie, krótko przed przyjazdem Mołotowa, podpisano pakt trzech – porozumienie między rządami Niemiec, Włoch i Japonii, będące właściwie rozwinięciem, uzupełnieniem poprzednio zawieranych umów. W listopadzie 1940 r. do tej trójki dołączyły Węgry, Rumunia i Słowacja. Mówiono wówczas o osi Berlin-Rzym-Tokio, w ramach której uzgadniano światową ekspansję kapitalizmu i imperializmu. Cała ta mozaika paktowa wymierzona była obiektywnie także w izolowany na świecie Związek Radziecki, chociaż w tekście układów go nie wymieniono.

NIEOCZEKIWANA ZMIANA

Hitlerowskie Niemcy dokonały jednak nieoczekiwanej wolty, zapraszając Mołotowa do Berlina. Kokietowanie Rosjan, by przyłączyli się do paktu trzech, Ribbentrop zapoczątkował w liście do Stalina 13 października 1940 r. Omawiając w nim obszernie zabiegi sygnatariuszy nakierowane na sparaliżowanie aktywności Wielkiej Brytanii także na obszarach jej kolonii, Ribbentrop sugerował, by ZSRR włączył się do owej antybrytyjskiej akcji. Jeszcze aktywniejszy był w tej sprawie podczas rozmów z Mołotowem w Berlinie. Podczas końcowego spotkania 13 listopada 1940 r. Ribbentrop obszernie wyłożył koncepcję wciągnięcia ZSRR do paktu trzech, co radca ambasady niemieckiej w Moskwie Gustav Hilger streścił następująco: „Według wyobrażeń ministra celem ostatecznym winno być porozumienie państw paktu ze Związkiem Radzieckim, zmierzające do nawiązania współpracy. Treść takiego porozumienia minister teraz tylko z grubsza szkicuje, by zorientować pana Mołotowa w temacie. Uprzedza przy tym, że ani Włochy, ani Japonia nie były jeszcze w tej sprawie konkretnie konsultowane. Minister uważa bowiem, że najpierw rzecz winna zostać omówiona między Niemcami a Związkiem Radzieckim. Dlatego nie prezentuje tutaj propozycji, lecz nieopierzone jeszcze myśli – do rozważenia przez obie strony. Także do omówienia przez pana Mołotowa ze Stalinem. Kontynuowanie tematu, szczególnie w postaci rozmów dyplomatycznych, może mieć sens, tylko jeśli dojdzie do zgodności zdań między Niemcami a Związkiem Radzieckim".

Berlin, 12 listopada 1940 r. Komisarz ludowy Wiaczesław Mołotow (z lewej) w rozmowie z Adolfem Hitlerem. W środku radca Gustav Hilger.

Gotowość przystąpienia do paktu trzech to największa kompromitacja ZSRR.

Te według Ribbentropa nieopierzone myśli zostały jednak przezeń wręczone Mołotowowi na pożegnanie w postaci… gotowego kilkustronicowego projektu układu. Tak dalece był już wówczas zaawansowany niemiecki zamiar pozyskania Moskwy do paktu trzech.

Mołotow zachętę usłyszał także w rozmowach z Hitlerem. Poprzestał wówczas na ogólnikowej akceptacji pomysłu. W radzieckim *démarche*

eprasa.pl 6a7debb50e

przekazanym Berlinowi 12 dni później, 25 listopada 1940 r., Stalin już wyraźnie oświadczył, że do paktu gotów jest przystąpić, ale najpierw chciałby uzyskać zapewnienie, że uwzględnione zostaną radzieckie interesy terytorialne, przede wszystkim w Europie.

KATALOG SPRAW

Radziecka odpowiedź zaczyna się od zapewnienia: „Związek Radziecki gotów jest zaakceptować naszkicowany przez ministra Ribbentropa w rozmowie 13 listopada projekt czteromocarstwowego paktu o współpracy politycznej i wzajemnym wspieraniu się gospodarczo pod następującymi warunkami...". Tu Moskwa wylicza katalog interesujących ją spraw, oczekując ich akceptacji przez sygnatariuszy.

Jeszcze w artykule zamieszczonym w „Prawdzie" 30 września 1939 r. Mołotow, oceniając znaczenie paktu trzech, pisał o „formujących się w Europie blokach, których celem jest zdobycie panowania nad światem". Tymczasem zaledwie rok później Rosjanie sami zaczęli ten pomysł akceptować.

Gotowość przystąpienia do paktu trzech to chyba największa kompromitacja ZSRR. Krok taki ukazałby bowiem kosmiczne wręcz zakłamanie radzieckiego kierownictwa – gotowość współdziałania w imperialistycznym podziale świata, w wyznaczaniu stref interesów, w dodatku z mocarstwami skrajnie antykomunistycznymi. Moskwa bowiem prezentowała się wówczas jako przywódczyni światowego antyimperialistycznego ruchu komunistycznego i lewicowego. Czytelnik może uznać, że autor nieco wyolbrzymia wymowę gotowości ZSRR przystąpienia do paktu trzech, bo np. Churchill – zdecydowany antykomunista – wszedł przecież w sojusz ze Stalinem. Nie zapominajmy jednak, że Churchill związał się ze Stalinem, by pokonać zbrodniczy reżim hitlerowski, podczas gdy Stalin przyłączał się do paczki imperialistów, owładniętych manią podbijania innych państw i dzielenia się wpływami na świecie.

Zaskakujące, że prezentowane tu rozumowanie całkowicie uszło uwadze historyków omawiających stosunki niemiecko-radzieckie. Poprzestają oni na lakonicznym odnotowaniu samego faktu zabiegów o udział w pakcie trzech. Tymczasem przystąpienie do niego pozbawiłoby ZSRR prawa nazywania się Związkiem Socjalistycznych Republik. Już sam pakt Ribbentrop-Mołotow z sierpnia 1939 r. był dla partii komunistycznych i lewicowych wstrząsem, kłopotliwą niespodzianką, źródłem ideologicznego zamieszania. Wejście do paktu trzech spotęgowałoby te reakcje. Nie doszło zaś do tego również z tej przyczyny, że Stalin liczył na większe korzyści z paktu, nie tylko terytorialne, lecz także gospodarcze.

PRZYNĘTA CHWYCIŁA

W przystąpienie ZSRR do paktu trzech początkowo nie wierzyli sami Niemcy. W notatce z 15 października 1940 r., sporządzonej po wysłaniu poprzedniego dnia listu do Stalina, zastępca Ribbentropa Ernst von Weizsäcker pisze we wspomnieniach, że „Rosjanie nie dadzą się wciągnąć do paktu trzech". Jego zdaniem to twierdzenie nie było w Berlinie odosobnione. A jednak przynęta chwyciła.

Pierwsze sygnały, że ZSRR serio przymierzał się do udziału w pakcie trzech, pojawiły się na międzynarodowej konferencji historyków odbywającej się od 31 stycznia do 3 lutego 1995 r. w Moskwie. Została ona zorganizowana z okazji 50. rocznicy zakończenia II wojny światowej, a jej inicjatorami były placówki naukowe Izraela i Rosji: Cummings Center for Russian and East European Studies na Uniwersytecie Telawiwskim oraz Instytut Historii Powszechnej Rosyjskiej Akademii Nauk. Międzynarodowe echo tego spotkania znalazłem w kwartalniku „Osteuropa", w kilkustronicowym omówieniu zatytułowanym „Związek Radziecki i początek II wojny światowej 1939-1941".

Zaciekawił mnie następujący fragment tego omówienia konferencji: „Zainteresowanie Stalina, by doprowadzić do nowej jakości współpracę z państwami faszystowskimi, potwierdziły w listopadzie 1940 r. rokowania Mołotowa w Berlinie z Hitlerem oraz ministrem spraw zagranicznych von Ribbentropem. Również historycy rosyjscy nie powątpiewają już dzisiaj, że Związek Radziecki poważnie rozważał przyłączenie się do paktu trzech mocarstw, jeśli Niemcy, Włochy i Japonia uznają jego mocarstwowe interesy". Już samą gotowością pertraktowania o pakcie trzech ZSRR zdradził światowy ruch komunistyczny, którego miał być ojczyzną. ■

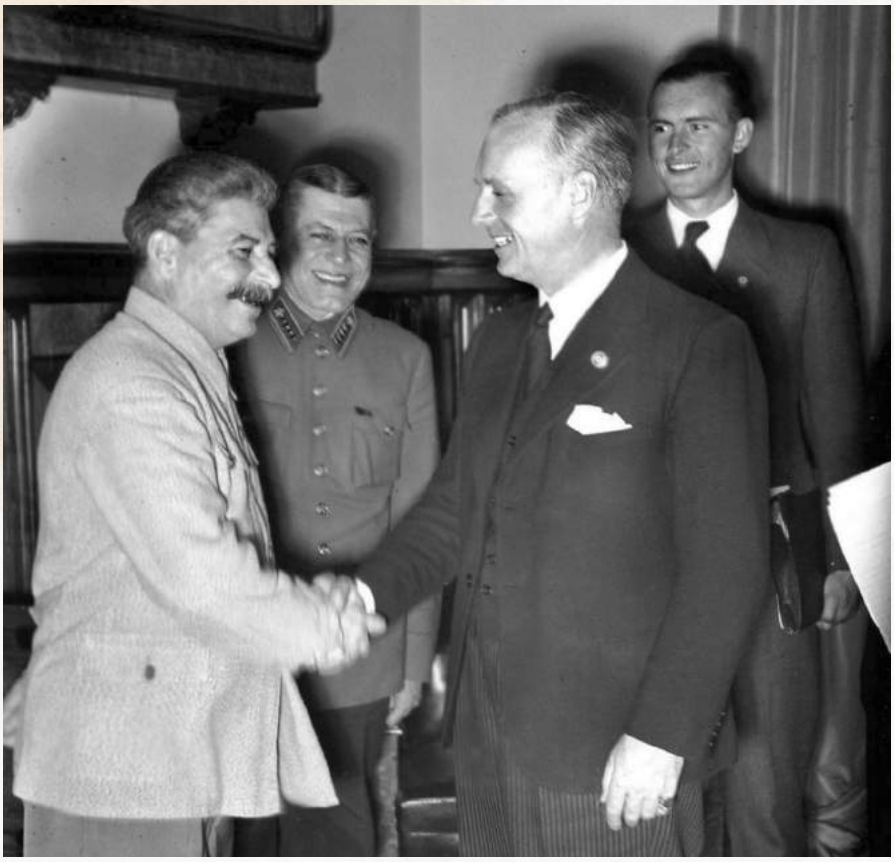

Moskwa, 23 sierpnia 1939 r. Stalin i Ribbentrop gratulują sobie podpisania paktu o nieagresji, który przeszedł do historii jako pakt Ribbentrop-Mołotow.

FOT. NAC, DEUTSCHES HISTORISCHES MUSEUM, BERLIN

eprasa.pl 6a7debb50e

JAK ZŁE PSY DORABIAŁY DO PENSJI

Gangsterzy „Mokotowa" mieli haki na funkcjonariuszy policji i byli w tym niezwykle skuteczni

Ewa Ornacka

Jan Fabiańczyk, ps. „Majami", był funkcjonariuszem stołecznej policji, kiedyś rozpracowywał gangi. Z czasem zaczął wyglądać i zachowywać się jak ci, których z ukrycia obserwował. Mówiono, że w starciach z gangsterami był bezkompromisowy. Zarzucono mu przekroczenie kompetencji, przeniesiono poza Warszawę i skierowano do zwykłej służby patrolowej. Dzisiaj już nie pracuje w policji. Jest aktorem. Jego losy (i fryzura) kojarzą się z filmowym policjantem „Majamim", którego w produkcji Patryka Vegi zagrał Piotr Stramowski. Fabiańczyk spotkał się z nim na planie filmu „Pitbull. Niebezpieczne kobiety". Zagrał gangstera z gangu motocyklowego.

Janek „Majami" o kretach i gangusach

Jak to się stało, że pan, były policjant, znalazł się na planie filmowym najsłynniejszej gangsterskiej trylogii w Polsce?

– Udział w filmie zaproponował mi Patryk Vega. Powiedział: „Ty, Janek, całe życie zadajesz się z gangsterami, więc zagraj u mnie gangstera, dasz radę". I tak znalazłem się na planie „Pitbulla. Niebezpiecznych kobiet". Wcześniej produkowaliśmy się razem w kilku stacjach telewizyjnych podczas różnych programów i Patryk zauważył, że przed kamerą dosyć dobrze sobie radzę. Dzięki pracy operacyjnej na ulicy nabrałem trochę zachowań gangsterskich. Jak widać, przydało mi się to na planie filmowym.

Fajniej być gangsterem czy policjantem?

– Policjantem.

Słyszał pan o mokotowskiej „liście"? Nie filmowej, prawdziwej.

– Wielu o niej słyszało. Były na niej nie tylko nazwiska osób do uprowadzenia, czyli takich, na których można było zarobić, ale także osób niewygodnych, szkodzących grupie mokotowskiej, do spacyfikowania. Ta lista była swoistym planem pracy. W przypadku porwań dla okupu ustalano drzewo powiązań, np.: „Ten producent od blach, wyrwiemy od niego miliard złotych. Jak wyrwiemy? Uprowadzimy mu syna". Dramat ofiar oraz ich rodzin polegał na tym, że autorzy listy nigdy nie brali pod uwagę, że oddadzą zakładnika, dlatego popełniali wiele błędów, np. byli bez kominiarek. Chodziło wyłącznie o wyrwanie kasy, czasami nawet kilka razy od tej samej osoby. Zdrowie i życie osoby uprowadzonej nie miało żadnego znaczenia. (…)

Czy na listę trafiały nazwiska policjantów lub prokuratorów ścigających grupę mokotowską? Przestępcy byli na tyle silni, aby podnosić rękę na śledczych?

– Bardziej bezczelni niż silni, właśnie dlatego mogli mieć takie plany. Z tym że raczej nie było to w kategoriach zabijania, ale postraszenia, zastraszenia.

Jak to możliwe, że po doświadczeniach z „Pruszkowem" i „Wołominem" warszawska policja dopuściła do powstania tak niebezpiecznej i bezczelnej grupy?

– Pamiętajmy, że to były odłamy różnych grup, zbieranina. Połączyli się niemal niepostrzeżenie, dlatego że całe policyjne siły skierowano do walki z grupą pruszkowską i wołomińską. Dochodzili do władzy z boku, wykorzystując całe to zamieszanie. Idealnie wpasowali się w miejsce zwolnione przez poprzedników. Proces wstrzeliwania się w ten rynek nastąpił w przypadku mokotowskich bardzo szybko, podczas gdy „Pruszków" budował pozycję przez lata. Grupa mokotowska niemal natychmiast osiągnęła taką siłę i władzę jak „Pruszków".

A jak to się stało, że współtworzyli ją policjanci?

– Ech… Powodów zapewne było kilka, tak jak zawsze, gdy w grę wchodzi współpraca policji z bandytami. Jednym z nich był strach. Nie ukrywajmy: policjant też człowiek, boi się o rodzinę, o siebie. Boi się, żeby bandyci nie weszli mu do mieszkania, nie zastraszyli dzieci. Drugi powód to haki na funkcjonariuszy, a w tym „Mokotów" był niezwykle skuteczny. Materiały obciążające bywają przeróżne, pochodzą z agencji towarzyskich, popijawy… Scenariusz jest podobny: da się taki namówić na wspólną wódę, a potem z pijaństwa wychodzą cuda wianki. Gangusy skrzętnie to gromadzą i wykorzystują – żeby trzymać człowieka w szachu lub go kompromitować. Kolejny powód to oczywiście pieniądze. Zawsze się znajdą tacy, którzy dadzą się złapać na lep kasy. Ale w problemy można popaść nieświadomie.

Jak?

– Potrzebujesz gotówki, ktoś ci ją pożyczy, a potem nie chce zwrotu, tylko przysługę.

Uczciwi policjanci nie czują, że mają kreta w szeregach?

– Oni to wiedzą. Jeżeli jedna, druga czy trzecia akcja nie wychodzi, bo ktoś na przykład ucieka, wciąż wyprzedza policję o krok, to masz podejrzenie graniczące z pewnością. Raz może się nie udać, ale nie porażki całą serią, bo wtedy sprawa staje się oczywista, że masz kreta w wydziale. Wszyscy go wtedy szukają, bez względu na to, co robi Biuro Spraw Wewnętrznych [policja w policji – przyp. aut.]. Zresztą kret wcale nie musi być w wydziale. Policjanci mają dostęp do baz danych. Poza tym ze sobą rozmawiają, to normalna rzecz w miejscu pracy. I właśnie potem informacje przeciekają to tu, to tam. Postronne osoby do-

eprasa.pl 6a7debb50e

wiadują się o wielu sprawach niejako przy okazji, a nie pracując nad nimi.

Niektórzy policjanci powołani do ścigania obcinaczy palców przychodzili do rodzin, oferując pomoc w negocjowaniu z porywaczami wysokości okupu, choć te rodziny nawet nie zgłosiły przestępstwa.

– Mogło tak być z tego względu, że policjanci posiadają rozległą wiedzę: gdzie kto mieszka, kto ma pieniądze i jak nimi dysponuje. Mało tego – mogą tak rozplanować służbę, by obserwować typowaną ofiarę, a potem podpowiedzieć, gdzie ta osoba jest, co robi w danym momencie, czym i jaką trasą się porusza, no i jak do niej podejść. Przestępcy nie muszą wtedy obserwować ofiary, a to dla nich ogromne ułatwienie.

Gdzie jest wtedy granica między stróżem prawa a bezprawiem?

– Nie ma już granicy, ona została definitywnie przekroczona. To już nie jest policjant, tylko przestępca. On tylko pracuje w policji. Jest taki sam jak ci, którym pomaga.

Czy niechlubny przykład funkcjonariuszy w gangu mokotowskim to była lekcja dla polskiej policji?

– Niewątpliwie, ponieważ po każdej takiej „wtopie" – a przecież wiemy, że grupę mokotowską wspierało co najmniej kilku policjantów, a nie jeden – w firmie podwyższają się standardy bezpieczeństwa. Nie chodzi o skuteczniejsze zabezpieczanie mundurów, przecież każdy je może mieć, jeśli zechce, ale już na przykład logowanie się do systemu nie może odbywać się anonimowo. Zawsze pozostaje ślad, że szukało się jakiegoś adresu, numerów rejestracyjnych pojazdu oraz wielu innych cennych dla przestępców informacji. Dochodzi też kwestia przestrzegania rejonizacji pracy – jeśli jesteś poza swoim terenem, musisz wytłumaczyć się z tego, co robisz poza właściwym miejscem służby.

A ograniczone zaufanie do kolegów?

– Ta zasada powinna obowiązywać niezmiennie. Sprawdza się poprzez tworzenie bardziej hermetycznych wydziałów. W praktyce wygląda to tak, że skoro trzy, cztery osoby pracują w tym samym czasie nad jedną sprawą, to o szczegółach śledztwa wiedzą tylko one i nikt inny. Jeśli wypłynie jakakolwiek informacja, wówczas winnych szuka się wśród tych trzech, czterech osób, a nie w całym wydziale.

Niejaki „Steryd", skorumpowany funkcjonariusz, zeznał w śledztwie, że policjant, na którego wołali „Majami", z pionu dochodzeniowo-śledczego komendy na Grenadierów, załatwiał gangsterom umundurowanie i oprzyrządowanie policyjne na napady dokonywane metodą „na policjanta".

Jan Fabiańczyk „Majami" (nz. z lewej) i Piotr Stramowski na premierze filmu „Pitbull. Niebezpieczne kobiety".

– Nigdy nie pracowałem w pionie dochodzeniowo-śledczym w komendzie na Grenadierów.

Na gangsterskiej smyczy, czyli drugie życie „Steryda"

O powiązaniach „Mokotowa" z policją opowiedział – zaraz po aresztowaniu w styczniu 2006 r. – skorumpowany funkcjonariusz Dariusz Sz. „Steryd". „Brałem udział w przestępstwach, o których chcę opowiedzieć – zadeklarował podczas przesłuchania. – Mam też sporą wiedzę na temat osób, które były w grupie, w tym również z policji, i na temat kontaktów z prokuraturą (...)".

„Steryd" był posterunkowym w Komendzie Stołecznej Policji, przydzielonym do służby patrolowej. W chwili aresztowania miał 32 lata, z zawodu był technikiem elektrykiem. „Miałem problem z narkotykami, zażywałem je, kupowałem kokainę", tłumaczył śledczym powody, dla których przeszedł na złą stronę mocy. Z policyjnej pensji nie starczyłoby mu na nałóg, dlatego wszedł w układ z „Bajbusem".

„Pamiętam, że kiedy latem 2005 r. »Dony« poszukiwał amunicji do pistoletu, powiedziałem mu, że »Steryd« jest policjantem, to niech z nim gada, może mu załatwi – mówił w śledztwie „Bajbus". – »Dony« zwrócił się do niego. Chciał kupić kaliber 7,65 mm. Po jakimś czasie »Steryd« przyniósł szare pudełeczko, a w nim 25 sztuk. Powiedział, że musiał tę amunicję ukraść, bo inaczej się nie dało. »Dony« zapłacił mu za to 700 zł".

„Steryd" dostarczał gangsterom policyjne kamizelki i legitymacje, oprócz tego sam brał udział w bandyckich akcjach. (...)

Bandyta czy przykrywkowiec?

Kiedy Wydział do Walki z Terrorem Kryminalnym Komendy Stołecznej Policji i Centralne Biuro Śledcze rozpoczęły masowe aresztowania, Dariusz Sz., ps. „Steryd", trafił za kraty jako jeden z bandy „Bajbusa". Na przesłuchaniu oznajmił, że jest policjantem ukrytym w groźnym gangu. „Przykrywkowcem" miał zostać po wcześniejszym zatrzymaniu za bandycką burdę w pubie. Wówczas, w komendzie przy Opaczewskiej, opowiedział o grupie „Bajbusa", napadach i planowanych akcjach. Przesłuchujący go policjant, podający się za Jacka Borowca, miał

eprasa.pl 6a7debb50e

Kwiecień 2008 r., zatrzymanie 20 członków grupy mokotowskiej.

powiedzieć, że wszystko, czego się dopuścił „Steryd", będzie mu odpuszczone, ale nie za darmo. Dariusz Sz. miał zostać wtyką w grupie „Bajbusa", ustalono zasady jego współpracy z policją. Od tamtej pory „Steryd" zbierał informacje o kolegach gangusach i przekazywał je funkcjonariuszowi „Jackowi Borowcowi". „Gdy członkowie grupy odkryli prawdę, kilka razy straszyli »Steryda«, że zabiją i jego, i jego dziecko", napisano w aktach sprawy.

Praca „przykrywkowców" to jedna z najpilniej strzeżonych przez policję tajemnic. Procedury przydzielania do tej elitarnej i niebezpiecznej służby znane są nielicznym, ale z pewnością nie przebiegają w sposób, o jakim mówił „Steryd". Jednak on uwierzył, że wykonuje dla policji zadania pod przykryciem. Po rozbiciu grupy „Bajbusa" tłumaczył śledczym, że w przestępstwach uczestniczył wyłącznie w charakterze policyjnej wtyki. Nie był do końca szczery. Od pozostałych członków bandy różnił się tylko oficjalnym miejscem pracy i policyjną odznaką.

Ani w policji, ani w gangu „Steryd" nie zrobił specjalnej kariery, za to w sądzie wypadł dość dobrze. „Sąd Okręgowy w Warszawie uznał za w pełni wiarygodne zeznania świadka Dariusza Sz. złożone w toku postępowania przygotowawczego, a następnie konsekwentnie potwierdzone przed sądem – czytamy w aktach. – Świadek rzetelnie i szczerze podzielił się swoją wiedzą na temat działalności przestępczej grupy »Bajbusa«, nie ukrywając i nie pomniejszając przy tym swojej roli w popełnianiu przestępstw, a także na temat innych przestępstw, o których tylko słyszał. Współpraca Dariusza Sz. z organami ścigania i wymiaru sprawiedliwości była bardzo ważna w rozbiciu grupy »Bajbusa« i tzw. grupy mokotowskiej".

„Steryd" nie tylko okazał pełną skruchę, ale też wskazał innych pracujących dla gangu funkcjonariuszy. Ciężar odpowiedzialności za przestępstwa popełniane przez grupę mokotowską metodą „na policjanta" rozłożył tym samym na liczne policyjne barki. Według „Steryda" skorumpowana była niejaka pani Ula – naczelnik dochodzeniówki jednej z komend rejonowych, a w napadach na tiry i przedsiębiorców ze Stadionu Dziesięciolecia brał udział oficer Wydziału do Walki z Przestępczością Gospodarczą komendy przy Grenadierów. Policjant przekazał swoją służbową legitymację „Bajbusowi", a w komendzie zgłosił jej kradzież.

„»Bajbus« używał tej legitymacji podczas napadów na hurtownie odzieży – mówił przed sądem „Steryd". – Kolejni policjanci to Rafał i Łukasz z Referatu Patrolowo-Interwencyjnego z komendy na Opaczewskiej. Obaj podczas napadów dokonywanych metodą na policjanta używali swoich legitymacji służbowych. Zatrzymywali i okradali dilerów narkotykowych [!], po czym zdobyte w ten sposób narkotyki sprzedawali swoim handlarzom. Kolejny pracował w KRP III – Ochota, Ursus, Włochy, wynosił protokoły z przesłuchań osób, które zeznawały przeciwko grupie mokotowskiej". „Steryd" powiedział prokuratorowi, że to właśnie za sprawą tego konkretnego policjanta z KRP III jego zeznania trafiły do „Bajbusa": „Krzysztof M. uzyskał kopie protokołu mojego przesłuchania, gdzie mówiłem o przygotowywanym napadzie na Woli na Spółdzielnię Inwalidów. Pokazał mi kopię protokołu i straszył, że mnie zajebie albo moje dziecko, jeśli coś zrobię w kierunku ujawnienia jego grupy, ponieważ ma dostęp do moich akt. »Karol« (którego zadaniem w grupie było dogadywanie się z adwokatami, policjantami, prokuratorami i sędziami) mówił, że ten policjant z KRP III jest oficerem z wydziału kryminalnego w stopniu komisarza bądź nadkomisarza i że jest bardzo wysoki, bo trzeba zadzierać głowę podczas rozmowy".

Cennym nabytkiem dla gangu miał być, według „Steryda", oficer z wydziału terroru Komendy Stołecznej Policji, bezpośrednio zaangażowany w działania operacyjne wymierzone w grupę mokotowską. Dzięki niemu przestępcy wiedzieli, kiedy mają wyjechać z miasta na długie wakacje, aby uniknąć zasadzek i aresztowania.

„Jest to oficer, który poprzez »Karola« miał poinformować o poszukiwaniach »Rokiego« za narkotyki i »Arcziego« za porwania. Z tego, co się orientuję, to »Karol« dzwonił do niego z aparatu z miasta. Nie wiem, czy po tych telefonach się spotykali, czy rozmawiali o szczegółach z innego telefonu. Miało to miejsce wiele razy przed planowanymi zatrzymaniami niektórych osób przez policję", wyjaśniał „Steryd".

– Kilku powiązanych z gangiem mokotowskim funkcjonariuszy policji miało sprawy karne i usłyszało wyroki – zapewnia prokurator, który oskarżał grupę „Bajbusa".

– Wszyscy wymienieni przez „Steryda"?

– O ile dobrze pamiętam, to nie.

– Dlaczego?

– Jego wiarygodność była wątpliwa. (...)

Fragmenty książki Ewy Ornackiej *Kombinat zbrodni. Grupa mokotowska*, Rebis, Poznań 2017

FOT. EAST NEWS, CBS/REPORTER/EAST NEWS

eprasa.pl 6a7debb50e

Bez lekcji Wodeckiego

Edward Mikołajczyk

Na ogół ludzie umierają za wcześnie. Kiedy wypada odezwać się do kogoś w kondukcie albo coś mądrego powiedzieć już nad samym grobem, żałobnikom najczęściej przychodzą do głowy myśli tak banalne, że to wielkie szczęście dla nieboszczyka, że tego nie usłyszy.

Zbigniew Wodecki, nawet gdyby dożył matuzalemowego wieku, dla Telewizji Polskiej odszedłby za wcześnie. To jest instytucja, która potrzebuje pogrzebów wielkich ludzi tylko do westchnień, że tyle jeszcze mogliby zrobić. Nie ma w tym prawdy, jest sama obłuda maskująca lenistwo i brak instrukcji obsługi Artysty.

Telewizja nie powinna być teatrzykiem, który co chwila zwołuje (casting) chętne osoby, za nasze pieniądze (abonament) obwozi je po jarmarkach, aby potem, kiedy umiera sztukmistrz, który przyciągał najwięcej publiczności, żałować, że umarł. Bo wygląda to na płacz z powodu utraconych pieniędzy, a nie z powodu utraty artysty, którego talentów nie wykorzystano właściwie za życia.

Przepraszam bliskich Zbigniewa Wodeckiego za posługiwanie się przykładem człowieka, którego im nagle zabrakło. Mam przekonanie, że on sam by się nie obraził, że używam jego nazwiska do sformułowania poważnego oskarżenia telewizji publicznej w Polsce o historyczne zaniedbanie programowe dotyczące jego kariery i katastrofalne dla kultury polskiej przegapienie talentu wielkiego artysty.

Kierowanie telewizją, szanowni panowie prezesi, nie polega na tym, że podaje się publiczności adres, ustala termin i jak ktoś coś umie, niech przyjdzie i wam pokaże, a wy zrobicie sobie selekcję po uważaniu i będziecie pokazywać na antenie tę amatorszczyznę pomiędzy reklamami. Waszym kontraktowym obowiązkiem jest tworzenie warunków rozwoju wyszukanym talentom i tworzenie dla nich nowych, polskich, oryginalnych formatów. Kupowanie tego towaru od innych, kupowanie tego, co wszyscy, a nawet podkupywanie innych, to nie jest zajęcie dla telewizji publicznej, która ma w zadaniach misyjnych wyznaczanie nowych standardów programowych oraz podnoszenie artystycznego i edukacyjnego poziomu przekazu.

Pojawienie się Zbigniewa Wodeckiego mogło być dla polskiej telewizji czymś więcej, niż dla Polskiego Związku Piłki Nożnej był przebłysk talentu Roberta Lewandowskiego w Zniczu Pruszków. Wodecki tak wyglądał i tak promieniował osobowością, że nie musiał nawet otwierać ust, żeby zwrócić na siebie uwagę. A jednak amatorom zatrudnionym na menedżerskich stanowiskach w TVP udało się tego nie zauważyć. Odnotowali, owszem, że śpiewa, a nawet gra, sam sobie pisze słowa i muzykę, ale nie dało im do myślenia, że umie o tym zajmująco mówić i że prezentowania muzyki nie ogranicza do obracania paroma wyliniałymi frazesami etatowych prezenterów.

Przegapili dokładnie wszystko: nienaganne maniery, staranne wykształcenie, wrażliwość i wysoką kulturę muzyczną, umiejętność słuchania i demonstrowania dźwięków, plastycznego opowiadania o sprzężeniu instrumentu z wykonawcą, o złożonej konstrukcji, barwie i zapachu dźwięku. Tak jak był ukochanym przez publiczność wykonawcą, byłby Zbigniew Wodecki również zachwycającym popularyzatorem muzyki oraz wielkim nauczycielem miłości do śpiewu i gry na instrumentach. Byłby, ale z wyroku telewizji nie został.

RYS. MAŁGORZATA TABAKA

Tacy jak on naprawdę przychodzą na świat bardzo rzadko. Telewizja przegapiła wielką szansę na wyprodukowanie oryginalnej serii z perspektywą ogromnego powodzenia w Europie i nie tylko. Nie wylansowano żadnego, najskromniejszego nawet projektu antenowego z udziałem Wodeckiego, choćby na wzór „Spotkań z Aleksandrem Bardinim" w Studiu 2 w latach 70.

TVPiS kupiła nam za to „The Voice Kids", obciachowy zagraniczny format do bałamucenia dzieci i rodziców. Przyjdź, jeżeli masz mniej niż 15 lat, a więcej niż osiem, będziesz w telewizji, nasze jury ci powie, że jesteś super, może wygrasz, a może tylko sobie popłaczesz z mamusią przed kamerą. Łzy dobrze się sprzedają. Obłoży się je reklamami na antenie, żeby zarobić na następną licencję. Dokładanie polskich wzruszeń i polskich reklam do kupionych za granicą seriali i formatów wyczerpuje ambitny plan repolonizacji kontentu misyjnej telewizji publicznej. ■

BEZPŁATNY NEWSLETTER ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Jeśli nie, to można to zrobić na stronie www.tygodnikprzeglad.pl, podając swój adres e-mail, lub dzwoniąc do redakcji, tel. 22 635 84 10 wew. 111.

Dostając newsletter, w każdy poniedziałek otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGLĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

BĄDŹMY W KONTAKCIE!

eprasa.pl 6a7debb50e

– wokalista, skrzypek, lider grupy Zakopower, występuje również z innymi muzykami, np. z Aleksandrą Kurzak, Wojciechem Waglewskim, Justyną Steczkowską, Grzegorzem Turnauem. Z wykształcenia jest architektem.

SEBASTIAN KARPIEL-BUŁECKA

CO TO, JUŻ POŻARTOWAĆ NIE MOŻNA?

W folklorze podhalańskim i w Karpatach jest mnóstwo cygańszczyzny

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz

Dlaczego wasza najnowsza płyta jest taka smutna i jeszcze nie ma tytułu?

– To jest album koncertowy, a ponieważ z zespołem Atom String Quartet poczuliśmy więź i razem dobrze nam się grało, postanowiliśmy to utrwalić na nagraniu z Filharmonii Podlaskiej w Białymstoku. Nie zgodzę się, że płyta jest smutna. Nostalgiczna, owszem, jest, dajemy w muzyce nieco melancholii z lekką nutą ludowości, co nie znaczy, że nie potrafimy się cieszyć. Gdy dobrze się wsłuchać w teksty, jest tam też wiele radości.

Ale już pierwsza piosenka, „Milczenie owiec", mówi o śmierci. Czy możemy się doszukiwać jakichś związków ze słynnym thrillerem?

– Ona nie ma nic wspólnego z filmem, nawiązuje do pasterstwa, które od dawna jest kultywowane na Podhalu i wciąż ma się dobrze. Przyznaję jednak, że tytuł jest przewrotny.

A muzyka jakby cygańska.

– W folklorze podhalańskim i w Karpatach jest przecież mnóstwo cygańszczyzny, tu się ścierały kultura rumuńska, słowacka, węgierska i różne ich odmiany. Na płycie można wyczuć cygańską nutę, ale tekst do tej piosenki napisał specjalnie w góralskiej gwarze Bartek Kudasik.

Mamy tutaj długie intro i rozbudowaną grupę wykonawczą, dwa kwartety, chórek, perkusję, gitarę basową, do tego góralską fujarę i inne instrumenty dęte. Publiczności wcale nie przeszkadza długość utworu (11 minut), wręcz przeciwnie. Jest to nagranie żywe, a jeśli publiczności się podoba, zawsze można jeszcze coś dodać.

Albo skrócić.

– To cecha muzyki improwizowanej. Rdzeń jest ustalony i zarówno Zakopower, jak i Atom String Quartet z grubsza wiedzą, co grać, ale można z tym zrobić wszystko, dodać, skrócić. Możemy się bawić muzyką i na tym polega wolność w graniu.

Kto jest liderem artystycznym tego koncertu? Czyje bardziej na górze?

– Myślę, że zrobiliśmy to wspólnie. Są tu utwory stare, ale postanowiliśmy je trochę pozmieniać, dać im nowe życie. Nie mogę powiedzieć, by ktoś miał decydujące słowo. Światy obu zespołów się przenikają – jazzowo-klasyczny kwartetu smyczkowego i nasz folkowo-rockowy, a wspólnym mianownikiem jest folklor, bo Atom String Quartet też z niego czerpie.

Do kogo jest skierowana płyta?

– Nie mamy jakiegoś szczególnego adresata. Nasze utwory skierowa-

FOT. MARTA WOJTEL, MATERIAŁY PROMOCYJNE

eprasa.pl 6a7debb50e

ne są do ludzi, którzy lubią słuchać muzyki, lubią folklor, rock, jazz, pop i jeszcze chcą coś przemyśleć, zastanowić się.

Tytuł „Siwa mgła" kojarzy się z kompozycją Wojciecha Kilara.

– Dobrze się kojarzy, bo rzeczywiście zainspirowała nas „Orawa" Wojciecha Kilara. Tutaj fragmenty czysto ludowe są pomieszane z brzmieniem symfonicznym i rockowym. Taki miks.

Ale nie cytowaliście Kilara?

– Nie ma cytatów. Po prostu przypominamy, że był to wybitny kompozytor i kochał Podhale. Zainspirowany muzyką góralską stworzył wspaniałe dzieła. I my także przywołujemy tę energię, rytm, wszystko jest zagrane i zaśpiewane z dużą intensywnością.

Piosenka „Cy to ta" jest bardziej rockowa niż ludowa i tekstu ma mniej.

– Ale tekst jest ważny, bo opowiada o tym, żeby nie przegapić miłości, gdy się pojawi. Trzeba być czujnym, mieć otwarte oczy, bo można dużo stracić.

W góralskiej balladzie o śmierci Janosika słychać tęskną, trochę cygańską melodię, ale są też popisowe improwizacje.

– Dawid Lubowicz skomponował ten utwór na motywach tradycyjnej melodii ludowej. My jesteśmy tu po stronie źródła, pokazujemy, jak ta melodia brzmi w oryginale, natomiast Atom String Quartet prezentuje ją w wersji jazzowej. Rzeczywiście nie brakuje w niej improwizacji.

Piosenka o kacu jest mało góralska. A w ogóle czy można brać na poważnie słowa: „Kto nie miał kaca, nie wie, co to smutek"?

– Co to, już pożartować nie można? Zabawny tekst napisała Wanda Czubernatowa, która pochodzi z Rabki i jest znaną poetką ludową. Piosenka znalazła się na naszej pierwszej płycie, ale postanowiliśmy ją odświeżyć, właśnie dlatego, że jest to jedna z bardziej góralskich piosenek w naszym repertuarze. Pasowała nam do programu koncertu z Atomami.

Optymizm przeważa?

– Jest jak w życiu, czasem smutek, czasem radość. Mamy refleksyjne i smutne w swoim wydźwięku „Boso", ale mamy i „Kiebyś ty" czy piosenkę „Tata" o oczekiwaniu na narodziny, a czy jest coś, co daje więcej szczęścia niż przyjście na świat nowego życia?

Jak po oficjalnej premierze płyty będzie wyglądała wasza trasa koncertowa?

– Latem gramy koncerty plenerowe z innym programem. Jesienią będzie nas można posłuchać właśnie w repertuarze z płyty z Atom String Quartet, w ich towarzystwie, głównie w filharmoniach. Proszę sprawdzać na naszej stronie: www.zakopower.pl. ■

eprasa.pl 6a7debb50e

BATALISTA I KOBIECIARZ

Wojciech Kossak uważał się za największego polskiego malarza. Był konserwatywny, a zarazem rozpustny

Tomasz Jastrun

Ojciec Wojciecha Kossaka, Juliusz, był wybitnym malarzem. Ceniony, potem sławny, bywał rezydentem na różnych dworach. To był mroczny czas w historii Polski.

Juliusz jest malarzem narodowym, specjalistą od koni. Ta tradycja stanie się potem rodzinna. Juliusz mieszka w Paryżu, gdy w roku 1856 rodzą mu się synowie, bliźniacy. Rysunki czteroletniego Wojciecha zdradzają wielki talent. Rodzina wraca do Warszawy. Mieszkają na Nowym Świecie. Wojciech ma pięć lat, kiedy widzi oddział Czerkiesów szykujący się do rozpędzenia patriotycznej manifestacji. Będą zabici. W 1863 r. dzieci przechodzą z nianią obok pałacu Zamoyskiego, kiedy z budynku zostaje rzucona bomba pod pojazd namiestnika Berga. Nazajutrz zobaczą, jak płonie pałac zniszczony w odwecie za zamach. To wtedy wyrzucony zostanie na bruk fortepian Chopina, co uwiecznił w wierszu Norwid.

Zawsze jest pewien, że zarobi fortunę. Nici z tego.

Powstanie styczniowe. Mały Wojciech zapamięta smutek żegnania idących do walki, rewizje w domu, egzekucje w Warszawie. Wkrótce język rosyjski stanie się obowiązkowy we wszystkich gimnazjach. Kossakowie przenoszą się więc do Krakowa, pod łagodniejszy zabór austriacki. Kupują willę, zwaną potem Kossakówką. Wojciech jest kiepskim uczniem. Po latach wstępuje do krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Potem uczy się w Akademii Monachijskiej, którą kończy w roku 1875, i zaciąga się jako tzw. jednoroczny ochotnik do 1. Cesarsko-Królewskiego Pułku Ułanów w Krakowie. Ma pasję do historii, tak rodzi się przyszły malarz batalista. Potem przez pięć lat uczy się malować w Paryżu. W 1883 r. ponownie zamieszkuje u rodziców w Kossakówce. I wtedy dochodzi do wniosku, że czas się żenić.

NAJSŁODSZE CACKO Z DZIURKĄ

Maria Kisielnicka pochodzi z ziemiańskiej rodziny. Nieduża jasna blondynka o małym nosku i delikatnych ustach. Wojciech – bardzo przystojny, szczególnie kiedy wkłada ułański mundur – ma ciemne włosy i piwne oczy; harmonijnie zbudowany, wysportowany, do końca życia będzie chodził sprężystym krokiem. Poznają się w 1883 r. w Zakopanem.

Wojciech Kossak jako major Wojska Polskiego, 1918 r.

Wojciech nie cierpi dzieci i nie chce ich mieć. Na szczęście dla polskiej poezji jego narzeczona myśli inaczej. Listy Kossaka do niej stają się z lekka frywolne, marzy, by całować „nóżkę już bez pończoszki". A Marylka wydaje się mało rozwinięta w tej sferze (po latach uświadamia córkę Magdalenę: „Moje dziecko, to są bardzo przykre i bolesne sprawy, ale widzisz, Pan Bóg już tak to urządził, że mężczyzna musi…").

Ślub odbywa się 16 lipca 1886 r. Wkrótce Wojciech skarży się w listach, że ma kłopot, bo żona w miejscach publicznych tytułuje go „pan". Ale chyba dochodzi do szczęśliwego zbliżenia, gdyż nazywa nawet publicznie swoją żonę „najsłodszym cackiem z dziurką".

Zamieszkują w Kossakówce, którą zostawia im ojciec. Wojciech maluje obrazy batalistyczne, niektóre sprzedaje, zaczyna być ceniony. Ale prawdziwym wielkim sukcesem jest kupno przez cesarza Franciszka Józefa płótna „Atak strzelców". To początek dworsko-wiedeńskiej kariery malarza.

W tym roku rodzi mu się syn Jerzy, a on jedzie na dwór wiedeński, by namalować polowanie. Jest tam piękna cesarzowa Sissi, wybitna amazonka, teraz kontuzjowana. Kossak pisze do żony: „Biedna cesarzowa ma reumatyzm w dupce i nie może jeździć". Cesarz zaszczyca Kossaka krótką rozmową, a po polowaniu chwali za świetną jazdę konną. Ciekawe, że malarz używa już wtedy jako pomocy aparatu fotograficznego. Rok później maluje słynny obraz batalistyczny „Olszynka Grochowska". Dużo podróżuje. Jego listy do żony są coraz czulsze i śmielsze. „Nie piszę nic, gdzie Cię całuję, bo po cóż ma człowiek po próżnicy oskomę robić. (…) Eh, co tam, całuję Cię, robaczku, w pupkę, w te tak ładne różowe także, gdzie by tu jeszcze? Już nic, tylko jadę paluchem daleko. Okropnie bidny Wonio".

Miał długi. I będzie je miał do końca życia.

Jest wielkim patriotą, ale nie mniejszym snobem, a jego liczne pobyty na dworach zaborców, wiedeńskim i berlińskim, to gorączkowa walka o zamówienia na obrazy. W czasie wyjazdów nieraz sugeruje żonie, że ma okazję ją zdradzać, ale tego nie robi. Pisze w liście z Paryża: „Uf, jakże ciężka jest czasami cnota, zwłaszcza

eprasa.pl 6a7debb50e

W krakowskiej pracowni, 1926 r.

gdy ma się powodzenie u kobiet (…). To nie strach przed chorobą mnie powstrzymuje, z tymi kobietami nie ma obaw (...)". Czy żona mu wierzy? Jest sama w domu przez długie miesiące. W 1891 r. rodzi im się drugie dziecko, córka, w przyszłości świetna poetka Maria Pawlikowska-Jasnorzewska.

DWORSKI SZWENDACZ

W pierwszej połowie lat 90. powstaje w Krakowie słynna „Panorama Racławicka", wyraz mody na takie wielkie obrazy iluzyjne. Pojawia się ich w Europie ponad setka. Kossak ma pomocników, ale sam wykonuje ogromną pracę. Zachęcony sukcesem planuje następną panoramę w Berlinie, bitwę pod Berezyną. Wtedy w 1894 r. rodzi mu się druga córka, znana jako Magdalena Samozwaniec, pisarka i satyryczka. Druga panorama będzie go kosztować masę czasu i sporo zdrowia. Jego partnerem w tej pracy, oprócz kilku pomocników, jest malarz Julian Fałat, z którym jednak dochodzi do konfliktów (po latach będą się pojedynkować). Po co Kossakowi było to malowanie wielkich płócien? Marzyła mu się światowa kariera i duże pieniądze. Miał długi. I będzie je miał do końca życia.

Żona jest coraz bardziej zazdrosna o męża, który zwykle przebywa z dala od domu i szwenda się po dworach. Kiedy ją prosi o pieniądze, jest pewna, że to na jakąś kobietę. Coraz bardziej podejrzana wydaje się gorliwość, z jaką Wojciech zapewnia żonę o wierności. Przez kilka lat Kossak będzie kursował między dworem wiedeńskim a berlińskim. Szukając pejzaży do obrazu „Bitwa pod piramidami", pojedzie do Egiptu.

Kobiety ciągnęły do niego jak ćmy do ognia i skorzystał z niejednej okazji.

W roku 1901 w zaborze pruskim zaczyna się antypolska polityka, brutalna germanizacja. Są coraz większe pretensje do Kossaka, że rezyduje na pruskim dworze.

PIĘKNY PIĘĆDZIESIĘCIOLETNI

Biografka Kossaka Arael Zurli pisze, że „kobiety ciągnęły do niego jak ćmy do ognia i niewątpliwie skorzystał z niejednej okazji", ale niełatwo tu o dowody. Dopiero w roku 1908 ujawnia się wielka namiętność Kossaka do Zofii Hoesickowej. Jak to się zdarza artystom, wszystko zaczęło się od malowania portretu. 26-latka ma córeczkę i jest żoną znanego historyka literatury. Kossak ma wtedy 50 lat, ale czuje się młodo. Najpierw wygląda to tylko na przyjaźń, w listach sporo jest o mężu Zofii. Potem listy są pisane po francusku, a mąż przestaje być miły dla Kossaka. Mija rok, w listach namiętne wyznania miłosne malarza przetykane są pretensjami o okrucieństwo ukochanej, bo mu się nie oddaje.

W roku 1910 Kossak staje się właścicielem samochodu marki Benz (pierwszy samochód w Krakowie pojawił się siedem lat wcześniej). Pojazd zdaje się nie robić wrażenia na Zofii, która mówi, że odwzajemnia uczucie Wojciecha, ale nie pozwala się dotknąć. Na razie skazany jest on tylko na marzenia: „Nie pozostawiłem na Pani drogim ciele ani jednego centymetra kwadratowego, którego bym nie całował". Poirytowany staje się żałosny, gdy wypomina Zofii, co dla niej i dla jej męża zrobił: „Jakieś wstrętne uczyniła nam życie, najdroższa, i dlaczego, dlaczego?".

Bliskość, a zarazem niedostępność czasami świetnie działa na namiętność, tak jest w przypadku Kossaka. W listach używa wszystkich możliwych argumentów, liczy na zazdrość, pisząc o kobietach, które nim się interesują. Aż w końcu używa fortelu patriotycznego. Jest wielkim malarzem narodowym, więc postępowanie Zofii jest niepatriotyczne.

W 1911 r. jego syn Jerzy zaczyna istnieć publicznie jako malarz. Ma talent po ojcu i dziadku, ale będzie zdecydowanie najsłabszym malarzem w rodzinie. Stworzy „fabryczkę obrazów", żerując na ojcu. Karierę zaczyna robić niezwykle towarzyska i wygadana córka Magda. Ale to jej siostra, pochmurna, zamyślona Lilka (Maria), zostanie wybitną autorką.

Kossak nie jest już młody, ale ma świetną prezencję. „Był doprawdy człowiekiem wyjątkowo eleganckim i urodziwym. Było w jego sposobie mówienia, w zachowaniu, gestach, nawet w chodzie coś naturalnie wytwornego, a przy tym bardzo męskiego. Z postaci jego biło zdrowie i siła", pisał kompozytor Roman Jasiński. Można dodać, że był też świetnym gawędziarzem, a miał o czym opowiadać.

Tymczasem flirt Zofii i Wojciecha staje się publiczną tajemnicą, powstają na ten temat humorystyczne wier-

eprasa.pl 6a7debb50e

W salonie w Kossakówce z córką Magdaleną Samozwaniec i Lotkiem, czyli Stefanem Jasnorzewskim, mężem poetki Marii.

sze. Nic dziwnego, że Kossak kłamie, by uspokoić żonę, pisze, że widział Zofię, ale zbrzydła okropnie, nos jej się zrobił inny jakiś, bo miała przecie przyzwoity".

Nie wiadomo dokładnie, kiedy Zofia ulega jego namiętności, ale gdy w roku 1913 rodzi córkę, złośliwi mówią, że dziecko jest podobne do Kossaka.

CIEPŁE NÓŻKI W PUNKCIE WYJŚCIA

Wybucha I wojna światowa. Kossak jako oficer i kierowca jest szefem kolumny automobilowej. Malarz batalista, urodzony wojskowy, widzi jednak okropieństwa wojny, jej absurd, a i dramat narodowy – Polacy we wrogich armiach biją się ze sobą. Próbuje zerwać z Zofią, tłumacząc, że z sześćdziesiątką na karku nie ma ochoty na seks. Ale szybko zmienia zdanie. Pisze może zbyt szczerze, że przy całej makabrze wojny szczególnie dokucza mu brak kobiet. Jego listy do Zofii czasami zaskakują erotyczną szczerością: „Tak się cieszyłem (…) na ciepłe nóżki i na kochany ten słodki punkt ich wyjścia, jeszcze nabrzmiały rozkoszą sprzed kilku godzin".

W czasie wojny Kossak nie odda ani jednego strzału, wyjdzie też z niej cało. Pod koniec wojny jest w Warszawie i wstępuje do powstającej polskiej armii. Ludzie lokują wtedy pieniądze w obrazach, więc maluje na potęgę i zaczyna spłacać długi. No i ponoć ma wiele romansów, o których nigdy się nie dowiemy. Na pewno nie ma skrupułów, by zdradzać żonę, którą zresztą po swojemu kocha.

Zawsze się śpieszył. Nic dziwnego, że malował coraz gorzej.

Lata 20. to czas jego sukcesów, maluje nieraz Piłsudskiego. Dwa razy jedzie do Ameryki, a wielokrotnie do Paryża. Zawsze jest pewien, że zarobi fortunę. Nici z tego.

Z Zofią już tylko się przyjaźni, dzięki temu mamy jego szczere listy do niej. Oto scena z podróży statkiem: „Kiedy taka ślicznotka założy nogę na nogę, do licha, widać wysoko nad pończoszką biel perłową tuż blisko obok delty miłosnej (…) okrytej lekką zasłoną. Godna uwielbienia płeć piękna, jakże ją adoruję. O wiele za mocno. Pan Bóg mnie ukarze w czyśćcu za to, czyniąc pederastą".

STAROŚĆ DURNA I JURNA

Malarz jest w świetnej formie, nawet po osiemdziesiątce ma romanse. Od którejś z kochanek zaraża się nawet świerzbem. Jest coraz bardziej konserwatywny, z czego wyklucza tylko erotykę. Kossaków odwiedza w 1935 r. pisarka Maria Dąbrowska, która notuje w dzienniku: „Że też taki świat poczciwych mamutów i wsteczników zachował się gdzieś jeszcze".

Obok malarstwa główny motyw życia Wojciecha to monstrualne problemy finansowe, chociaż zawsze świetnie zarabiał. Stąd to paniczne zabieganie o sprzedaż obrazów, by spłacać długi. Problem, że nie tylko on, ale i cała rodzina jest chorobliwie rozrzutna. W sidłach długów tkwi jego brat. Tonący w nich syn Jerzy, kiepski malarz, fałszuje prace ojca i sprzedaje jako swoje. Ten co chwila musi ratować potomka, poprawiając te obrazy i sygnując je swoim imieniem.

Pierwsze lata okupacji Kossak przeżyje w Warszawie. Heroicznie i z powodzeniem walczy, by nie malować obrazów dla hitlerowców, o co zabiegają. Umiera na raka w roku 1942.

Zamknięcie się Kossaka na nowe malarstwo, nie tylko na impresjonizm, spowodowało, że będzie jedynie rzemieślnikiem, czasami świetnym, ale nie wielkim artystą jak jego kolega ze studiów Jacek Malczewski.

Z całej trójki na pewno najlepszym malarzem był dziadek Juliusz. Wojciech przy swojej niezwykłej biegłości malował za szybko, bywało, że obrazy produkował (stąd tyle dzisiaj Kossaków na rynku). Zawsze się śpieszył. Nic dziwnego, że malował coraz gorzej. Co nie przeszkodziło mu uważać się za największego polskiego malarza. Był konserwatywny, a zarazem rozpustny, niezwykle pracowity, ale mało intelektualny. Miał w sobie coś sarmackiego. Czasami wydaje się, że za silny był w nim pierwiastek męski, gdy sztuka jest przecież kobietą.

Tomasz Jastrun

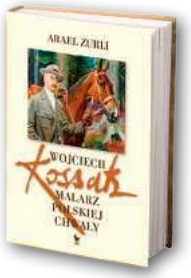

Na podstawie książki Arael Zurli *Wojciech Kossak, malarz polskiej chwały*, Wydawnictwo Iskry

REP. Z KSIĄŻKI „WOJCIECH KOSSAK. OPOWIEŚĆ BIOGRAFICZNA"

eprasa.pl 6a7debb50e

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

POLSKA ŁYDKA NA WAKACJACH

Na pierwszym planie ogromne ręce Barbary – łapska, chciałoby się rzec. Blade, gigantyczne, jak wielkie martwe ryby wyrzucone na brzeg. Dopiero za łapskami widzimy Barbarę: szeroką jak filar, z dziwnie rozciągniętą na boki twarzą. Jej klockowaty korpus zajmuje cały pierwszy plan. Po chwili dostrzegamy za nią niewielkiego człowieczka, który wychyla się nieśmiało zza jej ramienia. Człowiek wielkości gawrona, o niepewnym uśmiechu cudzoziemca. Oboje, Barbara i jej mąż, mają dziwne futrzane czapki. Jest to ich najgorsze zdjęcie i pokazują je gościom tylko po pijaku. W chwilach małżeńskich kryzysów zaś chętnie się nim nawzajem szantażują. W rzeczywistości Barbara jest smukłą, ładną kobietą, a jej mąż to solidny, wyższy od niej facet. Szanowany profesor, niemający nic wspólnego z gawronem. Przywieźli to zdjęcie ze służbowej podróży do Moskwy.

Wszystko żyje po to, żeby być na zdjęciach, a już na pewno latem.

Ja też mam swój udział w Wielkiej Fotograficznej Kompromitacji. Była to moja ostatnia podróż do ciepłych krajów. Ostatni raz, kiedy dzielnie zwalczyłam lęk przed lataniem. Rok 2008, Grecja. Wynajmujemy autko i postanawiamy objechać wyspę. Ja mam dokumentować wycieczkę. Dzielnie trzymam w dłoni aparat z opcją nagrywania. Przez chwilę filmuję to, co wszyscy turyści: górskie kozy z dzwoneczkami, bliki słońca na wodzie, serpentyny, które pną się po pagórkach, kilka wiejskich, przydrożnych barów, koty wyjadające resztki po gościach. Auto jest małe, tanie i biedne. Niewydolna klimatyzacja sprawia, że jest gorąco. Samochód kołysze, zasypiam. Aparat staje się ciężki, ręka opada na fotel. Kiedy później oglądamy nagranie – jest na nim moja blada, polska łydka. Trzęsąca się jak galareta, obła łyda. 40-minutowa transmisja z życia łydki na wakacjach. Do dziś kiedy ktoś z rodziny chce mnie pognębić – grozi mi łydką, przysięga, że wpuści nagranie do sieci albo chociaż pokaże znajomym.

Któregoś dnia oglądam album fotograficzny mojej koleżanki Moniki. Jest jeden z tych bajkowych zimowych wieczorów, kiedy za oknem sypie śnieg i wszystko wydaje się lekko nierzeczywiste. Opanowuje nas nostalgia i sięgamy po stare nagrania albo zdjęcia. Monika wyciąga z szuflady wyblakłe rodzinne fotki, a ja nie mogę uwierzyć, że ta piękna dziewczyna miała tak okrutnego zeza, że jej oczy dosłownie zbiegały się do piegowatego nosa. – Tak, robił mi się dziwny zez, kiedy chciało mi się spać – wyznaje. – I nie mogłam nic na to poradzić. Poza tym nie rozumiałam, dlaczego rodzice nie martwili się moim zezem. Raczej mieli z tego niezły ubaw. Dlatego tyle tu zezowatych zdjęć. Widzisz? – Monika wskazuje jakąś fotkę obrażona. – Nabijali się ze mnie i specjalnie mnie wtedy fotografowali!

Jednak to mój ojciec jest w posiadaniu najgorszego własnego zdjęcia. Zawsze lubił wesołe towarzystwo wujka Ryśka i kiedy siadali razem „na jednego", wiadomo było, że nie skończą szybko. Lubiłam wywoływać z mamą klisze. Wędrowałyśmy do specjalnego zakładu, gdzie panował specyficzny zapaszek papieru fotograficznego i chemikaliów. Kiedy mama odbierała zdjęcia, z zachwytem studiowałam ślubne portrety w wystudiowanych pozach, fotografie komunijne i – te najfajniejsze – portrety psów, pozujących z wywieszonym jęzorem. Tym razem matka straciła panowanie nad sobą i wezwała imię Pana Boga nadaremno. W ręce trzymała wywołane właśnie zdjęcie, na którym ojciec, w towarzystwie Ryśka, stał dumnie z czarnym odtykaczem do klopa umocowanym sprytnie na czole. Błagaliśmy matkę, żeby nie wyrzucała zdjęcia, które od tej pory funkcjonowało w rodzinie jako „Jednorożec". Ryśkowi musieliśmy zrobić dodatkową odbitkę.

Wiadomo, wszystko żyje po to, żeby być na zdjęciach, a już na pewno podczas wakacji. Rytualne fotki są po prostu częścią imprezy. Kompromitujące nagrania, niebanalne foty z głupimi minami, otwartą buzią, wałeczkami tłuszczu zrolowanymi na brzuchu – wszystko to jest, ma się rozumieć, rozczulające. I o wiele ciekawsze niż studyjne portrety, które są jedynie jakimiś wyobrażeniami, marzeniami o nas odprasowanych, wypoczętych, utrwalonych w naszych najlepszych czasach.

KSIĄŻKA

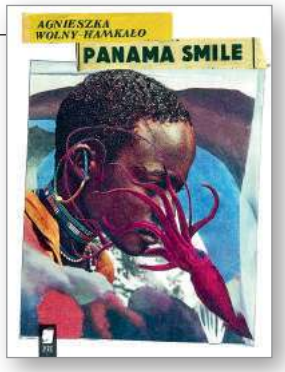

Agnieszka Wolny-Hamkało
Panama smile
Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2017

Zwolniony dyrektor, rodziny smoleńskie, para starszych ludzi w jaskrawych kurtkach, pies, który śmierdzi jak małpiarnia, kot siostry, który zatruł się gwiazdą betlejemską, małe dramaty i wielkie dylematy, i dziesiątki sytuacji z różnego czasu, różnych miast – wszystko nadaje się do uwiecznienia w poezji. Czytelnicy felietonów Agnieszki Wolny-Hamkało wiedzą, że ma ona oko i ucho do wychwytywania z codzienności pozornie błahych zdań, cytatów, rozmów i podawania ich w nienachalny, lekki sposób. Autorka wysyła nam zaproszenie: zajrzyjcie do mnie.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

epraśa.pl 6a7debb3de

KURTYNA W GÓRĘ

POROZMAWIAJMY O TRAUMIE

To nie jest klasycznie rozumiana adaptacja „Malowanego ptaka" Jerzego Kosińskiego, ale rodzaj wariacji osnutej wokół tej powieści. Na spektakl składają się segmenty pozornie do siebie nieprzystające, a jednak spojone w przedziwny sposób. Sąsiadują więc ze sobą wirtuozerskie pokazy choreograficzne, estradowy skecz Henryka Rajfera, fragmenty wypowiedzi intelektualistów o sprawach polsko-żydowskich, symboliczno-naturalistyczne obrazy dzikiej przemocy, zarejestrowane na wideo. Przed oczyma widzów pojawia się zwierzęce ucieleśnienie nienawiści w monologu Michała Kalety, brutalna scena gwałtu na Głupiej Ludmile (Joanna Drozda) i zmartwiała z przerażenia twarz porte-parole autora (Jerzy Walczak). Te wymowne sceny okalają komentarze dziennikarki, a zamyka hipnotyczny finałowy taniec umierającego ptaka, wysnuty z powieści i teatru Eugenia Barby.

Otwarcie tego przedstawienia na wiele nurtów teatru i kultury sprawia, że sceniczny „Malowany ptak" jest jak gąbka – wchłania cały świat i w przedziwny sposób go porządkuje. Bez histerii, bez arogancji, ale konsekwentnie i bezlitośnie podąża śladami zbrodni, krzywdy, antysemityzmu, wyparcia z pamięci. Zaczyna się od tzw. panelu dyskusyjnego, w którym usadzeni na fotelach aktorzy, grający role akademickich znawców tematu, toczą nudny spór o pamięć, międląc po raz setny ten sam towar. Kleczewska z tego pokpiwa, podając w wątpliwość, czy to dobra droga do przywrócenia pamięci. Po przerwie trafiamy do odtworzonej sali prób Teatru Żydowskiego, czyli dekoracji „Dybuka". Dzięki temu zabiegowi przedstawienie wpisuje się w opowieść o bezdomnym teatrze, który szuka swojego miejsca.

Teatr pewnie nie może zmieniać świata, ale może i powinien stawiać ważne pytania. A teatr Mai Kleczewskiej taki jest, ten jej spektakl może w szczególności – nie do pominięcia w myśleniu o traumie, zabliźnianiu ran i zachowaniu pamięci.

Tomasz Miłkowski

„Malowany ptak" według Jerzego Kosińskiego, reżyseria Maja Kleczewska, koprodukcja Teatr Polski w Poznaniu, Teatr Żydowski w Warszawie, spektakle w hali ATM w Warszawie, 28-30 maja 2017

NA POWAŻNIE

SMUTNA OPERA O MIŁOŚCI

Miłość często przedstawia się jako uczucie radosne, ale wiadomo, że może być też źródłem potwornego bólu. Taki właśnie temat obrali za wiodący twórcy przedstawienia, kompozytor Erich Korngold, który oparł treść opery na prozie Rodenbacha, a także reżyser Mariusz Treliński i scenograf Boris Kudlička. Wszystko tutaj jest ciemne, smutne i tragiczne. Także wykonawcy – może tylko poza odtwórczynią głównej roli kobiecej, Marlis Petersen, będącą uosobieniem życia i temperamentu. Najbardziej bohater „Umarłego miasta" Paul – Jacek Laszczkowski – u którego ból widać, czuć i słychać. Doskonale mu partneruje Michał Partyka, świetny baryton robiący karierę na Zachodzie, a także solistka z Łodzi Bernadetta Grabias w roli służącej. Wszystkich oglądamy w onirycznych, przygnębiających dekoracjach, które krążą przed naszymi oczami na obrotowej scenie. I tylko muzyka nie jest pokręcona, przeciwnie: jędrna, drapieżna, miejscami bardzo rytmiczna. Brawo dyrygent.

Bronisław Tumiłowicz

Erich Wolfgang Korngold, „Umarłe miasto", reżyseria Mariusz Treliński, Teatr Wielki-Opera Narodowa, koprodukcja La Monnaie, Bruksela, premiera 10 czerwca 2017

NA EKRANACH

JONATHAN

Niezależnie od tego, czy jesteśmy w Polsce, Stanach Zjednoczonych czy w Niemczech, prowincja i homoseksualizm nie idą w parze. Ale ten film nie jest krytyką prowincjonalnej mentalności ani patriarchalnego modelu rodziny, w którym dusi się wszelkie formy inności. Zamiast klasycznej opowieści o odkrywaniu własnej seksualności i zmaganiu się z trudami jej akceptacji Piotr Lewandowski, Polak mieszkający w Niemczech, proponuje inną perspektywę. Nie młody bohater musi dokonać coming outu, tylko jego schorowany ojciec. To już naprawdę ostatni moment, by chociaż małą część życia przeżyć w prawdzie, pokazać siebie takim, jakim się jest. Reżyser ucieka od gatunkowych kolein i tworzy opowieść pełną werwy i goryczy. Bo nie ma już złudzeń, że bohater jeszcze jakoś ułoży sobie życie, tu czy tam, z tym czy z tamtym. Ciężar dramatu spoczywa jednak na barkach młodego Jonathana, który musi zaakceptować to, że błędów popełnionych przez bliskich nie da się naprawić. Naprawić można wyłącznie tu i teraz, co bohater wytrwale robi, obmywając coraz bardziej kruche ciało ojca. Udany debiut.

Artur Zaborski

reż. Piotr J. Lewandowski, prod. Niemcy, już w kinach

eprasa.pl 6a7debb50e

FESTIWALE

23. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE

Letnie sobotnie wieczory w Warszawie to oczywiście Jazz na Starówce. Muzyka różnorodna – usłyszymy zarówno mainstream i swing, jak i bossa novę, world jazz, fusion oraz jazz flamenco – zawsze w najlepszym wykonaniu. Wystąpią gwiazdy światowe i europejskie, m.in. Daniel Jobim (wnuk Antonia Carlosa) i John Pizzarelli, grupa Oregon, Christian Bakanic na czele tria nazwanego kusząco Infernal, a Polskę będą reprezentować Marek Napiórkowski oraz Grzegorz Turnau. Jako pierwszy zagra 1 lipca Francesco Cafiso Quartet. Lider to wirtuoz saksofonu altowego, ambasador włoskiego jazzu. Zadebiutował, mając lat 11, a już trzy lata później wyjechał w trasę po Europie z Wyntonem Marsalisem. Grał z największymi amerykańskimi jazzmanami, od kilku lat jest dyrektorem artystycznym festiwalu w rodzinnym sycylijskim miasteczku Vittoria. Zachwyca doskonałą techniką i niezwykłą inwencją. Szczegóły: **www.jazznastarowce.pl.**

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, SOBOTY OD 1 LIPCA DO 26 SIERPNIA, GODZ. 19.00

KULTURALNE DZIECI

5. WAKACJE W KINIE PRAHA

Przez całe wakacje, od poniedziałku do piątku, od godz. 10.00 odbywać się będą poranne projekcje bajek połączone z warsztatami. W programie m.in.: „Mali konstruktorzy i niesamowity świat robotów!", „Trening kreatywności", „Wygraj z głową! Psychologia sportu dla dzieci", „Kolorowa Przygoda w Cyrku Mimello", „Być jak Kung Fu Panda", „Magiczne mówienie rękoma" czy „Taneczna podróż do Egiptu". Szczegółowe informacje: **www.kinopraha.pl/wydarzenie/5-edycja-wakacji-kinie-praha.**

26 CZERWCA-31 SIERPNIA

AKCJA

IMIENINY JANA KOCHANOWSKIEGO

Na tegorocznym pikniku literackim z okazji imienin Jana Kochanowskiego pojawią się pisarze, poeci, ilustratorzy, literaturoznawcy i aktorzy, a także najciekawsze polskie wydawnictwa (z książkami w „imieninowych" cenach). W programie również mecz poetycki, koncert, dansing i atrakcje dla dzieci. Gościem specjalnym jest Joseph Conrad, dlatego przewidziano też rozmowy z wybitnymi tłumaczami o tajnikach przekładu dzieł obcojęzycznego Polaka, a znawcy twórczości pisarza spierać się będą, „Czyj jest Conrad". Szczegółowy program: **www.bn.org.pl/imieninyjana/program.**

WARSZAWA, OGRÓD KRASIŃSKICH, 1 LIPCA

ZAJRZYJ TU

POLEN PERFORMANCE GEMALT

Pierwsza indywidualna wystawa duetu Justina Los i Mikołaj Sobczak, a zarazem retrospektywa podsumowująca ich dotychczasową działalność. W ramach wystawy uczennice i uczniowie Szkoły Rysunku i Malarstwa Henryk działającej przy galerii Henryk zostali zaproszeni do namalowania obrazów bazujących na wybranych przez Polen Performance materiałach dokumentujących ich akcje. Dorobek performerów stał się więc dla uczniów swego rodzaju martwą naturą, złożoną z fotografii oraz opisu poszczególnych działań. Wystawę można oglądać przy ul. Wrzesińskiej 4/1 w Krakowie.

KRAKÓW, HENRYK GALLERY, DO 15 LIPCA

KURTYNA W GÓRĘ

HAMLET – KOMENTARZ

Teatr Pieśń Kozła w najnowszym spektaklu interpretuje jeden z najbardziej znanych dramatów Szekspira. Przedstawienie wyreżyserowane przez Grzegorza Brala rozgrywa się dwa miesiące przed właściwą akcją dramatu, czyli w noc zabójstwa starego króla. „To jest taka noc czuwania, rodzaj szekspirowskich dziadów. Pojawiają się postacie, które są nieobecne na kartach dramatu. Przyglądamy się temu, co dzieje się w głowach bohaterów, i snujemy przypuszczenia na temat tego, co doprowadziło do tragedii", mówi Bral. A 14 aktorów interpretuje postacie, zdarzenia i emocje za pomocą dźwięków. „Jesteśmy jedynym teatrem na świecie, który pracuje taką metodą", dodaje reżyser. Więcej na: **piesnkozla.pl.**

WROCŁAW, TEATR PIEŚŃ KOZŁA, 2, 3, 11 I 12 LIPCA, GODZ. 19.30

Kolumnę przygotowała Agata Gogolkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6a7debb50e

JESTEŚCIE PORWANI

Jeśli istnieje gdzieś najgorsze na Ziemi miejsce, gdzie można wpaść w kłopoty, to właśnie tutaj, w ogarniętej wojną Syrii

Marcin Mamoń

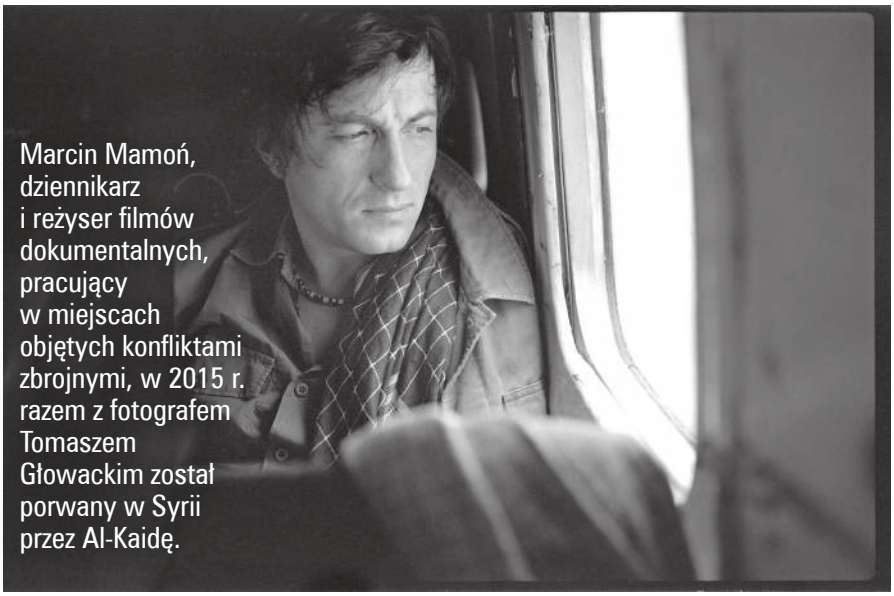

Marcin Mamoń, dziennikarz i reżyser filmów dokumentalnych, pracujący w miejscach objętych konfliktami zbrojnymi, w 2015 r. razem z fotografem Tomaszem Głowackim został porwany w Syrii przez Al-Kaidę.

Wąski pasek światła odbija się od posadzki. Jest jak komunikat: W okolicach Aleppo w Syrii niebo jest bezchmurne. Świeci słońce. Oślepia, gdy stoję na palcach przy ścianie celi. Tuż pod sufitem niewielkie okno. Jest wysoko, dokładnie na poziomie ziemi. (...) Była już prawie zima. Dni coraz krótsze, coraz więcej deszczu, nawet burze. (…)

Po zmroku komary cięły niemiłosiernie. To też był pewnego rodzaju komunikat. W Syrii prawie wszędzie jest pustynia, a wody brak, tu jednak w pobliżu musi być jakaś rzeka, bajoro, a może kanał irygacyjny. Na ścianach brunatne plamy rozmazanej ludzkiej krwi. Ślady beznadziejnej walki więźniów z moskitami. (…) Nie wiedzieliśmy, w czyich jesteśmy rękach. Jeśli uprowadzili nas ludzie z ISIL, małe są szanse, że wyjdziemy stąd żywi. Muszą wiedzieć, że Polska jest w koalicji krajów wymierzonej przeciwko Państwu Islamskiemu. (…)

Przed wyjazdem do Syrii poszedłem się wyspowiadać. (…) Chciałem wiedzieć, czy jeśli wpadnę w ręce złych ludzi i przejście na islam będzie jedyną szansą na uratowanie życia, czy będę mógł to zrobić bezkarnie. (…) Ksiądz rozwiał wszystkie wątpliwości. „Widzę, synu, że mała i słaba jest twoja wiara – powiedział. – Jeśli zginiesz za Boga, od razu, bez przyjęcia sakramentów, pójdziesz prosto do nieba. Nawet bez spowiedzi. A jeśli będziesz chciał tylko ratować życie, to jak będziesz potem żył, jeśli wyprzesz się ukrzyżowanego Jezusa?”. Nie pozostawił wyboru.

JESTEŚMY Z FRONTU AN-NUSRA I NIE ZAMIERZAMY WAS SPRZEDAĆ INNEJ GRUPIE.

•

John Cantlie, doświadczony brytyjski korespondent wojenny, miał przejść na islam w pierwszych miesiącach po porwaniu. Tak przynajmniej jeszcze w sierpniu 2014 r. twierdzili ci, którzy go więzili. Ogłosili to na Twitterze. Jego towarzysz, Amerykanin James Foley, podobno również został zmuszony do przyjęcia nowej wiary. Nie ocalił jednak życia. Foley był pierwszą ofiarą w serii egzekucji filmowanych przez ISIL i wrzucanych do sieci; został ich pierwszym „aktorem”, o czym napisał na Twitterze jego zabójca, ochrzczony przez zachodnie media mianem Dżihadi John. Ten Brytyjczyk urodzony w Kuwejcie, a wychowany na londyńskiej ulicy, dostał z kolei główną rolę w serialu „Copyright by ISIL” – rolę kata, który bez emocji podrzyna gardło Foleyowi, a potem morduje w taki sam sposób kolejnych zachodnich zakładników. (…)

John Cantlie wciąż żyje. Dżihadyści darowali mu życie. Przynajmniej na jakiś czas. Uratował głowę nie w dniu, w którym przyjął wiarę Proroka, lecz gdy zgodził się zostać narzędziem w ideologicznej walce ISIL ze światem Zachodu. (…)

•

Już drugiego dnia zorientowaliśmy się, że krata wewnętrzna w naszej celi jest osadzona na byle jak zamurowanych śrubach i ordynarnie wbitych w beton gwoździach. Wydłubaliśmy śruby, wyjęliśmy kratę, skrzętnie ukrywając pod jednym z koców skruszony cement. Jedynym narzędziem, które znaleźliśmy w celi, był zepsuty obcinacz do paznokci. Bez niego nie dalibyśmy rady. Krata okazała się dość skorodowana, a więc krucha. Dodatkowo pomógł nam żeliwny przewód kanalizacyjny w rogu celi. Gdy wcisnęliśmy żelastwo pomiędzy rurę a ścianę, udało się je zgiąć, a w końcu złamać. Pozyskaliśmy w ten sposób łom, którym, jak liczyliśmy, będziemy mogli wyłamać kolejną zewnętrzną kratę. Praca powoli posuwała się naprzód. Sądziliśmy, że jeszcze dwa dni i będziemy wolni. I wtedy nagle nas zabrali, zawieźli w inne miejsce, gdzie ucieczka była już tylko iluzją.

•

W grudniu 2014 r., ponad dwa lata po porwaniu Johna Cantlie’ego, zgodę ISIL na spotkanie z nim próbował uzyskać Jürgen Todenhöfer, niemiecki publicysta, reporter, autor książek o Bliskim Wschodzie. (...) Muzułmanie mieli o nim dobre zdanie, bo jak twierdzili, był dla nich sprawiedliwy i mówił dobrze o islamie. Zanim zdecydował się na podróż do Państwa Islamskiego, negocjował z przedstawicielami ISIL

eprasa.pl 6a7debb50e

przez prawie pół roku, głównie drogą mailową i przez Skype'a. W końcu otrzymał zgodę na przyjazd – dokument sygnowany przez najwyższe władze Kalifatu. Na miejscu zaproponowano mu, że może się spotkać z zakładnikiem pod warunkiem, że po powrocie do Europy zgodzi się przekazać jego listy do matki i Davida Camerona, premiera Wielkiej Brytanii. Usługa za usługę. Będzie mógł wtedy porozmawiać z dziennikarzem, a całe spotkanie zostanie zarejestrowane przez kamery Państwa Islamskiego. Todenhöfer odmówił, uznając, że nie wolno mu „wystąpić w propagandowym show ISIL". Niedługo przed wyjazdem z Syrii jeden z islamistów powiedział mu wprost: „Złóż ofertę Davidowi Cameronowi. John Cantlie może zostać bardzo szybko uwolniony (...)". Dodał, że „Państwo Islamskie jest gotowe wymienić Johna Cantlie'ego na 'Afię Siddiki, nawet bez oficjalnego zaangażowania rządu brytyjskiego".

Rządy brytyjski i amerykański nie zamierzały jednak negocjować z ISIL. Propozycję wymiany brytyjskiego dziennikarza na najbardziej znaną terrorystkę zbyli milczeniem. Siddiki od kilkunastu lat znajduje się w rękach Amerykanów i choć jest kobietą, to w świecie islamskim uważa się ją za symbol niezłomności i oporu wobec imperializmu USA. Według rodziny świetnie wykształcona w Stanach 'Afia została porwana przez agentów CIA 30 marca 2003 r. (…)

Cantlie pierwszy raz został uprowadzony w Syrii w lipcu 2012 r. z innym dziennikarzem, który przyjechał z Holandii. Porwali ich dżihadyści powiązani z Al-Kaidą. (…) Tydzień później odbili ich bojownicy WAS. Dziennikarze stracili cały sprzęt i wszystkie rzeczy osobiste. Przemycono ich do Turcji w grupie uchodźców syryjskich. Cantlie po powrocie do kraju przyznał w wywiadzie dla BBC, że był pogodzony ze śmiercią (…).

John Cantlie to dobry bohater z dobrym *story* na powieść i kinowy hit rodem z Hollywood. Freelancer, korespondent wojenny z 20-letnim doświadczeniem pracy w miejscach ekstremalnych, m.in. w Afganistanie, Libii i Somalii. Amerykański reporter John Foley, gdy usłyszał historię o jego porwaniu, postanowił zrobić o nim film – o dziennikarzu, który mimo tak traumatycznych i krańcowych doświadczeń nie rezygnuje z zawodu i wraca na miejsce, gdzie kilka miesięcy wcześniej omal nie zginął.

W listopadzie 2012 r. pojechali razem do Syrii. Biznes porwań cudzoziemców dopiero się rozkręcał. Zniknęli w okolicach miasta Taftanaz, w północno-zachodniej Syrii. Samochód, którym podróżowali z Bejrutu, wyprzedziła furgonetka. Wyskoczyło z niej trzech mężczyzn. (...) Zmusili dziennikarzy, by wysiedli z samochodu. Kazali im położyć się na ziemi. Potem ich związali, a kierowcę wypytywali, czy obcokrajowcy zapłacili mu tyle, ile się należało. Potwierdził, a oni pozwolili mu odjechać. Według relacji kierowcy fixera dziennikarzy porwali bojownicy Dżabha an-Nusra, syryjskiego skrzydła Al-Kaidy. (…)

Rok później Foley nie żył, a w sieci pojawiło się pierwsze z sześciu kilkuminutowych nagrań sygnowanych przez Państwo Islamskie zatytułowane „Lend Me Yours Ears [Wysłuchajcie mnie] – Wiadomość od brytyjskiego aresztanta Johna Cantlie'ego". Dziennikarz przebrany w jaskrawopomarańczowy kombinezon więźnia siedzi przy drewnianym stole. Za plecami ma jednolite czarne tło. (...) „Hello! Nazywam się John Cantlie. Jestem dziennikarzem, który pracował dla największych dzienników i tygodników w Wielkiej Brytanii, takich jak »Sunday Times«, »The Sun« i »The Sunday Telegraph«. W listopadzie 2012 r. pojechałem do Syrii, gdzie zostałem porwany przez Państwo Islamskie. Dzisiaj, już po blisko dwóch latach, wiele się zmieniło. Włączając w to ekspansję Państwa Islamskiego, które zajęło wielkie terytoria we wschodniej Syrii i w zachodnim Iraku. I co o tym myślicie? Pewnie, że mówię to, ponieważ jestem więźniem, mam pistolet przyłożony do głowy i jestem zmuszony, by to mówić. Prawda? Tak, to prawda. Tak, jestem więźniem i nie mogę temu zaprzeczyć, zostałem porzucony przez mój rząd. Może przeżyję, a może umrę. Ale chcę skorzystać z okazji, by opowiedzieć o faktach, (...) które jeśli się zastanowicie, ocalą mi życie".

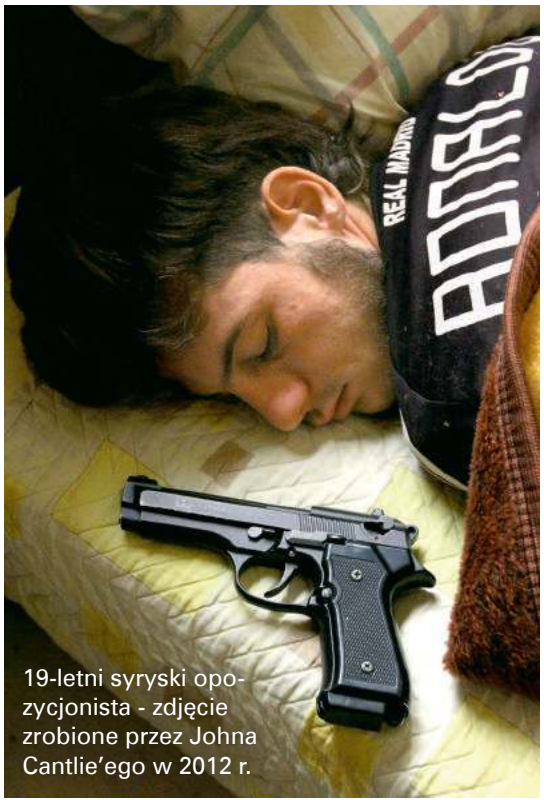

19-letni syryski opozycjonista - zdjęcie zrobione przez Johna Cantlie'ego w 2012 r.

Cantlie ogłosił światu, choć mówił to pewnie pod adresem swoich prześladowców z ISIL, iż ma nadzieję, że to nie ostatnie jego spotkanie z widzami. Zapowiedział też, że w kolejnych programach opowie o działalności i motywacjach tych, którzy stworzyli Państwo Islamskie, o tym wszystkim, czego nie mówią światowe media, a jeśli już mówią, to kłamią.

Odtąd żyje od nagrania do nagrania. Podróżuje z bojownikami ISIL po Syrii i Iraku, niczym korespondent wojenny. Nie pracuje jednak dla „The Sunday Times" czy „The Sun", lecz dla Al-Hayat Media Center, agencji propagandowej ISIL, kierującej swój przekaz do angielskojęzycznej widowni. Cel jest jasny: rekrutacja nowych zwolenników na Zachodzie. (…)

W drugiej połowie 2014 r. pojawiło się w internecie aż siedem wystąpień dziennikarza przed kamerami ISIL. W jednym z odcinków Cantlie przyznał, że zna los towarzyszy: Foleya, Stevena Sotloffa i Davida Hainesa. „Dawno temu zrozumiałem, że najprawdopodobniej czeka mnie to samo, co moich współwięźniów – mówi. – I jestem wściekły z tego powodu". Cantlie nie jest jednak wściekły na swoich oprawców, którzy „robią to, co zapowiedzieli". Jest wściekły na rząd, bo „doprowadził do tego, że znalazł się w takich okolicznościach".

Następna seria filmów nosi tytuł „Inside". Cantlie znów jest reporterem wojennym. Pierwszą relację zatytułowaną „Inside Ayna al-Islam" nadaje z miasta Kobane – pola bitwy dżihadystów z Kurdami. (…) Były reporter „The Sunday Times" nosi teraz

eprasa.pl 6a7debb50e

charakterystyczny dla muzułmanów zarost: zapuszczoną brodę i wygolone wąsy. Stoi na pokrytej gruzem ulicy, w środku pustego miasta, w którym od miesięcy nie ustają walki. *Stand-up* reportera przerywają czasem pojedyncze serie z broni automatycznej. Wideo z Kobane miało zadać kłam zachodniej propagandzie, że naloty amerykańskie są skuteczne, skoro miasto opanowali dżihadyści. Dowodem jest sam Cantlie. Za plecami ma turecką granicę. Stoi tam, gdzie rzekomo mieli już być Kurdowie. „Gdzie oni się podziali?", pyta retorycznie dziennikarz. (…)

W kolejnym reportażu Al-Hayat Media Center Inside Mosul John Cantlie, gładko już ogolony, gra rolę zrelaksowanego i zaciekawionego orientalną egzotyką miasta turysty. Dobrze ubrany, w dżinsach szytych jakby na miarę, w krótkiej skórzanej kurtce do pasa, wciela się w prowadzącego podróżniczy program. Przypomina gwiazdy Discovery czy Travel Channel. Prowadzi samochód przez zatłoczone ulice miasta. W czasie jazdy co jakiś czas spogląda do kamery. Oburza się, że media, na przykład saudyjska telewizja albo Al-Arabijja (tej nie lubi najbardziej), sieją propagandę, jakoby ludzie żyli w Państwie Islamskim w wielkim ucisku i byli terroryzowani przez dżihadystów. W Mosulu przecież – dowodzi – toczy się normalne życie. Miasto rozwija się, ludzie pracują, załatwiają codzienne interesy. (…)

Następną relację Cantlie zrealizował w lutym 2015 r. w Aleppo, w dzielnicach opanowanych przez ISIL. Pomimo wielkich zniszczeń i miesięcy bombardowań nawet tam – przekonuje dziennikarz – Państwo Islamskie potrafi organizować życie, dostarczyć mieszkańcom żywność i co najważniejsze, zapewnić im bezpieczeństwo. Cantlie zapowiedział, że to już ostatni odcinek z serii „Inside" – i zniknął.

Bojownicy Frontu an-Nusra, których o niego pytałem, twierdzili nawet, że zginął podczas jednego z nalotów. Mylili się. W marcu 2016 r. reporter znów pojawił się w sieci. Tytuł nowej relacji brzmiał: „John Cantlie mówi o amerykańskich bombardowaniach kiosków w Mosulu". Po rocznej absencji przed kamerą dziennikarz wygląda znacznie gorzej niż dawniej. Wyraźnie wychudł. Jest blady, zmęczony i wynędzniały. (…) Drwi z amerykańskich nalotów. Wydają setki milionów dolarów, ale nie po to, by niszczyć cele militarne: czołgi, wojskowe konwoje, pozycje

mudżahedinów. Ich celem mają być kioski, gdzie sprzedawane są materiały prasowe i multimedialne Państwa Islamskiego, dzielnice handlowe i mieszkalne. „To upadek i kompromitacja strategii amerykańskiej", powtarza w kółko dziennikarz. Sprawia jednak wrażenie, jakby nie był już – tak jak dotąd – zaangażowanym, samodzielnie myślącym reporterem albo dobrym aktorem przekazującym światu suflowane mu treści. Przestał się starać. Po czterech latach spędzonych z lufą przyłożoną do skroni mógł stracić wiarę, że to cokolwiek zmieni, że jego historia znajdzie szczęśliwe zakończenie. (…)

Przesłuchanie odbyło się kilka metrów dalej, w sąsiedniej, pustej celi. W środku śledczy pozwolił mi zdjąć opaskę. Po raz pierwszy mogłem mu się przyjrzeć. Niewiele było widać. Na głowie miał polarową kominiarkę w zielone plamy typu kamuflaż. Widać było tylko oczy: ciemne i zaskakująco wesołe. Człowiek w masce miał może 175 cm wzrostu i był lekko otyły. Musiało minąć wiele tygodni, zanim zobaczyłem jego bardzo charakterystyczną twarz. Zdjęliśmy buty i usiedliśmy na brudnych materacach rozłożonych na niemal całej powierzchni pomieszczenia.

ŻADEN Z RZĄDÓW NIE PRZYZNA SIĘ, ŻE ZAPŁACIŁ OKUP TERRO

Lend me your ears! „Wysłuchajcie mnie!" – domaga się Cantlie i trafia w pustkę. Światowe media nie emitują jego reportaży. Nawet ich nie cytują. Mają wytłumaczenie. Proste i czytelne dla swoich widzów. Nie chcą być tak jak brytyjski dziennikarz narzędziem propagandy dżihadystów.

•

Głuche uderzenie w żelazne drzwi, by odblokować ściśniętą skoblem kłódkę, i szczęk odsuwanej zasuwy podrywają nas z letargu. Snop światła latarki rozjaśnił celę. Na progu stało kilku młodych mężczyzn z automatami w rękach. Wszyscy mieli na twarzach maski. Wszedł tylko jeden – jak się potem okazało najstarszy. Mówił nienagannym angielskim, z brytyjskim akcentem. „Jeden wychodzi, drugi zostaje", zarządził. Nawet tych kilka metrów musieliśmy przejść z zawiązanymi oczyma.

– Powiem ci, o co chodzi – zaczął. – Jesteście porwani. Jesteśmy z Frontu an-Nusra i nie zamierzamy was sprzedać innej grupie. Jest tu co najmniej 15 takich grup, które mogłyby wam zrobić krzywdę. Nam chodzi tylko o pieniądze i od waszego rządu zależy, ile czasu tu spędzicie.

– A ile za nas chcecie?

– A to zależy, jak bardzo jesteście ważni.

– A jeśli nasz rząd nie zapłaci?

– Wszyscy płacą. Zawsze.

– Amerykanie też?

– Oczywiście.

– A Brytyjczycy?

– Też.

– Co wiesz o Polsce?

– Polskę znam tylko z mapy pogody.

•

Żaden z rządów nigdy nie przyzna się, że zapłacił okup terrorystom, ale Francuzi, Hiszpanie, Włosi, Niemcy

eprasa.pl 6a7debb50e

Reporter wojenny John Cantlie jest zakładnikiem syryjskiego skrzydła Al-Kaidy.

płacą, o czym w swoich wystąpieniach zamieszczanych na YouTube mówił nawet sam John Cantlie. On jednak był wściekły, że ani rząd Wielkiej Brytanii, ani Amerykanie nie dogadali się z porywaczami, którzy więzili jego, Johna Foleya i innych. Bliscy zamordowanych Amerykanów twierdzili nawet, że władze groziły im procesem, jeśli na własną rękę będą organizować pieniądze na okup. Mogli jednak zostać nakłonieni przez Departament Stanu czy FBI, by tak mówić, żeby nikt potem nie zarzucił USA, że nakręca mechanizm porwań i sponsoruje terroryzm.

do internetu. Dziś prawie nie sposób ich odnaleźć. Znikały z sieci w tym samym dniu, w którym się pojawiały. Władze Wielkiej Brytanii zabroniły publikowania czy nawet oglądania egzekucji. Scotland Yard ostrzegł, że publikowanie zapisu z egzekucji może naruszać przepisy antyterrorystyczne. W oświadczeniu napisano, że nawet „przeglądanie materiałów ekstremistycznych może być przestępstwem".

Stanowisko brytyjskich władz wzbudziło oburzenie w sieci, a wkrótce również podejrzenia, że w całej sprawie chodzi o coś więcej. Wielu blogerów, szczególnie lewicowych, uznało

RYSTOM, ALE FRANCUZI, HISZPANIE, WŁOSI, NIEMCY PŁACĄ.

Porywaczom z ISIL od początku chodziło o pieniądze. Dopiero potem proponowali wymianę więźniów, wiedząc, że nikt po drugiej stronie się na to nie zgodzi. „To nie były typowe porwania dla okupu. Tak naprawdę porywacze stawiali swoje żądania władzom. Rodzina była tylko pionkiem w tej grze", pisał w listopadzie 2015 r. dla „The Telegraph" James Harkin, autor książki o dramatycznych losach Johna Foleya, pierwszego zachodniego zakładnika zamordowanego przez ISIL. (…)

Według źródeł organizacji Reporterzy bez Granic między marcem a czerwcem 2014 r. kidnaperzy z ISIL sprzedali 15 zakładników, m.in. Hiszpanów, Duńczyka i kilku Francuzów. Zarobili dziesiątki milionów dolarów. Za Amerykanów i Brytyjczyków terroryści żądali najwięcej pieniędzy – po 100 mln dol. za głowę. Potem ich ścięli, a nagrania z egzekucji trafiły

nawet, że film z egzekucji dziennikarza jest mistyfikacją. Powstał po to, by uzasadnić przed amerykańską i zachodnią opinią publiczną rozpoczęcie nowej wojny na Bliskim Wschodzie. „Może powinniśmy zapytać CIA?", stwierdzali ironicznie internauci. Wkrótce podjęli własne śledztwo. Ktoś dowodził, że Foley i mężczyzna ścięty na filmie z egzekucji to dwie różne osoby. (…)

Wbrew rozpowszechnianym w internecie teoriom spiskowym rodzice Foleya rozpoznali na filmie syna. Obejrzeli relację z ostatnich minut jego życia, bo „potrzebowali wiedzieć". (…) Według relacji francuskich dziennikarzy, którzy dzielili więzienny los z Foleyem i zostali wykupieni przez Paryż, Amerykanin zgłosił się na śmierć na ochotnika. (…)

•

Rozmowa ze śledczym nie trwała długo, najwyżej 15, może 20 minut. Powiedział, w czyich jesteśmy rękach i że mamy szczęście, że to oni nas porwali. Chciałem mu wierzyć, ale nie mogłem w żaden sposób zweryfikować, czy mówi prawdę. Był naszym jedynym kontaktem ze światem. Informacja, że porwali nas ludzie Al-Kaidy, podniosła nas jednak na duchu. Nawet jeśli odsprzedali kiedyś ISIL Foleya, Cantlie'ego i innych zakładników, było to dawno. Dzisiaj są wrogami Państwa Islamskiego. Walczą o rząd dusz wśród muzułmanów całej ummy. Strzelają nawet do siebie (…).

Śledczy wypytywał, czym się zajmuję i jak przeszliśmy granicę; pytał także o ludzi, którzy zaprosili nas do Syrii. Nie kryliśmy, że zaprosił nas Hamza i że nie odebrał nas z granicy. „A jeśli Hamza was sprzedał?", zawiesił głos. Czekał cierpliwie na odpowiedź… Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. „Nie. To niemożliwe. To mój przyjaciel", odparłem w końcu, choć wiedziałem, że śledczy może mieć rację. Nie mogłem przestać o tym myśleć przez kolejne długie dni i noce. Hamza był moją jedyną nadzieją. Jak pogodzić się z myślą, że zdradził, jeśli tylko on może nas stąd wyciągnąć… Polski rząd? Czy będą chcieli zapłacić okup? Ile czasu minie, zanim dojdą do wniosku, że jesteśmy porwani? Dwa, trzy tygodnie? Więcej? Negocjacje z terrorystami czującymi się w Syrii bezkarnie mogą zabrać dużo więcej czasu. Pół roku? Rok, dwa? A jeśli nie zapłacą…?

Byliśmy świadomi, że jeśli istnieje gdzieś najgorsze na Ziemi miejsce, gdzie można wpaść w kłopoty, zniknąć, to właśnie tutaj, w ogarniętej wojną Syrii, w miejscu kontrolowanym przez dziesiątki, a może nawet setki różnych zwalczających się dżihadystycznych organizacji. „Tu nie pojmiesz, kto i z kim się bije", uprzedzał Hamza, zanim się tu znalazłem. Wiedział o tym, ale nie odebrał nas z granicy. Zamiast niego na miejscu czekali inni.

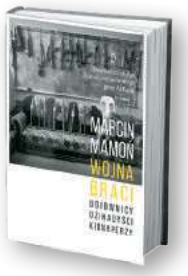

Fragmenty książki Marcina Mamonia *Wojna braci. Bojownicy, dżihadyści, kidnaperzy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017

FOT. TOMASZ GŁOWACKI/MATERIAŁY PRASOWE, JOHN CANTLIE/ AFP/EAST NEWS, WIKIMEDIA, YOUTUBE

eprasa.pl 6a7debb50e

Każda władza miała swoich historyków

Zgadzam się w 100% z prof. Aleksandrem Krawczukiem (PRZEGLĄD nr 20). Termin „polityka historyczna” to moim zdaniem wymysł idiotów chcących wykorzystać zmanipulowane fakty historyczne do własnych celów politycznych. Historia to fakty udokumentowane w źródłach, można je interpretować, o czym należy poinformować, ale nie manipulować nimi na zasadzie, że „naród głupi to kupi”.

KAŻDA WŁADZA MIAŁA SWOICH HISTORYKÓW

odyn, Onet.pl

•

Cel obecnej „polityki historycznej” jest banalnie prosty: stworzyć bazę ideologiczną dla społeczeństwa feudalnego, takiego, jakim byli Polacy przed 1945 r. Dlatego gloryfikuje się mity I i II RP, gdzie taki właśnie system społeczny panował, i na wszelkie sposoby opluwa się „komunę”, która podjęła pierwszą (i zapewne ostatnią) próbę zbudowania względnie egalitarnego społeczeństwa. Dlatego bez przerwy powtarza się kłamstwa o rzekomych luksusach, w jakich żyła „czerwona nomenklatura” kosztem „głodującego” społeczeństwa. No to niech mi ktoś pokaże te „luksusy komunistów” – gdzie są te pałace Gierka czy Jaruzelskiego?

A jeśli chodzi o ów „głód”, to w sielankowej rzekomo II RP w 1938 r. spożycie mięsa na głowę wynosiło ok. 22 kg, w 1980 r. – 74 kg, w 1989 r. – 68 kg, czyli i tak trzy razy więcej niż w II RP. Dopiero niedawno spożycie wróciło do poziomu z 1980 r. III RP potrzebowała więc 20 lat, żeby zwiększyć spożycie o 6 kg, natomiast za PRL urosło w tym samym czasie o jakieś 30 kg. Nasilenie manipulacji i retoryka obecnej władzy to już jest poziom stalinowski. Pamiętam trochę okres gierkowski i dobrze lata 80. Takiej agresji i zjadliwości wobec II RP, jak obecnie wobec PRL, wtedy nie było. Krytykowano głównie przedwojenne stosunki polityczne i społeczne (a przecież były dalekie od ideału), ale już doceniano np. osiągnięcia przedwojennych inżynierów. Pamiętam, że jako nastolatek czytałem książki o przedwojennych konstruktorach samolotów, samochodów, początkach polskiej elektroniki. O Eugeniuszu Kwiatkowskim chyba w latach 70. nakręcono film dokumentalny.

wykształciuch emigrant, Onet.pl

Mój ojciec był hallerczykiem

W 23. numerze PRZEGLĄDU jest artykuł poświęcony gen. Józefowi Hallerowi. W mojej pamięci pozostało wspomnienie opowiadań ojca, który urodził się i żył w zaborze pruskim. Kiedy wybuchła I wojna światowa, wcielono go do armii pruskiej, potem dostał się do niewoli angielskiej. Ojciec twierdził, że gdyby nie Haller, nawet ślad by nie pozostał po Polakach w tej niewoli. Panowały głód, brud, choroby – głównie tyfus. Jeńcy byli bardzo źle traktowani. Haller wyciągnął Polaków z tej katorgi i pomaszerowali na wschód. Tu ojciec był świadkiem znęcania się żołnierzy nad Żydami. Żołnierz potrafił chwycić Żyda za brodę i ciągnąć go w górę. Jego córka na kolanach błagała o litość. Wokół pełno było pierza, bo jedną z zabaw było rozcinanie pierzyn. Hallerczycy nękali też tamtejszą ludność nieżydowską – nie pamiętam, czy ojciec mówił o Ukraińcach, czy o Białorusinach. Gdy miejscowi urządzali sobie zabawy w domach, żołnierze wpadali z hukiem, aż wystraszeni cywile wypadali z chaty razem z oknami.

GDYBY NIE HALLER...

Skończyła się wojna, ojciec dostał pracę w straży granicznej, ale długo nie popracował. Jak mówili jego znajomi, Piłsudski pozbywał się hallerczyków i na wolne miejsce wstawiał swoich. Zwolniony ojciec miał bardzo skromną emeryturę.

S.P., Warszawa

NBP wydaje klientom Dolcanu zgody na wyodrębnienie lokali

W związku z artykułem „Mieszkania w prawnej dziurze” (PRZEGLĄD nr 8) otrzymaliśmy komunikat z Biura Prasowego NBP.

MIESZKANIA W PRAWNEJ DZIURZE

„Narodowy Bank Polski wznawia proces wydawania promes oraz zgód na bezobciążeniowe wyodrębnianie lokali w inwestycjach deweloperskich spółek z tzw. grupy Dolcan. (...) Pierwsze zgody na bezobciążeniowe wydzielenie lokali NBP wydał w październiku 2016 r. (...) W związku z przyjęciem 29 marca 2017 r. na posiedzeniu rady wierzycieli SK Banku – której członkiem jest NBP – stosownych uchwał w sprawie bezobciążeniowego przenoszenia nieruchomości w sytuacjach uregulowania zarówno pełnej, jak i częściowej ceny nabycia określonej treścią promes i umów deweloperskich, NBP wznowił proces wydawania promes oraz zgód na bezobciążeniowe wyodrębnianie lokali w inwestycjach deweloperskich spółek. Niniejszy proces uwzględnia również mechanizm dokonywania dopłat do pełnej kwoty nabycia lokali, ograniczający ryzyko roszczeń ze strony deweloperów wobec nabywców lokali czy też ryzyko poniesienia przez nabywców lokali strat w przypadku nieukończenia inwestycji”.

eprasa.pl 6a7debb50e

Wróg zza ściany

Witold Waszczykowski, ten wyśmiewany minister, któremu przypominane są kolejne wpadki i porażki, o którym wciąż się mówi, że za chwilę go wyrzucą, ma teraz swoje pięć minut. Wreszcie on jest górą. Wreszcie może kogoś postawić do pionu i nic mu się nie stanie. Tym słabszym, na którym mógł się wyładować, demonstrując swoją siłę, okazał się Andrzej Duda, prezydent RP.

Waszczykowski zahaczył w mediach prezydenta, swojego bądź co bądź zwierzchnika, skarżąc się, że zwleka z podpisaniem nominacji ambasadorów. Tak bowiem stanowi konstytucja, że „Prezydent Rzeczypospolitej w zakresie polityki zagranicznej współdziała z Prezesem Rady Ministrów i właściwym ministrem" oraz że „mianuje i odwołuje pełnomocnych przedstawicieli Rzeczypospolitej Polskiej w innych państwach i przy organizacjach międzynarodowych".

No i okazuje się, że prezydent tak korzysta z tych uprawnień, że nie korzysta. „Na biurku pana prezydenta jest wiele nominacji, wielu kandydatów, których można by wysłać. Oczekuję wyjaśnień, o co chodzi, jakie zarzuty, jakie problemy stawia się tym kandydatom, ewentualnie centrali MSZ", twardo punktował Waszczykowski. *De facto* beształ prezydenta jak podległego sobie urzędnika.

Stanowczy ton popłacał, bo Andrzej Duda niemal natychmiast podpisał nominacje siedmiu ambasadorom. Kończąc tym samym ich wielomiesięczny okres oczekiwania.

Potem jeszcze do całej sprawy wracał Krzysztof Szczerski, szef Gabinetu Prezydenta, odpowiedzialny w kancelarii za sprawy międzynarodowe. Mówił tak: „Wypowiedź pana ministra Waszczykowskiego była szkodliwa i gorsząca. Przynosi zgorszenie w środowisku dobrej zmiany i ona nigdy nie powinna była paść. Sugeruję panu ministrowi Waszczykowskiemu podjęcie teraz działań na rzecz odbudowy dobrej relacji z głową polskiego państwa".

No dobrze, rzecz nie jest nowa, gra sił między Kancelarią Prezydenta a MSZ, dotycząca obsady stanowisk ambasadorskich, toczyła się zawsze. Także wtedy, kiedy mieliśmy czas kohabitacji, gdy prezydent i rząd byli z przeciwnych obozów politycznych. Ale jakoś te spory potrafiono rozwiązywać, nawet Lech Kaczyński umiał się dogadać z Donaldem Tuskiem. Te zasady dogadywania się były różne, mniej lub bardziej formalne, na zasadzie: „Ty masz trzech ambasadorów, a ja 10" albo: „Ja odpowiadam za sprawy bezpieczeństwa, a ty za Azję" itd. Istniał jakiś klucz.

A teraz o kogo się kłócą?

Wygląda to na zwykłą rywalizację dwóch urzędów – zwłaszcza że Krzysztof Szczerski, za czasów Anny Fotygi wiceminister spraw zagranicznych, wymieniany był jako potencjalny następca Waszczykowskiego. Ten z kolei zrewanżował się kancelarii, przyjmując pod swoje skrzydła Marka Magierowskiego, byłego rzecznika Dudy.

Ale dlaczego rywalizacja przebiega tak ostro?

Odpowiedź jest chyba prosta. Kancelaria Prezydenta to dziś urząd bez znaczenia. MSZ również się stoczyło, Polska jest w Europie zmarginalizowana, stoi gdzieś z boku, to i dyplomacja nie ma nic do roboty. Macron z Merkel ustalają kształt przyszłej Europy, Polski przy tym nie ma. Nie mamy nawet własnych propozycji na przyszłość, bo trudno za takie uznać piski: „Europo, wstań z kolan!".

A że życie nie znosi próżni, urzędy znajdują sobie inne pola do sporów i gier. I walczą między sobą.

Attaché

Ofiary dyplomatycznego kryzysu – 12 tys. wielbłądów nie wpuszczono z Kataru do Arabii Saudyjskiej. Na przejściu granicznym Abu Samrah o tej porze roku temperatura w dzień sięga 45 st. C.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 6a7debb50e

JOLKA

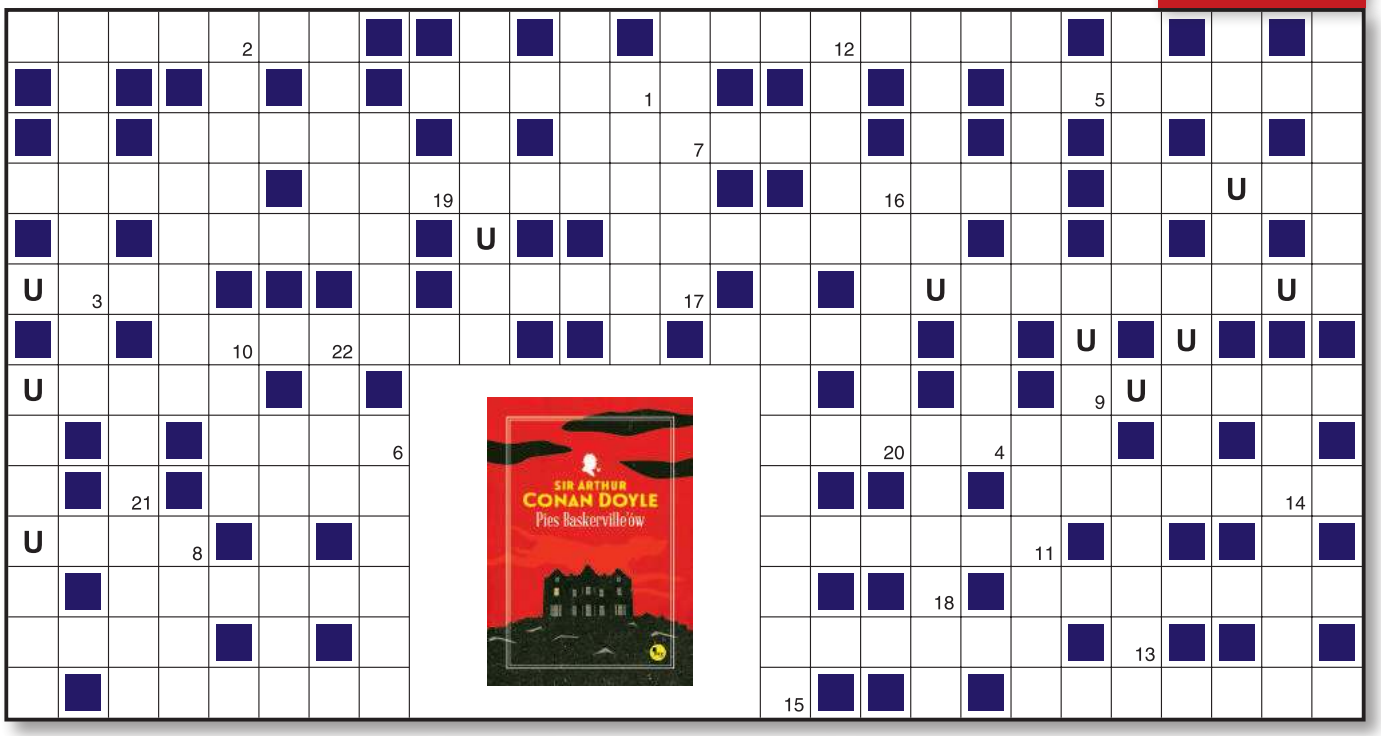

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery U ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- pierwszy wygnaniec
- warowny pałac mauretański w Hiszpanii
- zabór terytorium
- ten muszkieter chciał zostać duchownym
- impertynent, zuchwalec
- i słuchacze, i sala
- jego związki używane jako nawozy
- zmętnienie rogówki i zaślepienie
- rój, ćma, tłum
- fochy, kaprysy
- ono na dole, wieczko na górze
- książka na czytnik
- pod nią – pod patronatem
- mitologiczne imię włoskiego piosenkarza
- intensywne popieranie
- King Kong z tego gatunku
- kto na nie przychodzi, nie musi nic robić
- z łopatką i wiaderkiem
- „…Agamemnona”
- imię słynnej szwedzkiej aktorki
- w 1990 r. to państwo zaatakowało Kuwejt
- trzymane za kogoś
- wygoda i dostatek
- ostra różnica zestawionych elementów
- spoczywa na nich mało ambitny
- zniszczone ubranie
- bóstwo północnoamerykańskich Indian
- atomowa lub krytyczna
- na nim rozpina się żagle
- klub piłkarski z Lublina
- spicz
- owady faraona (nie skarabeusze)
- gęsta, niska trawa
- jego paszport dla bezpaństwowców
- miejsce, gdzie półwysep łączy się z lądem
- boczne skrzydło kamienicy
- …na ugorze
- polska poetka i autorka tekstów
- figura, prezencja
- wiara w tajemnicze związki między zjawiskami
- …świętojański
- reszta Polaków
- wirnik
- wojownik normański, książę Nowogrodu Wielkiego
- czerpanie przyjemności z zadawania cierpień
- przewrót przez głowę bez podparcia
- wycinek widowni na stadionie
- gwara środowiskowa
- Mrożek lub Shuty
- gałgan do podłogi
- rubryczki do wypełnienia
- prawo karania oko za oko
- kłąb czegoś lotnego
- …Prezesa
- emocja, afekt
- i Słoneczny, i Warszawski
- ułatwia kierowanie koniem
- sprzęt do odtwarzania filmów na kasetach
- idą za nią chłopcy malowani
- forma zajęć na uczelni
- wybryk
- na nim chleb

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-812”. Do rozlosowania książki „Pies Baskerville'ów” ufundowane przez wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.812.DZIEN DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 2 lipca 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-809” z 11 czerwca: *Diabeł diabłem pozostanie.*

Nagrody otrzymują: Zofia Biszewska ze Szczecina, Elżbieta Gąsior ze Staszkówki, Krystyna Plyszczyńska z Wrocławia.

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS

1. Odczytaj hasło z brakujących liter.
2. Znajdź dwie identyczne figury.

Masz na to minutę.

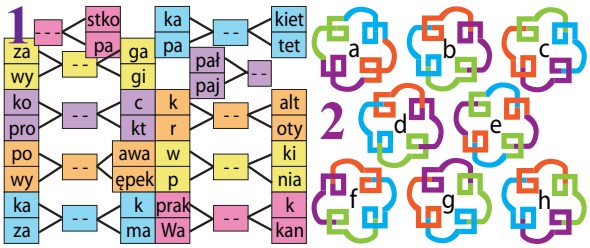

Rozwiązanie na s. 64

eprasa.pl 6a7debb50e

NIE

JERZY URBAN, REDAKTOR NACZELNY

Za późno i za ostrożnie, ale my szliśmy od autorytaryzmu do jego liberalizacji, a potem wolnego rynku i dopuszczania naszych przeciwników stopniowo do współwładzy. Nasi następcy z SLD, gdy wkrótce w wolnych wyborach uzyskali władzę, okazali się proeuropejskimi demokratami, strażnikami wolności, miłośnikami kapitalizmu, ba, twórcami oligarchii. Droga PiS jest odwrotna niż PZPR. Od wolności i demokracji do arbitralnej wszechwładzy.

TYGODNIK ANGORA

WŁADYSŁAW FRASYNIUK, JEDEN Z LIDERÓW SOLIDARNOŚCI, PRZEWODNICZĄCY UNII WOLNOŚCI

Powódź pisowska tak nas zalała, że ostatnim momentem, w którym można będzie jeszcze zbudować zaporę, są zbliżające się wybory samorządowe. Na obecny kryzys polityczny najważniejszym lekarstwem jest edukacja. Tu wielką rolę mają do odegrania media. Niestety, w Polsce gazety najbardziej głupie i bezsensowne wypowiedzi polityków zamieszczają na pierwszych stronach, gdy na Zachodzie na ostatnich. Ale jestem człowiekiem dużej wiary, dlatego myślę, że nasze społeczeństwo sobie z tym poradzi.

KRAKÓW

PROF. RYSZARD TADEUSIEWICZ, BIOCYBERNETYK I AUTOMATYK

W komputerach nie odwzorujemy ludzkiego mózgu, tylko naszą wiedzę o tym mózgu. A ona jest niepełna. Nie wbudujemy w mechanizm komputera ludzkiej świadomości, wolnej woli, wewnętrznej motywacji, bo nie wiemy, gdzie w naszym mózgu te cechy ludzkiej psychiki są umiejscowione i na czym polegają. Maszyny mogą być inteligentne, ale nie mogą być np. egoistyczne, bo nie mają pojęcia, że to jest moje, a tamto nie moje. Maszyny są altruistyczne z definicji. Dlatego nie generują zagrożenia.

PLAYBOY

WOJCIECH POKORA, AKTOR

Byłem młody, kiedy zrobiłem coś bardzo głupiego. Oczywiście chodziło o kobiety. A dokładnie o jedną – moją żonę. Chciałem się popisać przed nią. W towarzystwie Jurka Turka, czyli m.in. legendarnego listonosza ze „Złotopolskich", postanowiłem przepłynąć Wisłę od jednego brzegu do drugiego. To nie był dobry pomysł. Co prawda, dotarłem do drugiego brzegu, ale w drodze powrotnej zacząłem tracić siły. Mało brakowało, abym się utopił. Uratowała mnie żona, która z czwórką znajomych złapała się za ręce i mnie wyłowiła.

FOT. AFP/EAST NEWS

Raz na ludowo? Royal Ascot – nie tylko wyścigi konne, lecz podobno najelegantsza impreza w Anglii, na której panie prezentują kapelusze. Niektóre ponoć kosztują 4 tys. funtów.

Aby język giętki…

MARIAN PILOT O ULEGŁOŚCI POLAKÓW
Bośmy są w głębi duszy zestrachani, niepewni siebie, mamy głęboko wdrukowane poczucie swojej nietożsamości, bękarctwa.

STEFAN NIESIOŁOWSKI O PRZYSZŁOŚCI PiS
Będą skakać z okien Nowogrodzkiej, a Kaczyńskiego helikopterem będą ewakuować z dachu.

JERZY IWASZKIEWICZ O PATRYKU JAKIM
Nie bardzo co prawda wie, o czym mówi, ale wyraźnie uwierzył, że robi karierę, i nie można wykluczyć, że będzie próbował się dowiedzieć.

AGNIESZKA GRAFF O MINISTRZE RADZIWILLE
Nie porusza się w świecie realnym, lecz w takim, gdzie nie ma różnicy między antykoncepcją, aborcją i morderstwem.

AGATA DĄMBSKA O JANIE ŚPIEWAKU
Nie ma pojęcia, o czym mówi. Nie jest wiarygodny, gdy mówi o samorządach, bo nie jest samorządowcem i przez te lata niewiele się nauczył.

DANIEL PASSENT O ANDRZEJU DUDZIE
Potrafi być układny i poprawny, kiedy umizguje się do Trumpa. A gdy przemawia, często jest pobudzony, nierzadko krzyczy.

GEN. WALDEMAR SKRZYPCZAK O JAROSŁAWIE GOWINIE
Wiedział o tym, że nie on będzie rządził resortem obrony, tylko Macierewicz, a mimo to udawał, był uczestnikiem gry.

ZOŚKA PAPUŻANKA O BYCIU NAUCZYCIELEM
Po mnie widać, że ja naprawdę wierzę w to, co mówię.

GRAŻYNA TORBICKA O TĘSKNOCIE
Tęsknię za czasami, kiedy kino było bajką i wierzyło się w opowiadane przez nie historie.

PASCAL BRODNICKI O PARTNERCE AGNIESZCE MIELCZAREK
Lubi spać w moich bokserkach i T-shirtach.

JOANNA DROZDA O OJCU TADEUSZU
Tata w domu był panem i władcą. Szukałam więc partnera i przyjaciela, a nie autorytarnego przywódcy.

eprasa.pl 6a7debb50e

MEMY BEZ ŚCIEMY

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

NADZY NA ROWERZE

Meksykańska Guadalajara po raz siódmy gościła cyklistów nudystów, którzy przejechali ulicami już ponad 120 miast. Ponad 800 osób na rowerach, w bieliźnie, wymalowanych farbami czy zupełnie nago chciało zwrócić uwagę na obecność cyklistów w społeczeństwie, a nagość (jak twierdzą) zawsze przyciąga wzrok.

DROGA JAKOŚĆ

Szef marketingu sieci McDonald's zapowiedział, że we Francji w ich restauracjach pojawią się noże i widelce. Nie będzie to jednak zerwanie z fast-foodową tradycją, ale wprowadzenie nowej jakości, gdyż sztućce nie będą dodawane do standardowych zamówień jak Big Mac czy cheeseburger, ale do specjalnych burgerów, kosztujących niemal dwa razy więcej.

SEPARACJA ONLINE

Sąd w Vicenzy na północy Włoch wprowadził możliwość załatwienia separacji przez internet. Małżonkowie muszą jedynie połączyć się z sędzią za pomocą kamery internetowej. Główną ideą tego pomysłu jest zaoszczędzenie czasu i pieniędzy osób, które z daleka musiałyby dojeżdżać do sądu, oraz ograniczenie emisji spalin dzięki temu, że nie trzeba jechać samochodem.

BAN NA FRYTKI

Komisja Europejska zamierza wymóc zmianę sposobu przygotowywania słynnych belgijskich frytek, gdyż podczas tradycyjnego smażenia w głębokim oleju i wysokiej temperaturze tworzy się szkodliwy dla zdrowia związek chemiczny – akrylamid. Przeciwko regulacji protestują Belgowie, nazywając ją „banem na frytki". Widzą w niej śmierć dla tradycyjnej smażonej przekąski.

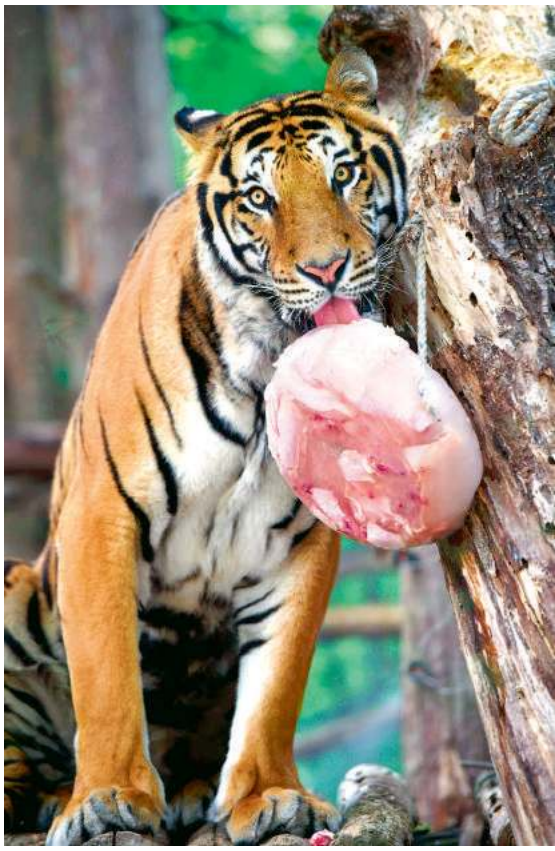

MISKA JAK OGNISKO

Szwedzki gigant meblowy i wyposażenia wnętrz IKEA musi sprawdzić jedną ze swoich metalowych misek po doniesieniu o tym, że może ona przypadkowo wzniecać ogień. Pewien mężczyzna zgłosił bowiem, że w wyjątkowo słoneczny dzień winogrona przechowywane w misce zaczęły się tlić. Na własną rękę przetestował miskę i udało mu się zapalić w niej papier.

WYKLUCZONE CYFROWO

Z najnowszego raportu Kantar Public i Aasa Polska wynika, że Polki między

ZE SMAKIEM

Szaszłyki z tofu na grill
MICHELA MORANA

Składniki: 250 g dyni, 6 łyżek octu winnego mirin, 150 ml sosu sojowego, 2 łyżki sake, 2 łyżki cukru kryształu, 125 g twardego tofu, 250 g wątróbki drobiowej, 20 ml oleju, mielony imbir, chili, pieprz cayenne, sól morska, czarny pieprz mielony.

Obraną dynię kroimy w dość grubą kostkę i gotujemy w osolonej wodzie, tak aby pozostała chrupiąca. W drugim garnku mieszamy ocet winny, sos sojowy, sake oraz dwie łyżki cukru. Tak powstałą marynatę chwilę gotujemy, aby z sake odparował alkohol (wystarczy ok. 30 s). Podgrzaną marynatę przyprawiamy mielonym imbirem oraz chili. Tofu kroimy na jednakowej wielkości kostki, wątróbkę oczyszczamy i również dzielimy na równe kawałki. Na patyczki grillowe nadziewamy kolejno kawałki tofu, dyni oraz wątróbki. Czynność powtarzamy do zapełnienia patyczków. Gotowe szaszłyki pieczemy na grillu lub smażymy na rozgrzanym oleju. Podczas pieczenia lub smażenia posypujemy je z każdej strony odrobiną soli, czarnego pieprzu mielonego oraz smarujemy marynatą.

Przepis pochodzi z „Głosu Wielkopolskiego"

„PRZEGLĄD" NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY
RDC Warszawa 101 FM DAB+
RADIO PARADA 96.00 FM Łódź 96 FM

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS – ODPOWIEDZI:

1. Ciało jest duszą kobiety
2. b, g

eprasa.pl 6a7debb50e

Lody dla ochłody – owocowe dla żyrafy, a z mrożonego kurczaka dla tygrysa. Animal Park w Yongin w Korei Południowej.

45. a 70. rokiem życia bardzo rzadko lub w ogóle nie korzystają z internetu. Ponad połowa z nich ocenia jako niedostateczne swoje umiejętności związane z obsługą komputera i wyszukiwaniem informacji w sieci. W odpowiedzi na ten problem ruszyła akcja edukacyjna „Aasy Netu", która potrwa do grudnia. Na specjalnej platformie cyfrowej zostaną udostępnione materiały edukacyjne. Jednak czy Polki wykluczone cyfrowo będą w stanie do nich dotrzeć?

LEPIEJ Z GPS

Wukong Bike, czyli działający w Chongqing operator systemu miejskich rowerów, zbankrutował po pięciu miesiącach działalności. Powodem była utrata 90% rowerów (z 1,2 tys.), które zostały zagubione lub skradzione. Wukong popełnił kardynalny błąd – w przeciwieństwie do podobnych firm nie zainstalował w rowerach urządzeń GPS.

WYJĄTEK DLA PESTO

Port lotniczy Cristoforo Colombo w Genui, który jak wszystkie lotniska nie pozwala zabierać w bagażu podręcznym więcej niż 100 ml płynów, zrobił wyjątek dla pesto – od czerwca pasażerowie lotów bezpośrednich będą mogli zabierać ze sobą do 500 g tego lokalnego specjału. Do zmiany regulacji przyczynił się widok setek opakowań pesto odbieranych pasażerom podczas kontroli.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, ARCHIWUM, AFP/EAST NEWS, dlugi_|wykop.pl, fb.com/AnonimowyInternauta, fb.com/SekcjaGimnastyczna

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 (22) 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax (22) 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
redakcja@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

REDAGUJE KOLEGIUM
Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Mariola Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Maciej Polkowski, Michał Sobczyk Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Katowice)
Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska **Fotoreporterzy:** Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski
Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji: Sandra Zawadzka

Redakcja zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Rozpowszechnianie artykułów bez zgody wydawcy jest zabronione.

Druk: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi, al. Piłsudskiego 82
Prnumeratę krajową od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu „Przeglądu". Prenumerata roczna – 289 zł, półroczna – 149 zł, kwartalna – 79 zł
Prenumerata zagraniczna pocztą priorytetową jeden kwartał: Europa, Ameryka Płn., Afryka, Ameryka Płd., Azja, Australia i Oceania – 225 zł. Wpłata za prenumeratę krajową i zagraniczną na konto **Nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821.** Dodatkowe informacje o prenumeracie
Dział Kolportażu: tel. +48 (22) 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać na stronie **www.prenumerata.ruch.com.pl.** Pytania prosimy kierować na adres e-mail: **prenumerata@ruch.com.pl** lub do Centrum Obsługi Klienta „RUCH" tel.: +48 (22) 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00-17.00.

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy
XIII Wydział Gospodarczy KRS nr 0000198445

Projekt graficzny
brand design & animation ARTREPUBLICA
Rafał Poławski
i Magdalena Jonas-Poławska

Finansowe wspieranie „Przeglądu" Fundacja Oratio Recta

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 6a7debb50e

JEZIORO ZAMKOWISKO

Sopoteka wystawia 36 zdjęć z albumu „Za siódmym jeziorem. Kaszuby" autorstwa Wojsława Brydaka. Zbiór krótkich szkiców i kolekcja pejzaży pozwalają inaczej spojrzeć na Kaszuby i zauważyć niepowtarzalne tonacje pogranicza. „Fotografie nie są prostym zapisem obrazu, ale przekazaniem doznanego wrażenia, przeżytych emocji oraz indywidualnego widzenia (…). Znamienne, że autor unika architektury i obecności człowieka, jakby chciał pokazać naturę swobodną i pierwotną". Album może też posłużyć jako alternatywny przewodnik po regionie.

Sopoteka/Sopot Centrum
ul. Tadeusza Kościuszki 14
do 30 czerwca

JEZIORO BIAŁE

MOKRE ŁĄKI

FOT. WOJSŁAW BRYDAK

eprasa.pl 6a7debb50e

23 Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce

Jazz na starówce

www.jazznastarowce.pl

Rynek Starego Miasta, Warszawa
soboty, godz. 19⁰⁰

Organizator

JAZZ ART FUNDACJA

1 lipca
Francesco Cafiso Quartet

8 lipca
John Pizzarelli Celebrates Sinatra &Jobim @ 50 with Daniel Jobim

15 lipca
Oregon & Ralph Towner

22 lipca
Nicholas Payton Afro
„Caribbean Mixtape"

29 lipca
James Carter Quartet
„The Flying Particles"

5 sierpnia
Marek Napiórkowski Sextet

12 sierpnia
TurBiKon – Grzegorz Turnau | Robert Kubiszyn | Cezary Konrad

19 sierpnia
Christian Bakanic Trio Infernal

26 sierpnia
Josemi Carmona & Javier Colina feat. José Ruiz Bandolero

Patronat Honorowy: Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Prezydent m. st. Warszawy

Projekt współfinansuje m. st. Warszawa

Dofinansowano ze środków

Partner

Partner – Gramy dla kultury

Partnerzy

Patroni Medialni

eprasa.pl 6a7debb50e

„Sonia Braga daje występ, który zasługuje na wszelkie laury"

— FILMWEB —

KONKURS GŁÓWNY
CANNES

MFF W MAR DEL PLATA
NAGRODA PUBLICZNOŚCI
NAJLEPSZA AKTORKA

MFF W SYDNEY
NAJLEPSZY FILM
NAGRODA GŁÓWNA

TRANSATLANTYK
NAJLEPSZY FILM
NAGRODA GŁÓWNA
ZŁOTA ARKA

LIMA FILM FESTIWAL
NAJLEPSZY FILM
NAJLEPSZA AKTORKA

Subtelny i piękny
obraz dojrzałej kobiety

AQUARIUS

w roli głównej SONIA BRAGA

W KINACH OD 30 CZERWCA

PATRONAT MEDIALNY

WSPÓŁFINANSOWANIE

DYSTRYBUCJA